

Józef Bedier
Dzieje
Tristana
i Izoldy

BRYK PL



Książka dostępna na stronie [Bryk.pl](https://bryk.pl)

Odtworzone wedle dawnych legend i poematów przez Josepha Bédiera.
tłum. Tadeusz Boy-Żeleński

Od tłumacza

Rzut oka na literaturę francuską

1. Początki Francji. — Język romański. — Wieki średnie. — Villon

Z podbojem Galii przez Rzymian, miejscowa kultura celtycka uległa zalewowi latynizmu. Język łaciński, i to w swej gminnej postaci (*lingua rustica*), staje się językiem ludu: z biegiem czasu język ten zmienia się, wchłaniając pewną ilość miejscowych pierwiastków, jak również pod wpływem klimatu, krzyżowania ras, obyczajów. Domieszka germańskich źródłosłów po nowym podboju kraju przez Franków ma być stosunkowo niewielka: zwycięzcy przyjęli język i obyczaje podbitego narodu. Z tego amalgamatu powstaje język *romański*, którego istnienie stwierdzone jest od VII stulecia. Rozpada się on na rozmaite narzecza: to, którym mówiono nad Sekwaną i Loarą, wysuwa się na czoło i staje się macierzą języka francuskiego, do którego przejście odbywa się nieznacznie i z wolna.

Język romański posiada piękną literaturę, przeważnie epiczną, zrazu podawaną z ust do ust, śpiewaną na dworach (trubadurowie, truwerzy), spisana począwszy od XII w. Wyróżniono w niej trzy cykle: *francuski* (*chansons de geste*, pieśni o czynach: najstarszą i najsłynniejszą jest tu *Pieśń o Rolandzie*); cykl bretoński (*Powieści okrągłego stołu*: *Parcival*, *Lancelot*, *Tristan i Izolda*, etc.); wreszcie cykl *starożytny* (*Powieść o Aleksandrze*, od której epicki dwunastozgłoskowiec francuski nazywa się *aleksandrynem*). Późniejszą od epepei jest poezja liryczna, opiewająca, z wielkim kunsztem form a w konwencjonalnym ujęciu, sprawy miłości. Oba te działy poezji zrodziły się z ducha dworskiego, feudalnego.

Obok tej literatury arystokratycznej powstaje literatura ludowa, mieszczańska, o charakterze satyry lub po prostu uciesznej i „trefnej” zabawy (*fabliaux* lub *fableaux*). Słynną jest *Powieść o lisie*, która przeszła później do niemieckiej literatury. Nie mniej sławna *Powieść o Róży* (1236–1277) kojarzy niejako wszystkie rodzaje: pierwsza część, pióra Wilhelma z Lorris, jest wykwintnym traktatem o sztuce kochania, część druga (pisana przez Jana z Meung) ma charakter dydaktyczno-moralny, zaprawiony ostrą satyrą obyczajową.

To w zakresie poezji. *Prozą* (jak zwykle, proza jest późniejsza od poezji) pisano kroniki (Villehardouin, Joinville, Froissart, Commines) oraz nowele na modłę Bokacjusza. W wieku XIV pojawiają się dość liczne przekłady autorów łacińskich.

Średnie wieki objawiają żywy pęd ku *teatrowi*. Dramat — jak niegdyś grecka tragedia — wychodzi poniekąd z obrzędów religii. Zrazu pierwsze te zawiązki mieszczą się w kościele jako ilustracja scen z Ewangelii; z czasem sceny te rozrastają się, wydostają się przed kościół, na plac publiczny (miracles, cudy), aż wreszcie znajdują dla siebie miejsce w osobnych budynkach. Te widowiska (*misteria*) o tematach z Pisma św. lub Żywotów Świętych, przedstawiane z wielkim nakładem, czasem z udziałem 500 osób, przeplatają sceny poważne komicznymi. Tworzą się stowarzyszenia miłośników tego teatru, grywające co niedzielę. W epoce reformacji misteria te, przybierające coraz bardziej świecki charakter, zaczęły razić zarówno katolików jak protestantów: zabroniono ich. Wówczas na scenę wchodzi bohaterowie klasyczni, czym jednak teatr oddala się od ludu.

Obok tych dramatów istniała *farsa*, której początki gubią się w mroku; może sięgała komedii łacińskiej? Farsa ta, operująca niewybrednymi środkami, obraca się około kilku tradycyjnych tematów: mnicha, lekarza, małżeństwa, etc. Odcina się od niej niezwykłą werwą, ciętością słowa i zręcznością sceniczną utwór Adwokat Patelin niewiadomego autora.

Gdy ta literatura ludowa, gruba, ale pełna soku, żyje i rozwija się, arystokratyczno-dworska liryka jałowuje. Zamknięta w konwencjonalnych tematach, wyzbywa się treści, przenosząc całą wagę na piętzenie trudności formalnych niewiele już mające wspólnego z poezją. Bo też na schyłku średniowiecza i cały gmach feudalizmu kryje wewnątrz pustkę i próchno: ale dużo czasu upłynie, zanim rozpadną się ostatecznie te przeżytki minionych form życia, aby ustąpić miejsca bujnemu rozkwitowi Odrodzenia. Otóż z mroków tego najciemniejszego, rozkładającego się średniowiecza, rozlega się krzyk człowieka, pierwszego człowieka współczesnego niejako nam, Franciszka Villona (ur. 1431). Liryka Villona, jako stosunek wyrazu poety do jego ludzkiej treści, jest o wiele bliższą nas niż późniejsi odeń luminarze francuskiej poezji, Ronsard, Malherbe, etc.

II. Wiek XVI. — Odrodzenie. — Wpływy włoskie. — Reformacja, Kalwin. — Rabelais, Montaigne. — Obyczaje. — Poezja, Ronsard

Z początkiem wieku XVI Francja wchodzi w znak Odrodzenia. Ale o ile podłożem jego jest humanizm, poznanie kultury greckiej i łacińskiej, o tyle klucz do tej kultury dały Francji Włochy. Wyprawy Karola VIII i Franciszka I zetknęły Francję z Włochami bezpośrednio: cóż za cud, co za olśnienie dla tych w zbroje zakutych zabijaków, kiedy, wyruszywszy ze swych gotyckich zamków i przebywszy Alpy, poznali uśmiech nieba Italii, wykwintne życie jej dworów, miast, czary poezji, miłości, sztuki! Powiew tego życia przenikał odtąd do Francji, aż z Katarzyną Medycejską „włoszczyzna” runęła tam całą falą. Stan ducha wytworzony tą przemianą sprzyjał zrozumieniu kultury starożytnej, która sprowadzała człowieka do natury, podczas gdy chrystianizm kazał iść przeciw niej lub wzbijać się ponad nią. Starożytność była głosem swobodnego ludzkiego rozumu, w przeciwstawieniu do wszystko kruszącego i pętającego dogmatu. Nieskrępowany rozwój władz ducha i ciała, ciekawość poznania, umiłowanie życia, radosne spojrzenie na ziemię zastąpiły średniowieczne wpatwienie w śmierć i w czyhające poza nią piekło. Ale Francja, przejmując z Włoch ducha Odrodzenia, ograniczyła go poniekąd: nieprzygotowana jeszcze do hodowania sztuk plastycznych (poza architekturą, która stanowiła namiętność Franciszka I), wyraża tego ducha w literaturze, w obudzeniu pędu do nauk, w życiu umysłowym.

Równocześnie niemal działały na tworzenie się ducha francuskiego inne wpływy, na pozór wręcz przeciwne, w gruncie współdziałające. Reformacja poczęta przez Lutera znalazła we Francji wyraz w niepospolitej indywidualności Jana *Kalwina* (1509–1564). Jest ona w pierwszym okresie powstaniem wykarmionego humanizmem rozumu przeciw przeżytkom średniowiecza; sięgnięciem do źródeł chrystianizmu poprzez piętrzące się narośle scholastycznego komentarza. W tym okresie niemal całe oświecone społeczeństwo Francji sympatyzuje z „nowinkami”, widząc w nich zbawiennego ducha krytyki i protestu. Później, kiedy trzeba wybierać, wielu szczerze waha się opuścić łono katolickiego Kościoła; inni znowu, z temperamentu swego niezdolni są pogodzić się z surową i nieznającą żartu wiarą Kalwina. W pismach Rabelego widzimy, jak doskonale jurny duch Odrodzenia spływa się z nowinkami genewskimi, które przerabia na swą satyryczną modłę. Raczej niżby się miał pisać na ponure dogmaty Kalwina, Rabelais woli płatać figle pod szerokim płaszczem matki-Kościola.

W wieku XVI — jak później w XVIII — dominuje *proza*: jest to wiek tworzenia się idei, epoka namiętnych walk, dyskusyj. *Institutio christianae religionis* Kalwina, którą napisał po łacinie, ale sam przełożył na francuski, jest jednym z fundamentalnych dzieł

rozwoju francuskiej prozy. Prozaikami są również dwaj najwięksi pisarze tej epoki, Rabelais i Montaigne. *Rabelais* (1490–1553) to Odrodzenie w chwili właśnie, gdy rozsadza karykaturalną skorupę średniowiecza; ten zbiegły mnich przekształcony w humanistę, poetę i lekarza to niby symbol myśli ludzkiej cieszącej się tryumfalnie zdobytą swobodą, upijającej się nią aż do szału. *Montaigne* (1533–1592) wdycha w płuca humanizm już od dziecka, kąpie się w źródle starożytnej kultury. Myśl, wyzwoliwszy się ostatecznie ze scholastycznych powijaków, ogarnia cały świat, chce objąć cały jego krąg, ze wszystkiego sobie zdać sprawę, a przede wszystkim — z siebie. Zarówno świat starożytny, jak i lądy świeżo odkrywane przez podróżników (Ameryka), są dla Montaigne'a ustawicznym materiałem do studiów porównawczych nad człowiekiem. W Montaigne'u krystalizuje się psychologiczny kierunek francuskiej umysłowości; poznanie siebie, poznanie duszy ludzkiej, oto droga, którą przede wszystkim poszła ta literatura i której trzyma się aż do ostatniej doby.

Montaigne oświadcza się bardzo głośno przy katolicyzmie, ale pod tą ortodoksją kryje sfinksowy nieco uśmiech sceptyka. Wszelka myśl ludzka to czcza chimera — zdaje się mówić — czyż warto dla tej chimery przewracać świat, czy godzi się zwłaszcza dla niej mordować i palić ludzi? Montaigne jest duchem jakby obcy tym swarom: jest on, jak wielu ówczesnych ludzi, którzy dostali się pod czar klasycznego Odrodzenia, w pół-poganinem. Plutarch, świeżo przełożony na francuski przez Amyota (1513–1593), jest jego Biblią.

Odrodzenie staje się we Francji nie tylko przemianą myśli, ale i obyczajów. W twarde i surowe życie feudalnych zamków wnika jak gdyby gorący płomień włoskiego słońca, a wraz z nim powiew wolności, swobody... Za przykładem włoskich dworów, dwór francuski stara się być ogniskiem życia artystycznego i towarzyskiego; Franciszek I czuje się w obowiązku popierać nauki, chronić nawet podejrzanych pisarzy przed szponami groźnej Sorbony. Jeszcze bardziej „renesansową” jest siostra jego Małgorzata, królowa Nawary, autorka *Heptameronu*, kobieta niepospolita wiedzą, talentem i charakterem.

Ten francuski renesans obyczajowy odzwierciadla się w pamiętnikarzu, który skądinąd kątem jedynie mieści się w literaturze, w *Brantomie* (1540–1614). To kobieta, ustami tego naiwnego apologety, upomina się o swoje prawa i oczywiście o prawo nadużycia tych praw. Ten autor Pań swawolnych nie przeczuwał, iż jest prekursorem ogromnego odłamu literatury francuskiej, która stanie się poniekąd monografią kobiety, biorąc od tej właściwości swoje piętno. Są okresy (np. druga połowa XIX w.),

w której połowę co najmniej beletrystyki francuskiej można by objąć wspólnym godłem Żywotów pań swawolnych...

Szczytowym punktem poezji w wieku XVI jest *Ronsard* (1524–1585) i jego *Plejada* (siedmiu poetów związanych wspólnym programem: du Bellay, Jodelle i in.). Hasłem ich było: zerwać z poezją średniowiecza; zwrócić się po natchnienie do starożytności, o ile można wprost do Grecji; nieść wysoko sztandar poezji jako arcyzmu; wzbogacać umiejętnie język, iżby się stał narzędziem godnym nowych myśli. Ronsard zażywał wielkiej czci u współczesnych i odegrał wraz ze swą plejadą znaczną rolę; poezja francuska pije wielkimi haustami ze źródeł starożytnych. Następny wiek, posunąwszy się w doskonaleniu formy jeszcze dalej, zapomniał o Ronsardzie zupełnie; dopiero znacznie później historia literatury wróciła mu zasłużone miejsce.

III. Wiek XVII jako wiek klasycyzmu. — Kartezjusz. — Jansenizm. — Tragedia i komedia. — Salon. — Język. — Akademia francuska. — Psychologia. — Reakcja przeciw starożytności

Wiek XVI — polityczny, religijny, literacki — był wiekiem zamętu; zamętu płodnego, bogatego w idee, brzemiennej przyszłością. Politycznie z końcem wieku Henryk IV (1589–1610) doprowadza kraj do ładu i jedności. *Edykt nantejski* (1598) zapewniający hugonotom swobodę religijną pozwala Francji wytchnąć po wojnach domowych. W ślad za tym literatura i nauka dążyć będą do konsolidacji, metody; miejsce genialnego chaosu zajmie najdalej posunięta dyscyplina myśli i języka, której owocem będzie *klasycyzm* XVII stulecia. Olbrzymi materiał wchłonięty ze świata starożytności przetworzy się na własny miąższ. Wiek XVI był klasycznym przez swe uwielbienie dla Rzymu i Grecji; wiek XVII stanie się klasyczny swoim własnym klasycyzmem.

Na progu XVII w. stoi *Descartes* (Kartezjusz, 1596–1650). Główne znaczenie ma on w dziejach filozofii i nauki; ale i w literaturze znaczenie to jest olbrzymie. Ów gmach scholastyki, dogmatycznej niby-wiedzy, autorytetu, gmach, do którego Rabelais szturmował szyderstwem, Montaigne rozumowaniem, on zwałił ostatecznie: następcom przyjdzie uprzętać gruzy. Metoda jego myślenia (będąc sama rasowym wyrazem francuskiego ducha) przeniknie całą literaturę francuską, dając jej na dwa wieki blisko wybitnie intelektualny charakter. Rozum, porządek, miara, jasność, będą panowały niepodzielnie; wszystko, co się nie mieści w tę ramę (więc poniekąd i żywa natura), zostaje wyrzucone za nawias jako barbarzyństwo. Uczucia ogólne biorą górę nad osobistymi: *ja* twórcy kryje się poza jego tematem. Przerywa się związek między

XVII wiekiem a średniowieczem; wiek XVII nie ma śladu zrozumienia np. dla architektury gotyckiej, dla poezji Villona. Nawet ów wielki pisarz chrześcijański, Pascal, który podejmie zdeptanie pysznego rozumu ludzkiego, posłuży się w tym celu metodą – logicznego rozumowania. Ta przewaga *intelektu* mieści w sobie niebezpieczeństwo, które objawi się z czasem.

Problem religijny trwa nadal w wieku XVII. Jak widzieliśmy, Francja oparła się w znacznej części kalwinizmowi; jednakże ów duch reformy, krytyki, surowości i powagi chrześcijańskiej odpowiadał wewnętrznej potrzebie wielu Francuzów. Stworzyli tedy niejako reformację w samym łonie katolickiego Kościoła, poddając się Głowie, ale walcząc zacięcie z jej doradcami. Był to *jansenizm* (od nazwiska *Janseniusza*, 1585–1638), skupienie poważnych i szlachetnych duchów (Saint-Cyran, Arnauld, Pascal, Nicole) usiłujących zwrócić katolicyzm ku wzorom dawnego chrześcijaństwa. W ogóle wiek XVII znaczy się w tej mierze dwoma prądami: „libertynizmem” czyli zdecydowanym niedowiarstwem (ogniskiem tego oświeconego i epikurejskiego libertynizmu było towarzystwo skupiające się około słynnej z urody i swobodnego życia *Ninon de Lenclos*) i reakcją przeciw niemu w postaci wzmożonego życia religijnego, znajdującego wyraz w licznych i surową regułą praktykujących klasztorach (św. Franciszek Salezy). Ogół publiczności bierze żywy udział w kwestiach religijnych. Najwyższym szczytem ducha religijnego staje się *Pascal* (1623–1662); szczytem wymowy kościelnej *Bossuet* (1627–1704).

Drugą wielką manifestacją epoki są narodziny wspaniałego klasycznego teatru: tragedii z *Corneillem* (1606–1684), komedii z *Molierem* (1622–1673). Bezcelowe byłoby w tym króciutkim szkicu przytaczać łańcuchy nazwisk łączących tragedię Corneilla i komedię Moliera ze średniowieczem; dwaj ci twórcy tak bardzo odskakują od tego, co było przed nimi, iż jeżeli chodzi o *żywe słowo* literatury, a nie o jej zabytki, możemy śmiało wziąć ich jako początek. Corneille stwarza w swoim teatrze ów wspaniały koturn, dostojność, heroizm nadludzi, starcie szlachetnych idei, tryumf wszechmocnej woli. Molier idzie drogą studiów namiętności, wprowadzając na tę drogę następcę Kornelowego, *Racine'a* (1639–1699), pod którego piórem analiza ta zmienia się głównie w monografię miłości. Satyra Moliera staje się potężnym narzędziem walki o wolność myśli, dobijającym przeżytki scholastycyzmu, które trzymają się kurczowo władzy w oficjalnej nauce. Obcinając szyderstwem szlacheckie wybujałości, ośmieszając staroświecczyznę, Molier toruje drogę nowemu obyczajowi, idąc w tym ręką w rękę z antyfeudalną, mieszczańską raczej polityką Ludwika XIV.

Z Celimeną molierowską wchodzi na scenę wykwintna paryska dama, dzierżąca w dłoni berło dobrego smaku. Bo też od czasu Pań swawolnych kobieta uczyniła postępy. Z chwilą gdy z prowincjonalnych zamków arystokracja ściągnęła do Paryża, aby tam zamieszkać w swoich pałacach, salon zaczyna odgrywać wybitną rolę. Czym dwór na wielką skalę, tym staje się na mniejszą salon: środowiskiem kultury towarzyskiej i umysłowej, terenem gdzie — z wzajemną korzyścią — spotykają się niemal na stopie równości wielcy panowie i utalentowani pisarze, areną ćwiczeń i popisów literackich. I właśnie przez swoje ograniczenie, przez większą spoistość, troskliwszy dobór ludzi, może swoje zadania spełniać skuteczniej niż sam dwór. A salon ten to — kobieta.

Salony stają się filtrem czystości języka. W w. XVI język jest jak kipiący kocioł. Warzy się w nim niezliczona mnogość elementów, łaciny, greczyzny, włoskiego, hiszpańskiego, gwary ludowej, prowincjonalnej: z tego materiału każdy pisarz korzysta, jak chce, każdy pisze innym językiem. Rabelais jest już od klasycznej francuszczyzny siedemnastego wieku bardziej oddalony niż Rej od dzisiejszej polszczyzny; a i Montaigne nie jest dla Francuza bynajmniej łatwą lekturą. W XVII wieku zaczyna się i w krótkim czasie spełnia owo „klarowanie” języka.

W poezji dokonał tego dzieła *Malherbe* (1555–1628). Z mnóstwa neologizmów językowych, które począł wiek XVI, stworzył tę nowoczesną strofę, w której poezja francuska aż nazbyt skłonna była przybierać postać doskonale jasnej i harmonijnej retoryki. Mierny myślami prozaik *Guez de Balzac* (1597–1654) oraz *Vaugelas* (1585–1650) jako prawodawca gramatyki uświęcił te, które język strawił, odrzucił te, których język nie chciał — dokonują ustalenia klasycznego języka francuskiego. Patronują temu dziełu kobiety (które wydadzą w XVII w. parę wybitnych autorek), zwłaszcza słynny *Pałac Rambouillet*, zanim założona niebawem przez kardynała Richelieu *Akademia francuska* (1635) stanie się urzędowym stróżem czystości języka, którą to funkcję spełnia po dziś dzień. Tak więc zmanierowane później i nielitościwie przez Moliera wyszydzone „Wykwintnisie” (panna de *Scudéry*, autorka głośnych współczesnych powieści, przesyconych sztucznym sentymentalizmem) odegrały w literaturze swą dobroczynną rolę: w epoce, kiedy typem szlachcica i kawalera był jeszcze rubaszny zabijaka, one starały się wprowadzić polor, smak i poczucie literackie. Dopełnił dzieła *stawiania się* francuskiej prozy geniuszem swym Pascal (Prowincjałki).

Obok polerowania języka, poleruje się myśli. Studium człowieka podjęte przez Montaigne'a rozpowszechnia się, staje się namiętnością, modą. Psychologizowanie, kreślenie aforyzmów, portretów jest w wieku XVII ulubioną zabawą towarzyską. W

literaturze znalazły te dwa rodzaje niedościgniony wyraz: aforyzmy, tzw. „maksymy”, w *La Rochefoucauldzie* (1613–1689), portrety w *La Bruyere* (1645–1696). Listy pisywane do córki pomieściły panią *de Sevigné* (1626–1696) w rzędzie klasyków. Z panią *de la Fayette* (1634–1696) psychologia wnika do powieści, która z opowiadania mającego jedynie bawić przemieni się w analizę duszy ludzkiej. W powieściach *Lesage'a* (1668–1747) psychologia, skojarzona z szerokim tłem obyczajowym, szkicuje już pełny obraz społeczeństwa, który mistrzowsko kiedyś, w innej epoce, namaluje Honoriusz Balzac.

Jak cechą arcydzieł XVI w. jest bogactwo chaosu mającego urodzić świat, przy zupełnym braku kompozycji, tak znów wiek XVII — to ograniczenie się, doskonałość, jasność. Tragedia Racine'a, maksyma La Rochefoucaulda, bajka *La Fontaine'a* (1621–1695) — oto w różnych rodzajach wzory tej klasycznej czystości. Kodyfikatorem jej i stróżem stał się słynny prawodawca poezji, autor *Sztuki poetyckiej*, *Boileau* (1636–1711).

Literaturę XVII w. kształtowały dwa elementy: rasowy racjonalizm oraz żywe źródła starożytności. Stopniowo na schyłku wieku racjonalizm bierze górę, współzycie ze starożytnością zanika. Probierzem literatury staje się *intelekt*; rodzi się hasło *postępu* ludzkości. „Starożytni — wołają ci nowi apostołowie — to były dzieci, które wierzyły w baśnie, barbarzyńcy. Cyrus, powieść panny de Scudéry, przewyższa inwencją Iliadę Homera”. Pisanie wierszem wedle La Motte'a (autora „poprawionego” Homera, oczyszczonego z barbarzyństwa i przystosowanego do wymagań oświeconego wieku) jest „niedorzecznością ludzi, którzy wymyślili specjalną sztukę, aby uniemożliwić sobie ściśle wyrażenie tego, co chcą powiedzieć”. Ta zacięta walka między „zacofanymi” czcicielami starożytności a „modernistami” toczyła się blisko pół wieku; wreszcie modernści wzięli górę. Zresztą wspinały rozkwit literatury francuskiej w XVII wieku przyznawał im niejako słuszność; literatura ta, wchłonawszy w siebie starożytność i przetworzywszy ją na swoją modłę, nie potrzebowała się w niej zasklepić: ona z kolei stała się klasycznym wzorem. Tylko jako wzór miała swoje niebezpieczeństwo: będąc sama odbiciem świata widzianego poniekąd przez pryzmat starożytności, stawała się we wtórnych swych odbiciach już zupełnie oderwaną od gruntu, konwencjonalną i jałową. Dążenie do najogólniejszych wzorów człowieka groziło wyrodzeniem się w algebrę ogólników. Dostrajanie się do „dystynkcji” salonu sprowadzało okrojenie, zubożenie ludzkiej prawdy. Aby znaleźć nowe źródła twórczości, literatura będzie musiała ich poszukać wprost w sercu człowieka i we wnętrzościach ziemi ojczystej.

IV. Wiek XVIII i kwestia społeczna. — Montesquieu, encyklopedia, Wolter. — Salon. — Ateizm, zepsucie. — J. J. Rousseau. — Komedia

Na razie wiek XVIII znaczy się upadkiem literatury, podporządkowaniem jej innym celom. Pochłaniają ją w znacznej mierze kwestie polityczne i społeczne. Więcej doraźnie działa, niż wydaje trwałych dzieł. Ale to właśnie ocaliło ją od zupełnego wyrodzenia i wyjałowienia w tym przejściowym okresie między klasycyzmem a romantyzmem. Przykładem Wolter: mierny we wszystkich rodzajach z wyjątkiem wtedy, kiedy piórem jego kieruje namiętność polityczna i werwa agitacyjna. Gorycz społeczna dała najlepsze soki twórczości Russa i Beaumarchais'go.

Nakreślmy w kilku słowach sytuację, którą zastał wiek XVIII.

Reformacja w w. XVI rozdarła Francję wojnami religijnymi, poza którymi kryły się ambitne roszczenia wielmożów. Henryk IV uspokoił i zespolił Francję, ale za syna jego, Ludwika XIII (1610–1643), a zwłaszcza za regencji w czasie małoletniości Ludwika XIV, faksje podniosły znowu głowę. Walczył z nimi z całą stanowczością, w imię jedności Francji i władzy królewskiej wszechmocny minister Ludwika XIII, kardynał Richelieu; zręcznością pokonał *Fronde* (1648–1653) następcę jego, Mazarin. Do połowy XVII w. niemal cała szlachta francuska była pod bronią: nastrojowi epoki odpowiada rycerska i męska tragedia Corneille'a. Ludwik XIV (1643–1715), mający wysokie poczucie władzy oraz jedności państwa, które utożsamiał z własną osobą („Państwo, to ja”), na inny sposób dokończył dzieła Richelieu'go, w czym natchnęło go właściwe jego młodości upodobanie w przepychu i zabawach. Stworzył świetny dwór, ściągnął doń szlachtę i magnatów, czyniąc zeń słońce wszelakich faworów i znaczenia, a zarazem siedzibę uciech i mody. Życie poza dworem, niełaska, równały się śmierci. Podczas gdy rządy przechodziły w ręce zdolnych mieszczańskich synów, Ludwik XIV zabawiał szlachtę polowaniem, teatrem i fajerwerkami, popychał do zbytku i gry, aby, rujnując się, stała się zawisła jedynie od jego łask i darów. Wykwitem tego oddychającego miłością młodego dworu jest tragedia Racine'a, urzędowym zaś jego bawicielem był Molier, wspólny z nadwornym muzykiem *Lullim*.

Z latami dwór stawał się mniej wesoły, a bardziej sztywny i nadęty, ale despotyzm nie malał; przeciwnie. Król, chylący się z wiekiem do dewocji, dawał sobą powodować spowiednikom, coraz bardziej obcy rozwijającemu się społeczeństwu. A tymczasem w cieniu tronu dojrzywał — naród: inteligentne, silne i coraz bardziej świadome siebie mieszczaństwo oraz lud zaczynający się spostrzegać, iż on to płaci kosztą tych kawalkad

i festynów. Fatalne dla Francji i dworu było odwołanie (1685) edyktu nantejskiego, dzieła pokoju, które zostawił Henryk IV, wskutek czego mnóstwo rodzin z najtęższego francuskiego mieszczaństwa opuściło kraj, tworząc poza jego granicami opozycję. Dwór Ludwika XIV stał się wskutek rosnącej chciwości dworaków niby polip wysysający Francję za pomocą podatków bezwzględnie ściąganych z najuboższej głównie ludności. Niepowodzenia polityczne i militarne na schyłku panowania dopełniają tego smutnego obrazu. Wyrazem budzącego się ducha krytyki wśród współczesnych jest *Fénelon* (arcybiskup Cambrai, 1651–1715), którego *Telemak*, powieść pedagogiczna pisana dla przyszłego władcy, kreśli ideał polityczny wręcz przeciwny duchowi Ludwika XIV.

Ze śmiercią starego króla (1715) ujawnia się powszechne bankructwo systemu. Autokratyzm, dobroczynny w początkach, kiedy chodziło o zjednoczenie Francji, okazał się w końcu zabójczym. Cały gmach zewsząd trzeszczy i domaga się reform. W tej sytuacji literatura oddaje swe najlepsze siły służbie społecznej. Przygrywkę daje *Montesquie* (1689–1755) w lekkiej książeczce *Listy perskie* (1721), zawierającej jakby szkic myśli, które rozwinie później w poważnym dziele swego życia, *Duchu praw*. Pod wodzą *Diderota* (1713–1784) i *Dalemberta* (1717–1783) skupiają się najtęższe mózgi Francji około monumentalnego dzieła *Encyklopedii* (1751–1772, 28 tomów). Dzieło to dawało informacyjny jakoby całokształt wiedzy ludzkiej; ale informacja zabarwiona była w ten sposób, iż stanowiła potężne narzędzie propagandy wolnej myśli, racjonalistycznej filozofii, demokracji, godności pracy. Roi się we Francji od ulotnych broszur, powiastek, dialogów, epigramów, mających na celu propagandę i agitację. Do największej doskonałości doprowadził ten rodzaj *Volter* (1694–1778); zetknąwszy się za młodu dzięki wygnaniu z Francji ze społeczeństwem angielskim, przeszczepił stamtąd myśli i pojęcia, które, w Anglii zupełnie naturalne, staną się we Francji zaczynem rewolucji. Cała druga połowa życia *Voltera* wypełniona jest tym rodzajem twórczości. Budzić myśl, uświadamiać, rozpraszać ciemności, przygotowywać powstanie nowego świata, zbudowanego na podstawie *rozumu* — świata, w którego przyście ci filozofowie wierzyli niezłomnie — oto hasło chwili. Krąży ogromna korespondencja; przy szczupłych rozmiarach i skneblowaniu ówczesnej prasy, listy zastępują gazetę.

Równocześnie rozwija się puścizna XVII w.: salon, kultura towarzyska, która daje Francji hegemonię moralną w Europie, czyni ją arbitrem mody i smaku, język zaś jej językiem świata. W wieku XVIII wszyscy niemal oświeceni ludzie w Europie, poczynając od monarchów, mówią, myślą, noszą się po francusku, czują się niejako

obywatelami Francji na wygnaniu. Fryderyk pruski zabiega o względy Woltera, Katarzyna II – Diderota; Stanisław August nazajutrz po koronacji pisze do pani Geoffrin, starej mieszczki paryskiej, w której salonie gromadzili się filozofowie: „Mamusiu, twój synek jest królem”. W tej atmosferze nabrzmiałej myślą, projektami reform, rewizją filozoficzną wszystkich pojęć i urzędzeń, salon staje się ważnym centrum umysłowym, polityczną instytucją. Taka panna *de Lespinasse* jest dzięki swemu salonowi osobistością niemal oficjalną.

Dominującą cechą XVIII wieku staje się niereligijność. Obłuda religijna u schyłku panowania Ludwika XIV i rządy sutanny zdyskredytowały religię. Poważny i surowy jansenizm wyrodził się w drobiazgową wojnę z jezuitami; księża z wyższych sfer uciekają od swych obowiązków, uważając swe godności za tłuste synekury. Kościół jest wobec grożącego niebezpieczeństwa niemal bez oporu. Na tym tle czyni postępy *racjonalizm*, czyli, jak go nazywano wówczas, *filozofia*. Zwiastunem tej filozofii, sceptycznej, antyreligijnej niemal bez osłonek, jest już u schyłku XVII w. Piotr *Bayle* (1647–1706) w swoim ogromnym Słowniku filozoficzno-krytycznym. Filozofia ogranicza swą religię do dość luźnego *deizmu*; w licznych pismach wydawanych oczywiście bezimiennie prowadzi zaciętą kampanię przeciw religii, zwłaszcza przeciw katolicyzmowi (Wolter, Diderot). Lewe skrzydło racjonalizmu (*Helwecjusz*) kształtuje swe pojęcia w duchu skrajnie materialistycznym.

Obok niereligijności daje się czuć pęd do rozkoszy. Dwór, Paryż, dławiony nudą za ostatnich lat Ludwika XIV i jego nieurzędowej małżonki, pani de Maintenon, rzuca się w wir uciech i zabaw. Rej wiedzie w tym sam Regent, sprawujący rządy w miejsce małoletniego Ludwika XV (ur. 1710, panował 1715–1774): tak iż słowo *régence* jest w języku francuskim przymiotnikiem oznaczającym rozpustę. Stan ten trwa przez całe panowanie Ludwika XV. Wyższe sfery Francji stają się istną cieplarnią zbytku i rozkoszy, zaprawnej smakiem rosnącej wciąż kultury intelektualnej. W poprzednim wieku zabawa, miłość miały jeszcze cechy czegoś dość grubego; obecnie wydělিকাona i wyrafinowana wrażliwość znaczy się odcieniem dyletantyzmu psychologicznego, bawiącego się eksperymentem na żywym materiale.

Jak przedstawia się wśród tego właściwa literatura? O poezji nie ma co i mówić. Zepchnięta na dość daleki plan w w. XVII, tu zwęza się w powiastkę, madrygał, piosenkę, zabawę towarzyską. Próby stworzenia dzieł w większym stylu witane z entuzjazmem przez współczesnych (Henriada Woltera, poematy księdza *Delille*) wydają się dzisiaj szczytem oschłości i nudy. Tragedia (*Crébillon*-ojciec, Wolter)

przeżywa formy stworzone przez wiek poprzedni. Ogół widzi w literaturze raczej zabawę czysto umysłową; strawę dla rozumu, nie dla uczucia.

Wiek XVIII zostawił wszelako kilka dzieł noszących cechy epoki, a mimo to żywych: komedie *Marivaux* (1688–1763), powiastkę *Manon Lescaut* (1731) *Prévosta*, wreszcie to arcydzieło powieści, *Niebezpieczne związki* (1782) *Laclosa*, owoc dwóch wieków psychologicznej kultury. A na tych etapach: *Marivaux* — *Crébillon* (syn) — *Laclos*, możemy obserwować ewolucję *duszy wieku*, przesyconej rozkoszą i łatwością użycia. W komediach *Marivaux* delikatne upojenie łączy się jakby z nieśmiałością wyrazu, niby rozkosz witana przez młode serce. Bujna zmysłowość bohaterów *Crébillona* zaprawna jest odcieniem nudy szukającej podniety w deprawacji umysłowej. U *Laclosa* stępienie na rozkosz idzie już dalej: przeradza się w pęd do czynienia źle, do dręczenia; stwarza cyniczny machiawelizm miłości. W *Niebezpiecznych związkach* arystokratyczne społeczeństwo dojrzało do tego, aby je Rewolucja rozpędziła; był czas, aby wymieść tę „cieplarnię”, powybijawszy w niej szyby. Anegdoty z XVIII w. zebrane z przedziwnym zachowaniem posmaku epoki przez *Chamforta* (1741–1794) najlepiej oddają i jej ducha, i zarazem budzącą się świadomość zgnilizny.

Ten podmuch rozkoszy spływa się w XVIII w. nader charakterystycznie z prądem filozoficznym. W *Listach perskich* rozważania nad religią, ekonomią, obyczajami, przeplata autor dla orzeźwienia czytelnika scenkami dość lubieżnymi i ustępami dość płochymi: to będzie ton, na który nastroi się wiek XVIII. *Voltaire* (*Powiastki*), *Diderot*, zrozumieją doskonale wartość tej metody do celów propagandy.

Jedno nazwisko dzieli wiek XVIII na dwie połowy: *Jan Jakub Rousseau* (1712–1778). Cała praca reformatorska XVIII w. robiona była głową; *Rousseau* daje jej *serce*, daje namiętność, posępną, fanatyczną, nierozumiejącą się na żartach i dowcipie. To *lud*, który wkracza na arenę dziejów. Jednakże przesyty wyższych klas samymi sobą, swoim dowcipem, swymi miłostkami był tak silny, potrzeba jakiejś przemiany, nieokreślony lęk tak powszechne, że ta wytworna, przeżyta publiczność skwapliwie chłonie nauki *Russa*. Dla tych mózgów niezdolnych do prawdziwej religii jest to jakby świecki jej surogat. Nauka o „dobrym człowieku”, o „naturalnym człowieku” działa niby *Ewangelia*. *Lalki światowe* płaczą, czytając całą noc *Nową Heloizę*; po *Emilu* każą sobie przynosić dzieci do *Opery* i karmią je publicznie. Równocześnie ma *Rousseau* owe straszliwie wymowne słowa, które zapadają głęboko w serce ludu. „Nie ma dla was mąki na chleb, bo *im* trzeba jej do pudrowania peruk”: oto styl, którym piszą się — *Rewolucje*.

Jak wspominałem, wszystko prawie w tym XVIII w. jest martwe i mdłe, o ile nie czerpie soków w kwestii socjalnej: tak i komedia. Komedia osiągnęła wraz z Moliereem szczyt i zarazem jakby wyczerpała swój temat: na drodze samej psychologii niewiele da się w niej wydobyć. *Regnard* (1655–1709), *Dancourt* (1661–1725), *Lesage* ze swoim *Turcaret*em (satyra na finansistów, 1709), to najwybitniejsi spadkobiercy Moliera. Wiek XVIII, odarłszy królów z glorii pomazańców, czuje, iż śmiesznym jest zachowywać dla nich monopol tragicznych sytuacji: stara się tedy, bez większego powodzenia, stworzyć dramat mieszczański (Diderot, *La Chaussée*, *Beaumarchais*). Ten sam *Beaumarchais* (1732–1799) w *Weselu Figara* odmłodzi świetnie starą komedię, kiedy wpadnie na płodną myśl, aby w dawne formy wlać cały świeży zaczyn socjalnego buntu, gryzącego sarkazmu plebejusza.

Równoległe z kształtowaniem *metody myślenia*, kartezjanizm czy racjonalizm przyniósł z sobą pęd do studiów nad przyrodą, z których w znacznej mierze się urodził. Wpływ odkryć Newtona, Leibniza, przyczynia się również do zapłodnienia ducha badań we Francji. Wybitni encyklopedyści (*Dalembert*, *Condorcet*), kojarzą zmysł filozofii z badaniami matematycznymi; w *Buffonie* (1707–1788) genialny zmysł przyrodnika łączy się z przymiotami pierwszorzędnego pisarza i stylisty. Nie tylko uczeni specjaliści, ale cała epoka przesiąka duchem nauk ścisłych. Margrabina du Châtelet, przyjaciółka Woltera, przekłada dzieła Newtona i podejmuje doświadczenia z zakresu fizyki. *Fontenelle* (1657–1757) jest najwierniejszym odbiciem tej „racjonalistycznej” literatury, w którą wyradza się schyłek XVII i początek XVIII w.: oschły jako pisarz, jest on wybornym popularyzatorem zdobyczy naukowych (O mnogości światów).

Wreszcie zdobyczą końca XVIII w. jest odkrycie samej *natury*. Z natchnienia Russa, który przez większą część młodości był włóczęgą, wytworny światek opuszcza strzyżone szpalery, aby sobie budować „kabanki” w prawdziwym lesie, nad prawdziwym strumieniem: patrzy i zaczyna pojmować, że świat jest piękny — nawet w swej naturalnej postaci. Hymnem na cześć natury w utworach *Bernardina de Saint-Pierre* (1737–1814) kończy się ten wiek niespokojny, szukający gorączkowo wiar i formuł społecznych i znajdujący je w końcu — pod nożem gilotyny.

Wszyscy ci pisarze, filozofowie, ekonomiści (fizjokraci, Turgot), wolnomyśliciele przygotowywali wiek cały Rewolucję. Ani jej nie pragnęli, ani nie przecuwali; najsmielsi nawet nie myśleli o innej formie prócz oświeczonej i ograniczonej konstytucją monarchii na wzór angielski. Angielskie poglądy i urządzenia społeczne wywierały w XVIII w. wielki wpływ na polityczną myśl francuską. Ale stało się to, co zawsze:

rozpętanych sił nie dało się łatwo zatrzymać; przewrót poszedł w innym kierunku niż „panowanie rozumu”.

V. Rewolucja. — Wskrzeszenie religii, Chateaubriand. — Napoleon. — Romantyzm: poezja, teatr. — Powieść, Balzac; wpływ jego na teatr. — Nauka, krytyka

Nadchodzi wreszcie moment Rewolucji; dzieła, którego wielkości nie powinny przesłaniać nieodłączne prawie od takich przemian krwawe ofiary i szaleństwa. Na kilkanaście lat życie umysłowe we Francji zamiera. Gilotyna kosi rodzący się kwiat nowej poezji francuskiej w osobie *Andrzeja Chénier* (1762–1794). Jedyne z encyklopedystów, który doczekał się Rewolucji i mimo rodowego tytułu markiza brał w niej gorący udział, *Condorcet* (1743–1794), otrul się w więzieniu, aby uniknąć pewnej śmierci za rządów terroru. Sama Rewolucja objawia się literacko w dwóch postaciach: stwarza *wymowę polityczną* (Mirabeau, Danton) i *dziennikarstwo*.

Rewolucja przeszła po społeczeństwie jak krwawa gąbka i zmyła to, co było wprzód. Zniweczyła to wykwiłtne towarzystwo, w którym myśli kształtowały się według pewnej konwencjonalnej modły. Literatura wychodzi z salonu i już doń nie wraca. Czym był wprzód salon, tym stanie się dziennik. Zarazem przekreśla Rewolucja wybitnie humanistyczny charakter, jaki miała literatura: nauka, przemysł, życie praktyczne będą odtąd wywierały o wiele większy wpływ na jej kształtowanie niż świat klasycznej myśli. Odtąd autor nie będzie mówił do małej wybranej grupy, ale do wszystkich: „sztuka wychodzi na ulicę”, jak dziś się mówi. Znamienne dla poprzedniej epoki jest, że np. Diderot najciekawszych swoich utworów wcale za życia nie wydrukował; obiegały w rękopisie: na tę szczupłą garść osób, która się liczyła, to wystarczało.

Rewolucja zwała religię, zamknęła kościoły, na ołtarzu — w dobie szału wolności — posadziła nagą ulicznicę jako boginię Rozumu; i, rzecz szczególna, kiedy kościoły się otworzą, kiedy rozlegną się znów dzwony i zabrzmiały śpiewy liturgiczne, stanie się cud: ta religia, która od tylu wieków przestała być natchnieniem francuskiej literatury, stanie się punktem wyjścia jej odrodzenia, pocnie w niej nowe, nieznane wprzód piękności, dobędzie z niej skarby melodii i wymowy. Tym odnowicielem francuskiego słowa będzie *Chateaubriand* (1768–1848): dzieli on jak słup graniczny Francję XIX a XVIII wieku.

Nie trzeba wszakże przeceniać tych religijnych wzlotów. Wiek XIX zanadto był wykarmiony duchem krytyki i analizy, aby był zdolny do głębokiej wiary. Już chrystianizm Chateaubrianda jest zjawiskiem raczej estetyczno-literackim. Bądź co

bądź nie będzie już odtąd mowy o zaczepnej niereligijności, a miejsce szyderstwa zajmie cześć dla religii nawet u sceptyków. Zarazem chrystianizm będzie dla literatury kopalnią obrazów, nastrojów i stylu. Biblia, która była dla osiemnastowiecznego filozofa stekiem barbarzyństwa i śmieszności, stanie się niemal „podręczną książką” każdego poety.

Drugim współczynnikiem kształtującym w samym zaraniu przyszłą literaturę jest — *Napoleon*. Przypomnijmy sobie przepiękną inwokację z Pana Tadeusza „O, roku ów...” i wyobraźmy sobie, jak potężnie musiały być rozkołysane dusze całego tego pokolenia, którego wiek chłopięcy przypada na lata napoleońskiego eposu lub które bodaj bezpośrednimi tradycjami styka się z napoleońską legendą. Co za pobudzenie dynamiczne dla ambicji, dla woli, losy tego podporucznika, który stał się cesarzem Francuzów!... „Czego on dokonał szablą, ja dokonam piórem”, wyrył sobie Balzac u podstawy popiersia Napoleona, które miał na biurku: i pracował po osiemnaście godzin na dobę, chcąc mieć świat u swoich nóg. Tego typu pracy literackiej nie znało przedrewolucyjne społeczeństwo; salon nie żądał od pisarza tak wiele i niemile by widział taką dezercję.

Pomędzy Rewolucją a upadkiem Napoleona upłynęło lat dwadzieścia pięć. Niejeden syn ludu został marszałkiem Francji; nie było wsi, gdzie by na piersiach robotnika, chłopa nie czerwieniła się wstążeczka Legii. W eposie napoleońskiej lud francuski w czarodziejskim skrócie przebył wieki bohaterskiej historii Francji; w siedmiomilowych butach dognał swoich starszych braci. Odebrawszy już poprzednio szlachcie wszystkie przywileje, wydarł jej ten ostatni, bez którego zrównanie nie byłoby nigdy istotnym: przywilej bohaterstwa, przywilej umierania za ojczyznę, za chimerę sławy — szlachetniejszej jeszcze, ofiarniejszej, bo bezimiennej! — umierania pięknie, z chwałą; wydarł jej całą poezję heroizmu i przewyższył o tyle, o ile Napoleon przewyższył wszystkich dawnych wodzów. Z tą chwilą supremacja urodzenia pogrzebana była bez powrotu; z tą chwilą dopiero dzieło Rewolucji dokonało się w całej pełni.

O ile z końcem XVIII w. grunt twórczości literackiej uderza pewną jałowością, o tyle z początkiem XIX w. ziemia obficie zlaną krwią wydaje wspaniałą i bujną roślinność. Tłoczy się po prostu od talentów, od nowych form, myśli. Niebawem opanuje Francję ów potężny ruch literacki, który równocześnie występuje we wszystkich niemal krajach Europy: — *romantyzm*. Źródeł romantyzmu trzeba szukać wcześniej; trzeba ich szukać w egotycznej, pobudliwej, niesfornej indywidualności Russa; romantykiem czystej krwi był Chateaubriand; dopiero jednak po r. 1820 ruch ten skupi się w prawdziwą *szkołę*, a

literatura stanie się terenem walki. Chodzi tu, ni mniej ni więcej, tylko o przekreślenie ostatnich trzech wieków rozwoju tej literatury. W miejsce humanizmu — średniowiecze; w miejsce renesansu — gotyk; w miejsce klasycznego umiaru — romantyczne rozwichrzenie; w miejsce obiektywizmu — indywidualizm; w miejsce psychologii — obraz. Jest to epoka żywej wymiany duchowej narodów między sobą: Byron, odkryty przez romantyków Szekspir, zagadkowy Osjan, Dante, Schiller, Goethe, wszystko to oddziaływa na twórczość francuską.

Oczywiście ten antagonizm między Francją nową a Francją poprzednich wieków jest tylko pozorny. Paręset lat dyscypliny języka i myśli, to nie są rzeczy, które by można przekreślić. Toteż romantyzm francuski pozostanie równie rasowo francuskim jak nim był klasycyzm; ten sam duch oblecze się w inne formy, bogate i różnorodne.

Literatura francuska XIX w. popłynie kilkoma łóżyskami.

Przede wszystkim *poezja*: o tej można powiedzieć niemal, że to są jej narodziny, od tak dawna głos jej nie brzmiał w mowie francuskiej. Chateaubriand był wielkim poetą piszącym prozą: stworzył wspaniałą poetycką prozę, która taki oddźwięk znalazła u nas w Krasińskim i Słowackim. Około roku 1820 zjawiają się trzej przyszli mistrze poezji, *Lamartine* (1790–1869), *de Vigny* (1797–1863) i *Wiktor Hugo* (1802–1885), w których ustach wiersz francuski nabędzie nieznaną dotąd śpiewności i wymowy, załśni się bogactwem rytmów i tonów. Obok nich, *Musset* (1810–1857) czaruje kapryśnym wdziękiem młodego pafia, płatając figle zarówno klasykom jak i „urzędowemu” romantyzmowi. Przez *Teofila Gautier* (1811–1872) muza romantyczna podaje rękę poezji niemal współczesnej: Banville, „parnas”, Leconte de Lisle, Baudelaire, Sully Prudhomme, Verlaine, „symboliści”...

Obok poezji, romantyczny *dramat*. I tu Wiktor Hugo na czele, ze swoim olbrzymim temperamentem literackim. Burzliwa premiera *Hernaniego* (1830) stanowi datę. Romantyzm stwarza dramat własnego typu: bombastyczny, jaskrawy, oparty na gwałtownych kontrastach i efektach. Przetrwał on o tyle, o ile ocalał go wiersz Wiktora Hugo. Na uboczu od tego hałasu rozwinął się delikatny, bardzo osobisty teatr Musseta. I ten był trwalszy.

Rozkwit *powieści* jest faktem najbardziej może dominującym nad literaturą XIX w. Powieść odgrywała w dawniejszej literaturze rolę kopciuszka, lekceważona jako „niższy rodzaj”. Uświetnił ją i podniósł w dostojeństwie Rousseau; ale sława jego nie była sławą powieściopisarza. Toż samo *Benjamin Constant* kreśli swego Adolfa jakby wstydliwie, na marginesie innej twórczości. Pierwszy traktuje powieść w duchu nowoczesnym

Stendhal (Henryk Beyle, 1783–1842): pisząc *Czerwone i czarne*, stara się obok analizy psychologicznej, dać przekrój współczesnego społeczeństwa. Dopiero jednak w *Balzaku* (1799–1850) znajduje powieść tego, który potrafił ją narzucić swemu wiekowi tak, iż odtąd powieść usunie na bok inne rodzaje literatury jako najsposobniejsze narzędzie wyrażania się nowoczesnego pisarza. Obok Balzaca uprawiają przygodnie powieść poeci: Hugo, Vigny, Musset, Gautier; olbrzymi rozgłos zyska powieściami swymi kobieta, Aurora Dudevand (*George Sand*, 1804–1876); Aleksander *Dumas-ojciec* (1803–1870) ilustruje błyskotliwie historię Francji kilkoma cyklami powieści historycznych. Na uboczu od prądów chwili cyzeluje rozmyślnie oschłym stylem *Prosper Mérimée* (1803–1870) swoje klasycznie doskonałe opowiadania. *Murger* (1822–1861) utrwała we wdzięcznych obrazkach fenomen społeczny, którego nie znał prawie wiek XVIII przy swojej instytucji „salonów”: *cyganerię* artystyczną. Przejście od romantyzmu do „naturalizmu” stanowi *Flaubert* (1821–1880), zaciekle pracownik niestrudzenie pasujący się ze słowem. Zapóźnionym romantykiem jest oryginalny i pełen niesamowitego uroku *Barbey d'Aurevilly* (1808–1889). Hasło naturalizmu związane jest z nazwiskiem *Zoli* (1840–1903); powieść obyczajową uprawiają *Daudet*, *Maupassant* (klasyczny mistrz *nowel*). *Bourget* przedstawia kierunek psychologiczny, *Loti* egzotyzm, *Anatol France* błyskotliwe żonglerstwo idei.

Powieść Balzaca oddziaływała na *teatr*. Idąc po wskazanej przezeń drodze, stara się teatr połączyć analizę duszy ludzkiej z malowidłem obyczajów i roztrząsaniem problemów społecznych; przy czym, usunawszy na drugi plan tragedię, a dość rzadko sięgając do dramatu, poszedł prawie wyłącznie drogą komedii (często do dramatu zbliżonej), osiągając na tym polu niepospolitą doskonałość, narzucając swój repertuar całej Europie, a zarazem zdobyciami faktury oddziałując na rozwój teatru w innych krajach. Wyłącznie zręcznością tej faktury stoi teatr *Scribe'a* (1791–1861); więcej nieco treści przy równej zręczności umiał mu dać *Sardou* (1831–1908). *Augier* (1820–1889) maluje w swych komediach współczesne mieszczaństwo: *Dumas-syn* (1824–1895), rodzaj salonowego apostoła, porusza w swych sztukach tezy obyczajowe, dziś dość przebrzmiałe. *Labiche* (1815–1888) wydoskonala technikę nowoczesnej krotchwili; *Meilhac* i *Halevy* stwarzają własny rodzaj w librettach do operetek Offenbacha.

Równocześnie z tym rozkwitem literatury rozwijają się i ścierają idee społeczne, które przekazało wiekowi dziewiętnastemu poprzednie stulecie. Obok Chateaubrianda-artysty — i w większym jeszcze stopniu — zaprzeczeniem haseł Rewolucji jest pisarz polityczny Józef de *Maistre* (1754–1821) żądający odbudowy tronu z nieograniczoną

władzą. *Saint-Simon* (1760–1825) staje się wyrazem doktryn humanitarnych, apostołem świata pracy, prekursorem socjalizmu. Ksiądz *Lammenais* (1782–1854) pragnie pogodzić ducha religii z duchem nowożytnego społeczeństwa, katolicyzm z ideą demokracji. Uczeń Saint-Simona, *August Comte* (1798–1857), staje się twórcą pozytywizmu, wiążącego się ściśle z racjonalizmem XVIII wieku.

Na pograniczu literatury a wiedzy znajduje się w XIX wieku nauka *historii*, która pod piórem francuskich pisarzy nie zasklepia się w świecie uczonych, ale czarując stylem i barwnością wykładu, rywalizuje w poczytności z beletrystyką. Thierry, Michelet, Guizot, Renan, Taine, Sorel to zaledwie kilka najświetniejszych nazwisk pośród całej plejady. Wiek XIX wreszcie jest kolebką francuskiej krytyki literackiej, która stanowi jeden z najświetniejszych i najbardziej rasowych przejawów francuskiego ducha: subtelność i ścisłość jej analizy, wnikliwość i gibkość inteligencji oraz urok formy czynią z niej zjawisko zaledwie że spotykane poza granicami myśli francuskiej. Twórcą nowoczesnej krytyki literackiej jest *Sainte-Beuve* (1804–1869); spadkobiercami jego *Taine* (1828–1893), *Brunetière*, *Lemaître* i. in.

Wreszcie z samym końcem XIX wieku literatura francuska znów odmienia fizjonomię: z krytycznej, analitycznej, sceptycznej wchodzi w znak idealizmu, a zarazem służby narodowej i społecznej, zabarwionej nieraz odcieniem mistycznym. Można by rzec, iż dusza narodu jakby przeczuwa niedaleką chwilę próby, skupia się w sobie, tęży i przygotowuje do tych wielkich dni, które skończyły się drogo kupionym zwycięstwem. W tej ostatniej dobie najlepsza literatura stała się daleko wyłącznie *francuską*, daleko ekskluzywniej narodową; dlatego promieniowanie jej na Europę było daleko słabsze niż w poprzedniej fazie, bardziej — rzecz można — kosmopolitycznej. — Na tym trzeba mi skończyć ten bardzo pobieżny szkic ułatwiający może zorientowanie się w głównych etapach literatury francuskiej i to do pierwszej połowy XIX w.; dalej bowiem nie sięgałem na razie w swoich przekładach, poza jednym *Verlainem*, którego obecność w tym zbiorze jest wyrazem mojej dlań osobliwej tkliwości.

VI. Charakter literatury francuskiej. — My a Francja

Oto zatem literatura francuska. Możemy w niej śledzić na przestrzeni kilku wieków bez przerwy ewolucję ludzkiego ducha. Albowiem literatura ta jest głęboko ludzka. Raz przez swą szczerość. Potrzeba drążenia w głąb, poprzez wszystkie konwencje, poprzez wszystkie kłamstwa społeczne, w głąb własnej duszy; nieubłagana — niekiedy pod

żartobliwą formą — powaga i uczciwość w stosunku do własnej myśli: oto jej cechy. Ludzką jest i przez szerokość skali, jaką ogarnia: od najszczytniejszych zagadnień ducha aż do jego uroczych płochości; od wzlotów szlachetnej poezji aż do matematycznie ścisłych rozumowań. Skala ta ma wszelako swoje granice: rasowa potrzeba jasności myśli broni jej zapuszczać się poza sferę poznania; poza tymi granicami zaczyna się poezja, wiara, mistyka i te znajdują w mowie francuskiej wspaniałe wyraz; instynktu metafizycznych łamigłówek brak jest francuskiej umysłowości prawie zupełnie. Wrodzone jej natomiast jest dążenie do porządku w myśleniu, do konstrukcji, do uogólnienia, poczucie miary, smaku i formy. A z arystokratycznym wykwintem łączy ona najbardziej demokratyczną powszechność. Być jasnym, być zrozumiałym; nie uronić nic ze swej myśli, a równocześnie podać ją możliwie największej ilości ludzi, oto instynktowne dążenie francuskiego pisarza. Bo wszystko da się wyrazić po prostu: wszak filozofia grecka mówiła o najwyższych przedmiotach na ulicy, na placu publicznym, potocznym językiem, z lada przechodniem. Od czasu Grecji ideał ten urzeczywistnił się tylko raz jeden — we Francji. Myśl nie wspina się tam na szczydła, idzie swobodnie po ziemi, często tanecznym krokiem. Gaia scienza, radosna wiedza, o której marzył Nietzsche — to literatura francuska. I wciąż na czele, wciąż na wyłomie; zmieniająca formy, ale wciąż olśniewająca, umiejająca nieprzerwanie ściągać wzrok całego cywilizowanego świata ku temu ognisku myśli, gustu, dowcipu, które się zwało Paryżem.

Na tym kończę ten szkic. Niejednego zachęci on może do wejścia w bliższy stosunek z tym piśmiennictwem, którego nieznajomość nazwałbym niemal kalectwem duchowym; niejednego, znającego literaturę francuską dorywczo i tylko w jej współczesnej postaci, uchroni może od owych powierzchownych sądów, z którymi zdarza się spotkać tak często.

Jaką drogą bowiem ogół polski (myślę o nieznających języka, a jest to olbrzymia większość) zapoznaje się dziś z literaturą francuską? Przez teatr — komedię, farsę, zniekształconą samym faktem przeszczepienia w różne obyczajowo środowisko, a nieraz także przez tłumacza i aktorów — i przez powieść, o której wyborze, a zwłaszcza sposobie wydania rozstrzygają najczęściej względy łatwego zysku. Dochodzi literatura „lekka”, a i to, co w tej literaturze, nieraz tak pełnej uroku i mądrości, jest duchem Francji, jej kulturą, stylem, wdziękiem, uczuciem, najczęściej się ulatnia; zostaje — jakże pogrubiona! — owa „pikanterja”, stanowiąca w pojęciu wielu jakby markę ochronną „francuskiego towaru”. *Myśl* francuska nie dochodzi do nas prawie zupełnie.

Oddzielono nas od niej chińskim murem. Wy tłumaczono nam, że jest „płytką”. Nauczono rozprawiać o „zgnilej Francji”. Pisarz francuski to dla wielu blagier, dla którego nie ma nic świętego, który ze wszystkiego się śmieje i mówi sprośności.

Więc dobrze. Skoro przeznaczeniem naszym jest poznawać Francję z owej „śmiejącej się” strony, nauczmyż się bodaj rozumieć ten francuski uśmiech. Wieki nieprzerwanej pracy i kultury są poza tym uśmiechem. Trzeba było zdeptać we wszystkich kierunkach wszystkie ścieżki, wszystkie dziedziny ducha, aby w świecie myśli stworzyć sobie ogródek intelektualnej zabawy, aby skrót mądrości pokoleń umieć podawać w żartobliwej formie. Trzeba było mieć Kartezjusza i Pascala, i Montesquieu'go, aby wydać Donnay'a i Flersa. Aby wydać ten miły sceptycyzm, który igra niewinnie ze sprawami świata, musiały przez parę wieków najtęższe duchy krzyżować idee niby błyszczące szpady; musiały dziesiątki myślicieli wywalczać prawo do myśli, często z narażeniem własnej głowy.

I w tym uśmiechu francuskim jakaż moc, jaki tryumf nad życiem, nad dolą! Ze straszliwej kaźni w Meungs urocą i żartobliwą balladą wzywa Villon współczucia kompanów. Z piosenką, z żartem na ustach, przez parę wieków idzie duch francuski naprzód przed całym światem, niosąc mu światło, wolność i wdzięk życia: — tak jak w ostatniej wojnie śpiewając płochą *Madelon* trwali żołnierze francuscy w bohaterskim oporze lub biegli do zwycięstwa. Ze śmiechem Rabelais naraża się na stos, aby swymi życiodajnymi „trefnościami” wybawić od stosu całe tysiące; śmiechem obronił przyszłe pokolenia Molier od tego, by je świętoszek gnębił, filozof ogłupiał, a lekarz zabijał; śmiechem wstrząsnął Wolter mury więzienia, w którym dławiła się ludzkość, a Beaumarchais ostatnim wybuchem śmiechu dał hasło do ich zwalania. Bez tego francuskiego śmiechu źle by się działo na świecie!

Jest wszakże nie tylko ta śmiejąca się Francja: jest Francja Pascala i Bossueta; i Francja Kalwina i Russa; i Francja Descartesa i Renana. Ale nawet kiedy jest poważny, zachowuje duch francuski swą zadziwiającą prostotę i naturalność, pod którą — zbyt gruntownie, niestety — oduczono nas szukać mądrości! Zaledwie oczom się wierzy, że Kartezjuszowa Rozprawa o metodzie, która rozstrzygnęła o biegu myśli ludzkiej i — można powiedzieć — zmieniła postać świata, to owe kilkadziesiąt stronic wolnych od napuszonej i zawilej gwary, mówionych jakże po ludzku... Na podstawie tej Rozprawy nie dopuszczono by Descartesa do habilitacji na żadnym szanującym się niemieckim uniwersytecie: zarzucono by mu brak — metody.

Poprzednio skreślony szkic ujawnia — częściowo bodaj — sekret tej prostoty, tego wdzięku, jasności, z jaką wyraża się myśl francuska. Ktokolwiek choćby najpowierzchniej zetknął się z tą literaturą, tego musiało uderzyć, do jakiego stopnia przenika ją atmosfera kobiety. Tak dalece, że aż razi nas to niekiedy, nas, sarmatów nawykłych z dawna zabawiać się szklanicą w jednej izbie, podczas gdy *białe głowy* radzą o swoich białogłowskich sprawach w drugiej. We Francji inaczej. Tam od kilku wieków kobieta jest towarzyszką wszystkich chwil mężczyzny, a nie rzadkich (stosunkowo) jego momentów. Aby nie zostać samą (czego nie znosi), uczyła się w szesnastym wieku po grecku; w siedemnastym dyskutowała o Łasce skutecznej, *wirach* Kartezjańskich i subtelnościach gramatyki; w osiemnastym zgłębiła ekonomię, wtargnęła do pracowni fizyków i do obserwatoriów astronomicznych. I Francuz nie chciał mówić tylko do mężczyzn; chciał mieć nie tylko słuchaczy, ale i słuchaczki. Montaigne najpodnioślejsze części *Prób* dedykuje Małgorzacie nawarskiej; Descartes przez wzgląd na swoje uczennice zmienia łacinę na francuszczyznę, czyniąc tym przewrót w kulturze filozoficznej swego kraju; Pascal rozumie doskonale, iż nawet broniąc sprawy Boga, dobrze jest panie mieć za sobą. La Rochefoucauld kreśli swoje Maksymy dla zabawy pani de la Fayette; Wolter swój *Zarys historii obyczajów* dla pani du Châtelet i tak dalej, bez końca. Niewiele jest w XVII i XVIII w. dzieł, które by w rękopisie nie przeszły przez salon lub sypialnię jakiej damy. Czasami, zapewne w słabszych swoich chwilach, w tym obcowaniu duchowym myśl zdrabnia się, schodzi do kobiety; ale częściej podnosi kobietę do siebie, nie czyniąc sama żadnych ustępstw, znajdując natomiast cudownie jasne i dostępne formuły wyrażania się. Za tę niespożytą zasługę, jaką ma kobieta w *klarowaniu* się myśli francuskiej, przebaczymy jej te koronkowe majteczki, które — ku naszemu zgorszeniu — pokazuje nam czasem na scenie lub w powieści.

Kończę tedy gorącym życzeniem, aby ten zbiorek kazał polskim czytelnikom rozsmakować się w dawnej literaturze francuskiej. Żyliśmy jeden wiek w niewoli; dwa poprzednie bez mała w głębokiej ciemności. Zatomowano nam tyle źródeł myśli, okaleczono tyle dziedzin ducha, brak nam mnóstwa, mnóstwa rzeczy, bardziej jeszcze w sferze intelektu niż w jakiegokolwiek innej. Żadna literatura współczesna nie da prawdziwej kultury umysłu: zanadto jest odbiciem chwili, za wiele ma elementów mijania, za mało jest *gęsta*. Na pożywny bulion myśli trzeba wieków. Zwróćmy się tedy do Francji po to, czego nam nie staje: jest to, jak nasza naturalna sojuszniczka w

polityce, tak i nasza wypróbowana dobra nauczycielka w myśleniu. Mamy własnych wspaniałych romantyków; uczynmy sobie z pisarzy francuskich swoich klasyków.

Kraków, listopad 1921.

*

Prastary mit o Tristanie i Izoldzie zrodził się prawdopodobnie wśród plemion *celtyckich* zamieszkujących wybrzeża kanału la Manche. Jak wiadomo, jednostka etnograficzna i cywilizacyjna, nosząca miano *Francji* jest tworem wynikłym ze zlania się trzech odrębnych ras, z których każda przyniosła jej w dani swe cenne własności. Galię, której podboju dokonał Cezar na czele rzymskich legionów, zamieszkiwały od niepamiętnych czasów plemiona *celtyckie*. Pokonani przez Rzymian Celtowie przyjęli od zwycięzców prawa, obyczaje, kulturę i język. Ale kultura *łacińska* w epoce, gdy załała Galię, była już skażona, schyłkowa; nie miała siły do wytworzenia nowej i bujnej formacji narodowego życia. Rozpadła się w proch przy zetknięciu z inwazją barbarzyńskich, ale pełnych żywotnego soku *Germanów*, którzy jako Frankowie wniknęli do rzymskiej Galii. Nowi najeźdźcy roztopili się w masie galo-łacińskiej, ale mocą twórczego swego zaczynu dokonali procesu, z którego wyszła rasa i język francuski. Podłożem nowo tworzącego się języka była przede wszystkim łacina. Język celtycki, wyparty przez podbój rzymski, wegetuje jedynie wśród ludności wiejskiej; wreszcie ginie zupełnie około VI wieku. Łacina, która zajmuje jego miejsce, nie jest oczywiście klasyczną łaciną Horacego i Cycerona. Jest to pospolita gwara żołnierzy, kupców i niewolników, zanieczyszczona już pierwotnie pomieszaniem ras i narodów tworzących imperium rzymskie, a przekształcająca się coraz więcej w ustach mówiących nią Celtów. Wreszcie pod wpływem zetknięcia się z germańskimi Frankami (którzy zresztą sami z siebie wnoszą do owego języka galo-latyńskiego ledwie kilkaset wyrazów) łacina ta, zdezorganizowana doszczętnie, zaczyna się skupiać w nowe formacje: rodzi się język *romański*, stanowiący przejście do późniejszego francuskiego.

W tym to *romańskim* języku spisane są po raz pierwszy legendy i powieści rycerskie Okrągłego stołu, wśród których powieść o Tristanie i Izoldzie posiada najgłębsze ludzkie wartości nieśmiertelnego mitu. Jak wspomniałem, powieści te zrodziły się najprawdopodobniej wśród Celtów, skąd później zawędrowały do Niemiec, Anglii, Norwegii, wszędzie, zależnie od gruntu, na który padło ziarno legendy, przybierając

odmienne nieco zabarwienie; nie brak jednakże i teoryj, skłaniających się ku *germańskiemu* pochodzeniu epopei francuskiej. Jak bądź się rzeczy mają, czy Frankowie przynieśli z sobą do Galii swoje mity, czy raczej obudzili poetycki dech duszy celtyckiej zduszony pod płaskim racjonalizmem dekadencji łacińskiej, faktem jest, iż ze zlania się tych dwóch rasowych elementów powstały owe przedziwne powieści. Aż do XII w. powieść o Tristanie i Izoldzie, napoju miłosnym i jego tragicznych następstwach przechodziła z wieku na wiek jedynie drogą ustną, przekształcając się i bogacąc w ustach każdego pokolenia. W połowie wieku XII krystalizuje się ona aż w kilka spisanych poematów. Dwa z nich (pióra *Chretien de Troyes* i *La Chèvre*) zaginęły w zupełności; z dwóch innych zachowały się fragmenty, każdy około 3000 wierszy. Autorem jednego z tych poematów jest truver *Thomas* (około 1170) zamieszkały w Anglii normandzkiej; autorem drugiego współczesny niemal tamtemu *Bérout*. Z pierwszej wersji wyszedł jako pochodny twór obszerny poemat spisany w XII w. po niemiecku przez Gotfryda ze Strasburga; z drugiej niemiecki poemat Eilharda z Obergu i francuska powieść prozą. Prócz tego zachował się luźny anonimowy fragment (około 1500 wierszy) i drobne ułamki rozproszone już w naśladownictwach po obcych literaturach. Przedostawszy się do Niemiec, legendy Okrągłego stołu, przetworzone na nowo przez duszę germańską, stały się poniekąd własnością jej i wyrazem, aż wreszcie, dzięki geniuszowi Wagnera, w formie muzycznych poematów obieżyły cały świat cywilizowany. Oto główne linie, które przytaczam tu dla uproszczenia przeglądu, nie zapuszczając się w drobniejsze odnogi i rozgałęzienia.

Znakomity uczony, romanista J. Bédier, strawiwszy lata całe na pracach naukowych dotyczących publikacji dawnych tekstów oraz na analizie i ustaleniu ich pochodzenia, powziął myśl zarówno szczęśliwie poczętą jak wykonaną. Zapragnął mianowicie, podejmując na nowo przerwane i uszkodzone przez czas dzieło dawnych truverów, odtworzyć i odbudować z pozostałych szczątków i ułomków całość legendy o Tristanie i Izoldzie. „W dziele tym — pisze o jego pracy Gaston Paris — Bédier miał przed sobą otwarte dwie drogi: albo wziąć za punkt wyjścia wersję Thomasa, albo Bérouta. Pierwsza, dzięki istnieniu przekładów i naśladowań w obcych językach, dawała możliwość restytucji całkowitego i jednolitego opowiadania; ujemną jej stroną było to, iż w ten sposób uzyskiwało się najmniej dawny poemat o Tristanie, ten, w którym prastary, barbarzyński element najbardziej był już dostosowany do ducha i pojęć rycerskiego społeczeństwa anglo-francuskiego. Bédier obrał drugą możliwość, o wiele trudniejszą, ale tym większą wartość dającą jego dziełu: mianowicie, odtworzenie

legendy Tristana w jej najdawniejszej dostępnej postaci. Zaczął od tego, iż przełożył najwierniej fragment Béroula, który się zachował i który zajmuje mniej więcej środek powieści. Przepoiwszy się w ten sposób doskonale duchem starego bajarza, przyswoiwszy sobie jego naiwny sposób odczuwania, prosty sposób wyrażania, dotworzył do tego tułowia głowę i członki nie drogą mechanicznego przyprawiania, ale sposobem organicznej regeneracji, takiej, jakiej obraz dają zwierzęta, które, okaleczane, uzupełniają się własną tajemną mocą, wedle planu swej »idealnej formy«. W rekonstrukcji tej Bédier posługiwał się zarówno fragmentem poematu Thomasa, jak również wszystkimi innymi urywkami i przekładami, czerpiąc z nich z doskonałą sztuką i miarą to, co zdawało się najwłaściwsze dla odtwórczego dzieła. Gaston Paris podejrzewa go niemal, iż najpierw spisał cały poemat w wierszach romańskich, upodobnionych o ile możliwości do wierszy Béroula, i dopiero następnie przełożył go na język francuski.

W ten sposób powstała ta jedyna w swoim rodzaju, przepiękna książka, która po raz pierwszy pozwala nam podziwiać legendę o Tristanie i Izoldzie w całym bogactwie i uroku. Pod piórem Bédiera zachował się ten sam dwoisty charakter poematu, który nadaje mu tyle odrębnego wdzięku; romans rycerski, pełen awantur i przygód, opowiadany ku zbudowaniu i ucieście rycerstwa oraz dwornego społeczeństwa francuskiego XII wieku, ale równocześnie raz po raz otwierają się perspektywy na inne, mocniejsze jeszcze życie, życie legendarnych półbogów, pozostających w najściślejszym związku z dziką jeszcze i dziewiczą przyrodą lasów celtyckich.

Legenda Tristana i Izoldy jest najpiękniejszym, najgłębszym poematem miłości, jaka ludzkość kiedykolwiek wydała. I gdyby wolno było z lekkomyślną swobodą przemawiać w kwestiach, o których całe pokolenia uczonych spędziły całe biblioteki kontrowersji i komentarzy, ośmieliłbym się powiedzieć, iż sam charakter, samo ujęcie tej prastarej legendy powinno by świadczyć o jej galo-celtyckim, nie germańskim pochodzeniu; chyba że przyjmemy, iż mit germański, dotknąwszy ziemi galijskiej, z jej cudownych soków nabrał nowego życia i w nowej odrodził się postaci. Albowiem Tristan i Izolda zawiera w najpełniejszym, najszlachetniejszym wyrazie to, co stanowi dominującą linię późniejszej literatury francuskiej, co odróżnia ją od wszystkich innych i stanowi tajemnicę jej uroczego na wszystkie inne oddziaływania. Wiecznie na nowo przeżywany problem miłości, wiekuista, tryumfalna apoteoza jej samej, wraz z całym bezmiarem jej nędz, kłamstw, jej wzniosłości i upodlenia, czci i bezhonoru, z całym pijaństwem szczęścia i tragizmem niedoli, to linia, która od Tristana i Izoldy, poprzez

strofy Villona i Molierowskiego Alcesta, i wielkie postacie Racine'a, i miniaturowe figuynki Marivaux, poprzez niezapomniane sylwety Manon Lescaut i kawalera de Grioux, Adolfa i Eleonory, poprzez Stendhala i Balzaca, Musseta i Verlaine'a, aż do całego teatru i powieści przedostatniej doby, aż do piosenki ulicznej Paryża, snuje się nieprzerwanie przez najświetniejsze karty literatury francuskiej i stanowi jej swoisty, nieprzeparty urok. Można powiedzieć, iż dusza nowo tworzącej się rasy w samym zaraniu młodości napiła się czarodziejskiego trunku z pucharu Tristana i Izoldy i że ów napój miłosny, mocny jak życie i mocniejszy nad śmierć, na wieki już krąży w jej żyłach.

Uczuciem, które narzuca się przy czytaniu Tristanowej legendy w opracowaniu Bédiera, jest podziw dla doskonałej miary artystycznej w traktowaniu przedmiotu. Sądzę, iż zasługa tego rozkłada się na dwa czynniki: jednym z nich pierwotna prostota, z jaką dawni rybałci, nieskażeni jeszcze „literaturą”, opowiadali naiwnie i rzeczowo bieg wydarzeń, drugim — diametralnie przeciwnej natury — doskonałe wyrobienie artystyczne odtwórcy, który, snadź wychowany na najlepszych literackich wzorach poflaubertowskiej epoki, umiał uniknąć wszystkiego, co by mogło tę pierwotną prostotę zamącić i skazić. Rezultat tego współdziałania jest niezrównany. Powieść rozwija się przed naszymi oczyma z przedziwną oszczędnością efektów, jak gdyby z umyślną surdyną, ze zwięzłością słów, a zarazem głębią i precyzją psychologiczną, o ileż subtelniejszą i bogatszą niż gadatliwa pretensjonalność przedwczorajszej „psychologicznej” szkoły! Tak, w romansie tym, wyspiewanym przed ośmiu wiekami, a obecnie odtworzonym, znalazła powieść nowoczesna groźne współzawodnictwo!

Kraków, w styczniu 1917.

W nocie dołączonej do francuskiego oryginału J. Bédier podaje następujące wskazówki co do źródeł różnych części tekstu, zastrzegając się wszelako, iż wskazówki te są bardzo ogólnikowe i że w istocie proces odtwórczy był o wiele bardziej skomplikowany.

Rozdział I (Młodość) — znacznie skrócony, z rozmaitych poematów, ale głównie z Thomasa, odzwierciedlonego w obcych przeróbkach.

Rozdział II i III — wedle Eilharta z Obergu.

Rozdział IV (Napój) — wedle ogólnych zarysów legendy, zwłaszcza wedle Eilharta. Parę szczegółów zaczerpnięto z Gotfryda ze Strassburga.

Rozdział V (Brangien) – wedle Eilharta.

Rozdział VI (Wielka sosna) – w środku tego rozdziału, z chwilą przybycia Izoldy na schadzke, zaczyna się fragment Béroula, za którym Bédier idzie przez rozdział VII, VIII, IX, X, XI, uzupełniając go tu i ówdzie wedle Eilharta i tradycyjnych rysów legendy.

Rozdział XII (Sąd przez rozpalone żelazo) – swobodne streszczenie anonimowego fragmentu.

Rozdział XIII (Głos słowika) – wpleciony w bieg opowiadania wedle poematu dydaktycznego z XIII w., pióra *Domnei des Amanz*.

Rozdział XIV (Dzwoneczek) – z Gotfryda ze Strassburga.

Rozdziały XV-XVII – epizody o Kariado i o Tristanie zaczerpnięte z Thomasa; reszta na ogół wedle Eilharta.

Rozdział XVIII (Szaleństwo Tristana) – opracowanie odrębnego poemaciku francuskiego.

Rozdział XIX (Śmierć) – przekład z Thomasa; poszczególne epizody zapożyczone z Eilharta i z francuskiej powieści prozą.

I. Dzieciństwo Tristana

Du waerest zwäre baz genant:
Juvente bele et la riant!

Gotfryd ze Strasburga

Panowie miłościwi, czy wola wasza usłyszeć piękną opowieść o miłości i śmierci? To rzecz o Tristanie i Izoldzie królowej. Słuchajcie, w jaki sposób w wielkiej radości, w wielkiej żałobie miłowali się, później zasię pomarli w tym samym dniu, on przez nią, ona przez niego.

Za dawnych czasów król Marek panował w królestwie Kornwalii. Dowiedziawszy się, iż nieprzyjaciele niepokoją go, Riwalen, król ziemi lońskiej, przebył morze, aby mu śpieszyć z pomocą. Służył mu mieczem i radą nie gorzej od szczerego lennika i tak wiernie, iż Marek dał mu w nagrodę piękną Blancheflor, swą siostrę, którą król Riwalen miłował przedziwną miłością.

Pojął ją za żonę w klasztorne tyntagielskim. Ale ledwie ją zaślubił, doszła go wieść, iż dawny nieprzyjaciel, diuk Morgan, spadłszy na ziemię lońską, pustoszy jego grody, pola i miasta. Riwalen narządził pospiesznie okręty i powiódł Blancheflor, wówczas już brzemienną, ku swej dalekiej ziemi. Przybił do lądu naprzeciw zamku w Kanoel, powierzył królowę pieczy marszałka Rohała, którego wszyscy dla jego wierności wołali pięknym mianem *Rohał Dzierżący Słowo*; następnie zebrawszy baronów, odjechał na wojnę.

Blancheflor czekała go długo. Niestety, nie miał wrócić. Pewnego dnia dowiedziała się, że diuk Morgan zabił go zdradą. Nie płakała po mężu; nikt nie usłyszał krzyku ani lamentu; ale członki jej stały się wątłe i słabe; dusza żądała pilnym pragnieniem wydostać się z ciała. Darmo Rohał silił się pocieszyć ją:

— Królowo — mówił — nic się nie zyska, przydając żalobę żalobie. Żali każdemu, kto się rodzi, nie jest pisane umierać? Niech Bóg przytuli umarłe, a ochrania żywe!...

Ale ona nie chciała słuchać. Trzy dni czekała, aż podąży za swym drogim panem. Czwartego dnia wydała na świat syna; zaczem wzięwszy go w ramiona:

— Synu — rzekła — długo pragnęłam cię ujrzeć; i widzę najpiękniejszą istotę, jaką kiedykolwiek niewiasta nosiła w żywocie. Smutna zległam, smutne jest to pierwsze święto, które ci wyprawiam, z twojej przyczyny smutno mi jest umierać. Że więc przybyłeś na ziemię przez smutek, imię twoje będzie Tristan.

Rzekłszy te słowa, ucałowała go i ucałowawszy, natychmiast umarła.

Rohałt Dzierżący Słowo przygarnął sierotę. Już ludzie diuka Morgana wdzierali się do zamku; w jakiż sposób Rohałt zdołałby długo wytrzymać bitwę? Słusznie powiadają: „insza rzecz dzielność, insza szaleństwo”; mus mu był zdać się na łaskę diuka Morgana. Ale z obawy, by Morgan nie zamordował Riwalenowego syna, marszałek podał go za własne dziecię i chował ze swymi.

Gdy minęło chłopięciu siedem lat i przyszedł czas, by go odebrać niewiastom, Rohałt powierzył Tristana roztropnemu nauczycielowi, dobremu koniuszemu imieniem Gorwenal. Gorwenal nauczył go w niewiele lat wszelakiej sztuki, która przygodzi się młodemu baronowi. Nauczył go władać lancą, mieczem, tarczą i łukiem, miotać kamienne pociski, brać jednym skokiem co najszersze rowy; nauczył nienawidzić wszelakiego kłamstwa i zdrady, wspomagać słabych, dotrzymywać słowa; nauczył rozmaitych melodii, gry na harfie i sztuki myśliwskiej. Kiedy chłopiec dosiadał konia wśród młodych giermków, rzekłbyś, iż koń jego i rynsztunek, i on tworzą wręcz jedno ciało i nigdy nie rozstają się z sobą. Widząc Tristana tak szlachetnym i pysznym, szerokim w barach, gibkim w biodrach, mocnym, wiernym i odważnym, wszyscy sławili Rohałta, iż ma takiego syna. Zasię Rohałt, wspominając Riwalena i Blancheflor, których młodość i wdzięk odżyły w pacholęciu, miłował Tristana jak syna, a tajemnie czcił jako pana.

Owóż zdarzyło się, iż wydarto mu całą jego radość w dniu, w którym kupcy norwescy, zwabiwszy Tristana na statek, uprowadzili go jak piękną zdobycz. Podczas gdy mknęli ku nieznanym ziemiom, Tristan miotał się niby młody wilczek pochwycony w pułapkę. Ale dowiedziona to prawda i marynarze ją znają: morze nierade nosi zdradzieckie statki i nie sprzyja rabunkom i zdradom. Podniosło się wściekłe, spowiło statek w ciemności i gnało go przez osiem dni i osiem nocy na oślep. Wreszcie marynarze ujrzeli poprzez mgłę brzeg najeżony urwistymi skałami i rafami, o które omal nie strzaskali statku. Schwycił ich żal: poznając, iż gniew morza ma za źródło owo porwane w złą godzinę pacholę, uczynili ślub, iż uwolnią Tristana i spuścili czółno, aby go wysadzić na brzeg. Natychmiast opadły wiatry i bałwany, niebo zabłysło i podczas gdy statek norweski zniknął w oddali, uśpione i pogodne fale niosły czółno Tristana na piaszczyste wybrzeże.

Z wielkim wysiłkiem wdrapał się na brzeg i ujrzął falisty i pusty step, poza którym rozciągał się bezkresny las. Jął lamentować, rozpaczając za Gorwenalem, za Rohałtem, ojcem swoim, i za ziemią lońską. Wtem odległe dźwięki łowieckiego rogu i okrzyki

rozgrzały jego serce. Na skraju lasu ukazał się piękny jeleni. Sfora psów oraz myśliwi mknęli w jego tropy z wielkim hałasem okrzyków i trąb. Ale gdy już ogary wieszały się u grzbietu, zwierzę o kilka kroków od Tristana ugięło się w kolanach i wydało ostatni dech. Jeden z myśliwych wygodził mu kordelasem. Podczas gdy myśliwi ustawieni w krąg otrębywali zwycięstwo, Tristan zdumiony ujrzał, jak wielki łowczy nacina szerokim kręgiem gardziel jelenia, jak gdyby ją miał oderznąć. Wykrzyknął:

— Co czynisz, panie? Godziż się kaleczyć tak szlachetne zwierzę kształtem zarżniętego wieprza? Czy taki jest obyczaj tego kraju?

— Miły bracie — odparł łowczy — i cóż cię dziwi? Tak, oddzielam najpierw głowę, następnie poćwiartuję ciało na cztery części, które zawieszono u lęku zanieśmy do króla Marka, naszego pana. Tak czynimy; tak od czasu najdawniejszych myśliwców zawsze poczynali sobie rycerze Kornwalii. Jeśli wszelako znasz jakiś chwalebniejszy obyczaj, pokaż go nam; weź ten nóż, miły bracie, pouczymy się chętnie.

Zaczem Tristan ukląkł i odarł ze skóry jelenia, nim go poćwiartował; następnie pociął zwierzę na części, zostawiając, jak się godzi, kość pacierzową obnażoną do czysta; wreszcie oddzielił dróbka, wnętrzności, pysk, ozór i żyłę serdeczną.

A myśliwi i psiarkowie nachyleni dokoła patrzyli zachwyceni na jego robotę.

— Przyjacielu — rzekł starszy łowczy — piękne to obyczaje; w której ziemi nauczyłeś się ich? Powiedz nam twój kraj i imię.

— Zacny panie, wołają mnie Tristan, nauczyłem się zaś tych obyczajów w Lonii, ojczyźnie mojej.

— Tristanie — rzekł łowczy — niech Bóg nagrodzi ojca, który cię wychował tak zacnie! Jest to z pewnością jaki baron bogaty i potężny?

Ale Tristan, który umiał w porę mówić i w porę milczeć, odparł chytrze:

— Nie, panie, ojciec mój jest kupcem. Opuściłem tajemnie jego dom na okręcie, który jechał z towarami, chciałem bowiem poznać, jak żyją ludzie w cudzoziemskich krajach. Ale jeśli mnie przyjmiesz między swych myśliwych, pójdę z wami chętnie i nauczę cię, zacny panie, innych jeszcze arkanów myśliwskich.

— Dobry Tristanie, dziw mi, że istnieje ziemia, w której synowie kupców znają to, czego gdzie indziej nie umieją synowie rycerzy. Ale pójdz z nami, skoro pragniesz, i bądź nam miłym gościem. Zaprowadzimy cię do króla Marka, naszego pana.

Tristan skończył oprawiać jelenia. Rzucił psom serce, głowę i wnętrzności i nauczył myśliwców, jak należy narządzać psom strawę i jak ją otrębywać. Następnie zasadził na widły pięknie podzielone części i powierzył je rozmaitym myśliwcom: jednemu głowę,

drugiemu pośladki i lędźwie; innemu łopatki i udźce; innemu insze. Nauczył, jak trzeba ustawiać się parami, aby jechać w pięknym porządku, wedle szlachetności sztuk zwierzyny sterczących na widłach.

Wówczas puścili się w drogę, gwarząc, aż wreszcie ujrzeli bogaty zamek. Otaczały go łąki, sady, strumienie, rybne stawy i uprawne pola. Liczne okręty wpływały do portu. Zamek wznosił się nad morzem, piękny i silny, dobrze obwarowany przeciw wszelkiej napaści i machinie wojennej: główną zaś jego wieżę, niegdyś wzniesioną przez olbrzymów, zbudowano z wielkich i pięknie obrobionych ciosów ułożonych jak szachownica z pól zielonych i lazurowych.

Tristan zapytał o miano zamku.

— Miły służko, nazywają go Tyntagiel.

— Tyntagielu — wykrzyknął Tristan — błogosławion bądź od Boga i błogosławieni twoi mieszkańcy!

Trzeba wam wiedzieć, panowie miłościwi, iż tam to niegdyś w wielkim weselu ojciec jego Riwalen zaślubił Blancheflor, siostrę króla Marka. Ale niestety! Tristan o tym nie wiedział.

Gdy przybyli do stóp wieży, fanfary myśliwców ściągnęły ku bramie baronów i samego króla.

Skoro wielki łowczy opowiedział całą przygodę, Marek dziwował się pięknemu porządkowi orszaku, zmyślnie rozebranemu jeleniowi oraz wielkiej dworności tych myśliwskich obyczajów. Ale zwłaszcza dziwował się pięknemu cudzoziemskiemu pacholęciu i oczy jego nie mogły się odeń oderwać. Skąd brała się w nim ta nagła czułość? Król pytał swego serca i nie mógł zrozumieć. Panowie miłościwi, to krew jego wzruszała się i mówiła w nim, i miłość, którą żywił niegdyś do Blancheflor, swej siostry.

Wieczorem, skoro uprzątnięto stoły, rybałt pewien galijski, mistrz w swojej sztuce, wysunął się między zebranych baronów i zaczął śpiewać piosenki przy harfie. Tristan siedział u stóp króla i kiedy harfista brząknął nową melodię, Tristan ozwał się w te słowa:

— Mistrzu, otoć piosenka piękna ponad inne: niegdyś dawni Bretani ułożyli ją dla wślawienia miłości Graelenta. Nuta jest słodka i słodkie też słowa. Uczony masz głos mistrzu, wyciągajże go pięknie!

Galijszyk prześpiewał, po czym rzekł:

— Dziecko, i cóż ty możesz rozumieć o kunszcie instrumentów? Jeśli kupcy z ziemi lońskiej uczą także synów gry na harfie i sztuki pieśniarskiej, wstań oto, weź harfę i pokaż swą biegłość.

Tristan wziął harfę i zaśpiewał tak wdzięcznie, że baronowie rozrzewnili się, słuchając. I Marek podziwiał harfistę przybyłego z owego kraju lońskiego, dokąd niegdyś Riwalen uwiózł był Blancheflor.

Skoro pieśń przebrzmiała, król milczał długo:

— Synu — rzekł wreszcie — błogosławiony niech będzie mistrz, który cię uczył, i ty sam błogosławiony bądź od Boga. Bóg miłuje dobrych śpiewaków. Głosy ich i głos lutni przenikają serca ludzi, budzą drogie wspomnienia i dają zapomnieć niejedną żalność i niejedną przewinę. Zostań długo przy mnie, młody przyjacielu!

— Chętnie będę ci służył, panie — odparł Tristan — jako twój lutnista, myśliwiec i lennik.

Tak czynił trzy lata, w ciągu których wzajemna czułość wzrastała w ich sercach. W dzień Tristan towarzyszył Markowi na sądy lub łowy, zaś w nocy, ponieważ sypiał w komnacie królewskiej wśród jego poufanych i wiernych, brząkał mu na lutni, kiedy król był smutny, aby uśmierzyć zgryzoty. Baronowie widzieli go radzi, a zwłaszcza, jak ta historia was pouczy, kasztelan Dynas z Lidanu. Ale bardziej czule niż baronowie i niż Dynas z Lidanu miłował go król. Mimo ich czułości Tristan nie mógł się pocieszyć, iż postradał ojca swego Rohalta i nauczyciela Gorwenala, i ziemię lońską.

Panowie miłośnicy: bajarzowi, który chce być lubym słuchaczom, przystoi unikać zbyt długich rozwodzeń. Materia tej opowieści dość jest piękna i obfita: na cóż zdałoby się ją wydłużać? Powiem tedy pokrótce, jak mnogo nabłędziwszy po morzach i lądach, Rohalt Dzierżący Słowo przybył do Kornwalii, odnalazł Tristana i pokazując królowi karbunkuł, którym ów obdarował był niegdyś Blancheflor w kosztownym darze weselnym, rzekł:

— Królu Marku, oto Tristan loński, twój siostrzeniec, syn siostry Blancheflor i króla Riwalena. Diuk Morgan trzyma jego ziemię wielkim bezprawiem; czas, aby wróciła do prawego dziedzica.

I powiem krótko, jak Tristan, otrzymawszy od wuja oręż rycerski, przebył morze na kornwalijskich statkach, dał się poznać dawnym wasalom ojcowskim, wyzwiał mordercę Riwalenowego, zabił go i odzyskał ziemię.

Następnie pomyślał, iż król Marek nie zdoła już żyć szczęśliwie bez niego, że zaś szlachetne serce wskazywało mu zawsze najszlachetniejszą drogę, zwołał swych hrabiów i baronów i tak rzekł:

— Panowie lońscy, odzyskałem ten kraj i pomściłem króla Riwalena za pomocą bożą i waszą. Tak więc spłaciłem ojcu, co mu się należało. Ale dwaj ludzie, Rohaht i król Marek z Kornwalii, przygarnęli sierotę i wspomogli zbłąkane pacholę: ich również trzeba mi nazywać ojcami. Żali i tym podobnie nie godzi mi się wyświadczyć słusznego prawa? Owóż, szlachetny człowiek ma dwie rzeczy, które mu przynależą: swoją ziemię i ciało. Zatem temu oto Rohahtowi opuszczę ziemię: ty, ojczu, będziesz ją dzierżył, a twój syn po tobie. Królowi Markowi opuszczę me ciało: rzucę ten kraj, mimo iż mi jest drogi i pójdę służyć memu panu Markowi i Kornwalii. Taka jest moja myśl, ale wy jesteście moi wierni lennicy, wy, panowie lońscy, i winni mi jesteście radę; jeśli więc który z was chce mi wskazać inną jaką drogę, niech powstanie i przemówi!

Ale wszyscy baronowie pochwalili go ze łzami i Tristan zabierając z sobą Gorwenalę, odpłynął ku ziemi króla Marka.

II. Morhoht z Irlandii

Tristrem seyð: „Ywis,
Y wil defende it as knizt”.
Sir Tristrem.

Kiedy Tristan wrócił, zastał Marka i całą baronię okrytych grubą żałobą. Król Irlandii uzbroił flotę, aby spustoszyć Kornwalię, jeśli Marek będzie się wzbraniał, jak czynił od piętnastu lat, złożyć haracz nigdyś płacony przez jego przodków. Otóż wiedziecie, iż mocą dawnych traktatów Irlandczycy mogli ściągnąć z Kornwalii jednego roku trzysta funtów miedzi, drugiego roku trzysta funtów czystego srebra, zaśię trzeciego trzysta funtów złota. Ale kiedy przychodził czwarty rok, uwozili trzystu młodych chłopców i trzysta młodych dziewcząt w wieku piętnastu lat, wybieranych losem spośród rodzin Kornwalii. Owóż tego roku jako posła swego zlecenia król wyprawił do Tyntagielu olbrzymiego rycerza Morhohta, którego siostrę był zaślubił i którego nikt nie mógł zwyciężyć w bitwie. Tedy król Marek opieczętowanymi listy zwołał na dwór wszystkich baronów swej ziemi, aby zasięgnąć ich rady.

W oznaczonym dniu, kiedy baronowie zgromadzili się w sklepionej sali pałacu, a król Marek zasiadł pod baldakinem, Morhołt przemówił tak:

— Królu Marku, usłysz po raz ostatni zlecenie króla Irlandii, mego pana. Upomina się, abyś wreszcie zapłacił mu daninę, którą jesteś winien. Za to, że zbyt długo się ociągałeś, nakazuje, abyś wydał tego samego dnia trzystu młodych chłopców i trzysta młodych dziewcząt w wieku piętnastu lat, wybranych losem spośród rodzin Kornwalii. Statek mój, stojący na kotwicy w porcie Tyntagielu zabierze ich, iżby byli naszymi niewolnikami. Wszelako — a wyłączam od tego jedynie ciebie, królu Marku, jako się godzi — jeśli który z twoich baronów chce dowieść w bitwie, że król Irlandii ściąga tę daninę wbrew prawu, przyjmuję wyzwanie. Który z was, panowie kornwalijscy, chce walczyć za swobodę tego kraju?

Baronowie spoglądali na siebie ukradkiem, po czym opuścili głowy. Ten i ów mówił sobie: „Widzisz, nieszczęśniku, postawę Morhołta z Irlandii; mocniejszy jest niż czterech silnych ludzi. Popatrz na jego miecz: nie wiesz, iż czarami swymi stracił on głowy najśmielszych szermierzy od czasu, jak król Irlandii śle przez tego olbrzyma swe wyzwania w ziemie lenne? Nędzarzu, chcesz szukać śmierci? I na cóż kusić Boga?”. Drugi myślał: „Żali wychowałem was, drodzy synkowie, do służby i niewoli, a was, drogie córuchy, do nierządu? Ale śmierć moja nie ocaliłaby was”. I milczeli.

Morhołt rzekł jeszcze:

— Który z was, panowie kornwalijscy, chce przyjąć wyzwanie? Ofiaruję mu piękną bitwę. Od dziś za trzy dni przybijemy na barkach do Wyspy Świętego Samsona, wprost naprzeciw Tyntagielu. Tam rycerz wasz i ja będziemy walczyć w pojedynkę, chwała zaś, iż pokusił się o bitwę, spłynie na całe jego krewieństwo.

Milczeli wszyscy. Morhołt zaś podobny był białozorowi wpuszczonemu do klatki z drobnym ptactwem; skoro go ujrzą, wszystkie niemieją.

Morhołt przemówił po raz trzeci:

— A więc, zacni panowie z Kornwalii, skoro ten pomysł zda się wam najszlachetniejszy, ciągnijcie swoje dzieci losem, a ja je zabiorę. Ale nie sądziłem, iżby w tym kraju mieszkali sami niewolnicy.

Wówczas Tristan ukląkł u nóg króla i rzekł:

— Królu i panie, jeśli łaska twoja użyczyć mi zezwolenia, wydam mu bitwę.

Próżno król Marek chciał go odmówić. Był tak młodym rycerzem, na co zdało mu się męstwo? Ale Tristan dał zakład Morhołtowi, Morhołt zaś przyjął go.

W pomienionym dniu Tristan stanął na kobiercu z czerwonego aksamitu i dał się zbroić na wielką przygodę. Przywdział pancerz i hełm z bajcowanej stali. Baronowie płakali z litości nad śmiałkiem i ze wstydu nad samymi sobą. „Ach, Tristanie — powiadali — śmiały baronie, godny młodzieńcze, czemuż ja raczej miast ciebie nie podjąłem tej bitwy? Śmierć moja mniejszą żałobę ściągnęłyby na tę ziemię...!”. Dzwony dzwonią i wszyscy z rodu baronów i z pomniejszego ludu, starcy, dzieci i kobiety, płacząc i modląc się, odprowadzają Tristana do wybrzeża. Mieli jeszcze nadzieję, nadzieja bowiem w sercu ludzi wyżywi się byle jaką strawą.

Tristan wsiadł sam do łodzi i pomknął ku Wyspie Świętego Samsona. Ale Morhołt rozpiął u masztu żagiel z bogatej purpury i pierwszy przybył do wyspy. Tristan, uderzywszy o ląd, odepchnął nogą łódź na morze.

— Wasalu, co czynisz? — rzekł Morhołt — dlaczego jak ja nie umocowałeś łodzi liną?

— Wasalu, po co? — odparł Tristan. — Jeden tylko z nas obu powróci żyjący: żali jedna barka nie wystarczy?

I obaj, zagrzewając serce do walki zelżywymi słowy, zapuścili się w głąb wyspy.

Nikt nie widział zaciętej bitwy, ale po trzykroć zdawało się, że wiatr morski przynosi na wybrzeże wściekle okrzyki. Wówczas na znak żałoby kobiety biły w ręce, zasię towarzysze Morhołta zebrani w kupę przed namiotami śmiali się. Wreszcie około godziny dziewiątej ujrzano z daleka wzdymający się purpurowy żagiel; barka Irlandczyka odbiła się od wyspy. Wnet rozległ się krzyk rozpacz: „Morhołt! Morhołt!”. Ale w miarę jak barka rosła, nagle na szczycie fali, ukazał się rycerz stojący u steru; w każdej pięści potrzasał obnażonym mieczem: był to Tristan. Natychmiast dwadzieścia łodzi pomknęło na spotkanie; młodzieńcy rzucili się w pław. Chrobry rycerz wyskoczył na brzeg i podczas gdy matki na kolanach całowały jego żelazne nagolenice, on zakrzyknął ku druhom Morhołtowym:

— Panowie irlandzcy, Morhołd walczył mężnie. Patrzcie, miecz mój wyszczerbiony, ułomek zaś brzeszczotu został w jego czasce. Zabierzcie ten kawałek stali, panowie: oto haracz Kornwalii.

Zaczem skierował się do Tyntagielu. Kiedy przechodził, oswobodzone dzieci potrzasały wśród wielkich okrzyków zielonymi gałęzmi, w oknach zaś pojawiły się bogate kobierce. Ale kiedy wśród krzyków wesela, dźwięku dzwonów, trąb i rogów tak donośnych, że nie słyszałoby się nawet samego Boga, gdyby zagrzmiął, Tristan przybył do zamku, osunął się zemdlały w ramiona króla Marka, krew zaś spływała z jego ran.

Z wielkim zawstydzeniem towarzysze Morhołta przybyli do Irlandii. Niegdyś, ilekroć wracał do portu Weisefort, Morhołt radował się, widząc swój lud zgromadzony, okrzykujący go tłumnie. Radował się, widząc królowę, swą siostrę i siostrzenicę, Izold Jasnowłosa, o warkoczach ze złota, której piękność jaśniała już jak wschodząca jutrzienka. Przyjmowały go z czułością i jeśli doznał jakiej rany, leczyły go; znały bowiem maści i kordiały wskrzeszające rannych, ba, podobnych już umierającym. Ale na co by im się zdały teraz magiczne przepisy, zioła zebrane o sposobnej godzinie, odwary? Leżał umarły, zaszyty w skórę jelenią, ułomek zaś nieprzyjacielskiego miecza tkwił jeszcze w jego czaszce. Izold Jasnowłosa wydobyła ułomek, aby go zamknąć w szkatule z kości słoniowej, cennej jak relikwiarz. I schylone nad rosłym trupem, matka i córka, powtarzając bez końca pochwały zmarłego i bez wytchnienia miotając klątwy przeciw zabójcy, przewodziły kolejno wśród kobiet żałobnym lamentom. Od tego dnia Izolda Jasnowłosa nauczyła się nienawidzić imienia Lończyka Tristana.

Ale w Tyntagielu Tristan chorzał: zatruta krew wypływała z jego ran. Lekarze poznali, iż Morhołt zatopił mu w ciele jadowite ostrze, i ponieważ kordiały ich i teriaki nie mogły nic zdziałać, powierzyli go opiece Boga. Fetor tak obmierzły wydzielał się z ran Tristana, że najwierniejsi przyjaciele uciekali odeń: wszyscy za wyjątkiem króla Marka, Gorwenala i Dynasa z Lidanu. Ci jedni mogli wytrwać u wezglowia, miłość ich przemagała wstręt. Wreszcie Tristan kazał się przenieść do szałasów zbudowanego na stromym wybrzeżu; tam, leżąc naprzeciw fal, czekał śmierci. Myślał: „Opuściłeś mnie tedy, królu Marku, mnie, którym ocalił ciebie twój kraj? Nie: wiem o tym, zacny wuju, że oddałbyś życie w zamian za moje; ale co poradzi twoja tkliwość? trzeba mi umierać. Lubo jest wszakże oglądać słońce i serce moje jeszcze jest krzepkie. Chciałbym się puścić na szerokie morze... Chciałbym, aby mnie uniosło daleko. Ku jakiej ziemi? Nie wiem... Może tam, gdzie bym znalazł kogoś, kto by mnie wyleczył. I może któregoś dnia wspomógłbyś mnie jeszcze, drogi wuju, jako twój lutnista i łowczy, i wierny lennik”.

Póty błagał, aż król Marek ustąpił życzeniu. Zaniósł go na barkę bez wiosel ni żagla; Tristan prosił, aby jego lutnię ułożono przy nim. I na co żagle, których ramiona jego nie umiałyby napiąć? Na co wiosła? Na co miecz? Jako żeglarz wśród długiej przeprawy strąca z pokładu trupa dawnego towarzysza, tak drżącymi ramionami Gorwenal odepchnął od brzegu barkę, w której leżał jego drogi syn, i morze ją uniosło.

Siedem dni i siedem nocy niosło ją łaskawie. Czasami Tristan brząkał w lutnię, aby omamić swą niedolę. Wreszcie morze bez jego wiedzy zbliżyło go do brzegu. Owóż tej nocy rybacy wypłynęli z portu, aby zarzucić sieci na pełnym morzu. Wiosłowali

krzepko, kiedy usłyszeli melodię słodką, śmiałą i żywą, biegnącą wierzchem fal. Nieruchomi, z wiosłami utopionymi w nurcie, słuchali; w pierwszym brzasku jutrzeńki ujrzeli błędzącą barkę. „Podobnie — mówili sobie — nadprzyrodzona muzyka otaczała łódź świętego Brendana płynącą ku Wyspom Szczęśliwości po morzu tak białym jak mleko”. Ujęli wiosła, aby osiągnąć łodzi: sunęła ukosem i niczym nie zdradzała życia jak tylko dźwiękiem lutni. Ale w miarę jak się przybliżali, melodia osłabła, znikła i kiedy dobili, ręce Tristana opadły bezwładne na drżące jeszcze struny. Podjęli go i wrócili do portu, aby go oddać rannego swej współczującej pani, jedynej, która może zdoła go uleczyć.

Niestety! Port ów to był Weisefort, kędy był grób Morhołta, a pani ich to Izold Jasnowłosa. Ona jedna, świadoma cudownych kordiałów, mogła ocalić Tristana; ale ona jedna wśród niewiast na ziemi pragnęła jego śmierci. Kiedy Tristan ożywiony jej sztuką odzyskał zmysły, poznał, iż fale rzuciły go na ziemię pełną niebezpieczeństw. Ale mając jeszcze ducha dość, aby bronić życia, umiał znaleźć naprędce piękne zwodnicze słowa. Opowiedział, że jest lutnistą, że przeprowiał się za morze na kupieckim statku; żeglował do Hiszpanii, aby się tam nauczyć sztuki czytania w gwiazdach; piraci opadli statek; on, zraniony, umknął na tej barce. Uwierzono mu: nikt z towarzyszy Morhołta nie poznał pięknego rycerza z wyspy św. Samsona, tak szpetnie trucizna zniekształciła jego rysy. Ale kiedy po czterdziestu dniach Izold Jasnowłosa niemal go już uleczyła i gdy już w członkach, znów gibkich, zaczynał się odradzać wdzięk młodości, zrozumiał, iż trzeba uciekać; wymknął się i przebywszy liczne niebezpieczeństwa, stanął przed królem Markiem.

III. Szukanie Pięknej o Złoty Warkoczach

En po d'ore vos ei paiée
O la parole do chevol,
Dont je ai puis eü grant dol.
Pieśń o szaleństwie Tristana.

Było na dworze króla Marka czterech baronów, najbardziej zdradzieckich spomiędzy ludzi, nienawidzących Tristana srogą nienawiścią za jego męstwo i za tkliwą miłość, którą król dlań żywił. I mogę wam nawet powtórzyć ich imiona: Andret, Gwenelon, Gondoin i Denoalen; z tych diuk Andret był jak i Tristan siostrzeńcem króla.

Wiedząc, iż król zamyśla postarzyć się bezdzietnie, aby przekazać ziemię Tristanowi, wzburzyli się w swej zawiści i za pomocą kłamstw podjudzili przeciw Tristanowi szlachtę Kornwalii.

— Ileż cudów w jego życiu! — powiadali obłudnicy — ale wy, panowie, jesteście ludzie niebici w ciemną i umiecie z pewnością odgadnąć tego przyczynę. To, iż odniósł tryumf nad Morhołtem, to już piękny cud; ale jakimi czarami potrafił, niemal już umarły, żeglować sam po morzu? Który z was, panowie, pokierowałby barką bez wiosła i bez żagla? Magikowie potrafią to, mówią ludzie. A potem, w jakim kraju, jakie diabelskie sztuki mogły znaleźć lekarstwo na jego rany? Nie ma wątplenia, że to czarnoksiężnik. Tak! barka jego była zaczarowana i także miecz, i lutnia jest zaczarowana, która codziennie sączy truciznę w serce króla Marka! Jak on umiał opętać to serce urokiem i potęgą czarów! Będzie królem, panowie, a wy będziecie ziemię swoje brać lennem od diabelskiego pachółka!

Przekonali większość baronów: wielu bowiem ludzi nie wie, iż tego, co jest w mocy czarnoksiężników, serce ludzkie może też dokonać siłą miłości i odwagi. Zaczęli tedy baronowie napierać na króla, aby pojął za żonę córkę królewską, która by dała mu dziedziców; jeśli odmówi, zamkną się (mówili) w obronnych zamkach, aby z nim toczyć wojnę. Król opierał się i przysięgał w sercu, iż póki żyje drogi siostrzeniec, żadna córka królewska nie wejdzie do jego łóża. Ale w końcu sam Tristan, któremu wstyd było cierpieć podejrzenie, że kocha wuja przez łakomstwo, zagroził, iż król ma się poddać woli baronów, inaczej opuści jego dwór i pójdzie służyć bogatemu królowi gaweńskiemu. Wówczas Marek naznaczył porę swym baronom: za czterdzieści dni przyrzekł objawić, co mniema.

W oznaczonym dniu sam w swojej komnacie oczekiwał ich przybycia i myślał smutnie: „Gdzież znaleźć córkę króla tak daleką i niedostępną, abym mógł udać, ale udać tylko, iż pragnę jej za żonę?”.

W tej chwili przez okno otwarte na morze dwie jaskółki, które budowały gniazdo, wleciały, swarząc się, po czym nagle przestraszone uciekły. Ale z dzióbków ich wymknął się długi włos kobiecy, cieńszy niż nitka jedwabiu i błyszczący jak promień słońca.

Marek, podjąwszy go, kazał zawołać baronów i Tristana i rzekł:

— Aby wygodzić wam, panowie, gotów jestem pojąć żonę, byleście chcieli wyszukać mi tę, którą wybrałem.

— Zaiste, chcemy, zacny panie; któraż to jest, którą wybrałeś?

— Wybrałem tę, do której należy ten włos złocisty i wieście, że nie chcę żadnej innej.

— I z jakich stron, zacny panie, pochodzi ów włos złocisty? Kto ci go przyniósł? Z jakiego kraju?

— Pochodzi, panowie, od Pięknej o złotym warkoczu; dwie jaskółki mi go przyniosły i one wiedzą, z jakiego kraju.

Baronowie zrozumieli, że zadrwiono z nich i że ich wyprowadzono w pole. Spoglądali na Tristana spode łba; podejrzewali, iż to on doradził tę sztukę. Ale Tristan, przyjrząwszy się złotemu włosowi, przypomniał sobie Izold Jasnówłosą. Uśmiechnął się i tak przemówił:

— Królu Marku, źle sobie poczynasz: czy nie widzisz, że posądzenia tych panów mnie hańbią? Ale na próżno umyśliłeś sobie to pośmiewisko: pójdę szukać Pięknej o złotym warkoczu. Wiedz, że szukanie to niebezpieczne i że trudniej mi będzie wrócić z jej kraju niż z wyspy, na której zabiłem Morhołta, ale na nowo chcę dla ciebie, miły wuju, ciało swoje i życie rzucić na los. Iżby twoi baronowie wiedzieli, że kocham cię szczerą i prawą miłością, daję wiarę swoją w zakład: albo zginę w tym przedsięwzięciu, albo przywiodę do tego zamku tyntagielskiego Królowę o złotym warkoczu.

Narządził piękny statek, zaopatrzywszy go w zboże, wino, miód i wszelkie dobre zasoby. Wsadził nań, prócz Gorwenala, stu młodych rycerzy wysokiego rodu, wybranych między najśmielszymi, przybrał ich w kaftany z samodziału i płaszcze z grubego sukna, iżby wyglądali na kupców; ale pod pokładem ukrywali bogate szaty ze złotogłowiu, cendału i szkarłatu, jakie przystały posłańcom możnego króla.

Skoro statek wypłynął na pełne morze, sternik zapytał:

— Zacny panie, ku jakiej ziemi mam płynąć?

— Przyjacielu, śmigaj ku brzegom Irlandii, prosto na port weiseforcki.

Sternik zadrzał. Zali Tristan nie wiedział, iż od czasu zabicia Morhołta król Irlandii ściga statki kornwalijskie, że schwytych żeglarzy każe wieszać na widłach? Mimo to sternik usłuchał i przybił do niebezpiecznej ziemi.

Zrazu Tristan umiał przekonać ludzi z Weisefortu, że jego towarzysze to kupcy z Anglii, przybyli, aby handlować spokojnie. Ale gdy ci osobliwi kupcy trawili dzień na szlachetnych zabawach i grze w szachy i zdawali się bieglejsi w wytrząsaniu kości niż mierzeniu ziarna, Tristan uląkł się, iż go przejrzą, i nie wiedział, jak zacząć swe poselstwo.

Aliści jednego dnia o świcie usłyszał głos tak przeraźliwy, iż można by mniemać, że to głos samego czarta. Nigdy nie słyszał żadnego zwierzęcia, aby skowyczało w ten sposób, tak straszliwy i dziwny. Zagadnął kobietę jakąś, która przechodziła koło portu:

— Powiedzcie mi, pani — rzekł — skąd pochodzi głos, który oto słyszę? Nie ukrywajcie mi prawdy!

— Wierę, panie, powiem bez kłamstwa. Pochodzi od bydlęcia srogięgo, najszpetniejszego, jakie było kiedy na świecie. Każdego dnia wypełza z jamy i sadowi się u bram miasta. Nikt nie może tamtędy wyjść, nikt nie może wejść, póki nie wydadzą smokowi młodej dziewczyny; a kiedy ją już ma w pazurach, pożera ją śpieszniej, niżbyście zdołali odmówić jedną ojczenszkę.

— Pani — rzekł Tristan — nie dworujcie sobie ze mnie, ale powiedzcie, czy byłoby możebne człowiekowi urodzonemu z niewiasty zabić go w bitwie?

— Zaiste, piękny, słodki panie, nie wiem; tyle wiem, iż dwudziestu doświadczonych rycerzy próbowało już tej przygody: król Irlandii bowiem obwieścił głosem herolda, iż da swą córkę, Izoldę Jasnowłosą, temu, kto zgładzi potwora: ale potwór wszystkich pożarł.

Tristan pożegnał kobietę i wrócił na statek. Uzbroił się po kryjomu; i piękny to byłby zaiste widok patrzeć, jak z kupieckiego okrętu wynurza się tak rażny dzianet i tak pyszny rycerz. Ale port był pusty; ledwie pierwszy brzask wschodził i nikt nie widział rycerza, jak jechał ku bramie, którą wskazała mu niewiasta. Naraz przez drogę pomknęło pięciu ludzi. Bodli ostrogami konie i puściwszy cugle, uciekali w stronę miasta. Tristan schwycił w biegu jednego z nich za czerwone splecione włosy tak mocno, iż przygiął go na zad konia, i tak go przytrzymał.

— Bóg z wami, dobry panie! — rzekł Tristan — którądy przybywa smok?

Zasię kiedy uciekający pokazał mu drogę, Tristan puścił go.

Potwór zbliżał się. Miał spiczastą głowę, czerwone oczy płonące jak rozżarzone węgle, dwa rogi na czole, długie i kosmate uszy, pazury lwa, ogon węża, ciało pokryte łuską jak u gryfa.

Tristan spiął rumaka z taką siłą, że mimo iż zjeżony strachem, skoczył jednak ku potworowi. Lanca Tristana uderzyła o łuskę i rozprysła się w kawałki. Natychmiast rycerz dobywa miecza, wznosi go i opuszcza na głowę smoka: ale nawet nie naruszył skóry. Wszelako potwór uczył cios; wyciąga pazury ku pawęży, zatapia je i zrywa tarcz z rzemieni. Z odsłoniętą pierśią Tristan godzi weń jeszcze raz mieczem i uderza w bok tak gwałtownym ciosem, że aż powietrze zagrzmiało. Na próżno: nie może go zranić.

Wówczas smok wyzionął przez nozdrza podwójny strumień zatrutych płomieni: zbroja Tristana czernieje niby węgiel zetlały, koń wali się i kona. Ale w tejże chwili, skoczywszy na nogi, Tristan zatapia hartowną klingę w paszczy potwora, stal przechodzi na wskroś i przecina serce na dwoje. Smok wydaje po raz ostatni straszliwy krzyk i umiera.

Tristan uciął mu język i schował do pludrów. Następnie, odurzony gryzącym dymem, skierował się dla ożywienia gardła ku sadzawce, którą ujrzał połyskującą opodal. Ale jad sączący się z języka smoka rozgrzał się na ciele rycerza: w wysokich trawach okalających bajoro bohater upadł bez życia.

Owóż wiedziecie, iż zbieg z czerwonym plecionym włosem był to Aguynguerran Rudy, kasztelan króla Irlandii, i że zabiegał się o Izold Jasnowłosą. Był to z natury tchórz, ale taka jest potęga miłości, iż co rano zaczynał się uzbrojony, aby się spotkać ze smokiem. Skoro jednak z najdalsza jeno usłyszał jego krzyk, chrobry rycerz umykał. Tego dnia w towarzystwie czterech kompanów ośmielił się zawrócić z drogi. Zastał smoka bez życia, padlinę końską, tarcz skruszoną i pomyślał, iż zwycięzca wyzionął ducha gdzieś opodal. Zaczem uciął głowę potwora, zaniósł królowi i zażądał pięknej przyrzeczonej nagrody.

Król nie wierzył zgoła w jego męstwo; ale chcąc wyświadczyć prawo, kazał strąbić wasalów, aby za trzy dni od dzisiejszego stawili się na dworze: tam przed zebraniem baroństwem kasztelan Aguynguerran przedłożył dowody zwycięstwa...

Kiedy Izold Jasnowłosa dowiedziała się, iż ma być łupem tchórza, najpierw wybuchnęła długim śmiechem, po czym jęła zawodzić nad swą dolą. Ale nazajutrz, podejrzewając szalbierstwo, wzięła z sobą służbę, jasnowłosego wiernego Perynisa, oraz Brangien, młodą służącą i towarzyszkę, i wszystko troje ruszyli po kryjomu na koniach ku mieszkaniu smoka. Wtem Izold spostrzegła na drodze ślady osobliwego kształtu: bez wątpienia koń, który przeszedł tamtędy, nie był okuty w tym kraju. Następnie ujrzała potwora bez głowy i martwego konia: rząd jego nie był uszyty obyczajem Irlandii. Wierę, cudzoziemiec jakiś zabił smoka: ale czy żyje jeszcze?

Izolda, Perynis i Brangien szukali długo, wreszcie wśród traw bagniska Brangien ujrzała błyszczący hełm rycerza. Oddychał jeszcze. Perynis wziął go na swego konia i zaniósł tajemnie do komnat niewieścich. Izolda opowiedziała zdarzenie matce i powierzyła jej cudzoziemca. Kiedy królowa rozdiewała rycerza, zatruty język smoka wypadł z pludrów. Wówczas królowa Irlandii ocuciła rannego za pomocą niektórego zioła i rzekła:

— Cudzoziemcze, wiem, iż ty jesteś prawdziwym zabójcą smoka. Ale nasz kasztelan, tchórz, szalbierz, uciął mu głowę i domaga się mej córki, Izoldy Jasnowłosej, za nagrodę. Czy potrafisz od dziś za dwa dni dowieść mu zdrady w pojedynczej bitwie?

— Królowo — rzekł Tristan — bliski to termin. Ale bez wątpienia potrafisz mnie uleczyć w dwa dni. Zdobyłem Izoldę na smoku; zdobędę ją może na kasztelanie.

Wówczas królowa nakarmiła go suto i nawarzyła skutecznych leków. Następnego dnia Izolda Jasnowłosa przyrzadziła kąpiel i łagodnie namaściła mu ciało balsamem sporządzonym przez matkę. Zatrzymała wzrok na twarzy rannego, ujrzała, iż jest piękny i pomyślała: „Wierę, jeśli dzielność jego równa się piękności, ten mój zapaśnik stoczy srogą bitwę!”. Tristan zaś, przywołany do życia ciepłem wody i siłą aromatów, patrzył na nią i myśląc o tym, iż zdobył Królowę o złotych włosach, jął się uśmiechać. Izolda spostrzegła to i rzekła w duchu: „Czemu ten cudzoziemiec się uśmiechnął? Czy uczyniłam coś, co się nie godzi? Czy zaniedbałam której ze służb, jakie młoda dziewczica powinna jest gościowi? Tak, tak, może uśmiechnął się, ponieważ zapomniałam ochędożyć zbroję jego szerniałą od jadu”.

Podeszła tedy, kędy złożony był rynsztunek Tristana. „Otoć hełm z dobrej stali, pomyślała, nie chybi mu w potrzebie. Pancierz silny, lekki, godny okrywać ciało dzielnego rycerza”. Ujęła miecz za rękojeść. „Ha! piękny to miecz i przystojny śmialemu baronowi”. Wydobyła z bogatej pochwy zakrwawione żelazo, aby je obetrzeć. Ale widzi, iż brzeszczot jest szeroko wyszczerbiony. Zważa kształt ubytku: czy to nie ten, który się złamał na głowie Morhołta? Waha się, ogląda jeszcze, chce się upewnić w wątpiwości. Biegnie do komnaty, w której chowała ułomek stali, dobyty niegdyś z czaszki Morhołta. Przykłada ułomek do szernby: ledwie uświadczyłbyś ślad skruszenia.

Wówczas rzuciła się ku Tristanowi i okręcając nad głową rannego srogi miecz, krzyknęła:

— Tyś jest Tristan Lończyk, zabójca Morhołta, mego drogiego wuja; umierajże ty teraz.

Tristan uczynił wysiłek, aby zatrzymać jej ramię; na próżno. Ciało było zdrętwiałe, ale duch został zwinny. Przemówił tedy chytrze:

— Dobrze więc, umrę; ale jeśli chcesz sobie oszczędzić długich wyrzutów, posłuchaj. Córko królewska, wiedz, że nie tylko masz moc, ale masz i prawo mnie zabić. Tak, masz prawo nad mym życiem, ponieważ po dwakroć zachowałam mi je i wróciłam. Pierwszy raz ongi: byłem lutnistą, którego ocaliłam, wygnawszy z ciała truciznę, którą miecz Morhołta go skaził. Nie rumień się, dziewczyno, żeś uleczyła te rany: żali nie

otrzymałem ich w prawej i szczerej bitwie? Czy zabiłem Morhołta zdradą? Czy mnie nie wyzwiał? Czy nie godziło mi się bronić? Drugi raz ocalałaś mnie, znalazłszy w bagnisku. Ha! dla ciebie to, dziewczyno, potykałem się ze smokiem... Ale poniechajmy tego, chciałem ci jeno dowieść, iż zbawiwszy mnie po dwakroć od niebezpieczeństwa śmierci, masz prawo nad życiem. Zabij tedy, jeśli mniemasz zdobyć tym cześć i chwałę. Bez wątpienia kiedy będziesz spoczywać w ramionach męznego kasztelana, słodko ci będzie pomyśleć o rannym gościu, który zaważył życie, aby cię zdobyć, i zdobył, a któregoś ty zabiła bezbronnego w kąpieli.

Izolda wykrzyknęła:

— Słyszę oto przedziwne słowa. Dlaczego morderca Morhołta chciał mnie zdobyć? Ha, z pewnością jak niegdyś Morhołt próbował zagarnąć na statek młode dziewczęta z Kornwalii i ty z kolei, prawem pięknego odwetu, chciałaś się pochlubić, iż uwieziesz jako niewolnicę tę, którą Morhołt miłował nad inne między dziewczętami...

— Nie, córko królewska — rzekł Tristan. — Ale jednego dnia dwie jaskółki przyleciały do Tyntagielu, aby tam zanieść jeden twój złoty włos. Mniemałem, iż przybyły mi oznajmić pokój i miłowanie. Dlatego umyśliłem szukać cię za morzem. Dlatego stawilem czoło potworowi i jego jadom. Widzisz ten włos, zaszyty między złote nitki płaszcza; blask nitek złotych szerniał, ale złoto twego włosa nie spełzło.

Izolda odrzuciła srogi miecz i wzięła w rękę płaszcz Tristana. Ujrzała złoty włos i zamilkła na długo; po czym ucałowała gościa w usta na znak pokoju i oblekła go w bogate szaty.

W dzień zebrania baronów Tristan posłał tajemnie Perynisa, giermka Izoldy, na statek z nakazem dla drużyny, aby się ustawili na dworze przystrojeni jak się godziło posłańcom bogatego króla: spodziewał się bowiem osiągnąć tegoż samego dnia koniec przygody. Gorwenal i młodzi rycerze rozpaczali od czterech dni, iż stracili Tristana: ucieszyli się nowiną.

Jeden za drugim weszli do sali, w której już gromadzili się bez liku baronowie Irlandii: weszli i usiedli sznurkiem w rzędzie. Drogie kamienie kapwały z bogatych strojów, z purpury, cendału i szkarłatu. Irlandczycy mówili między sobą: „Kto są ci wspaniali panowie? Kto ich zna? Patrzcie na te płaszcze bogate, obramione sobolem i złotogłowiem! Patrzcie, jak na rękojeści mieczów, na zapinkach futer, błyszczą rubiny, beryle, szmaragdy i moc kamieni, których ani nazwać nie umiemy! Któż widział kiedy podobne przepychy? Skąd przychodzą ci panowie? komu przynależą?”

Ale stu rycerzy milczało i nie ruszali się z siedziska dla nikogo wchodzącego.

Kiedy król Irlandii zasiadł pod baldakinem, kasztelan Aguynguerran Rudy ofiarował się dowieść świadkami i podtrzymać w bitwie, iż zabił potwora i że należy mu wydać Izoldę. Wówczas Izolda skłoniła się przed ojcem i rzekła:

— Królu, jest tu człowiek, który podejmuje się dowieść kasztelanowi kłamstwa i szalbierstwa. Temu człowiekowi, gotowemu przedstawić dowody, iż uwolnił tę ziemię od plagi i że twej córki nie należy oddawać w ręce tchórza, żali obiecujesz odpuścić dawne winy, choćby największe, i użyczyć pokoju i łaski?

Król zadumany nie kwapił się z odpowiedzią. Ale baronowie krzyczeli tłumnie:

— Przyzwól, panie, przyzwól!

Król rzekł:

— Tedy przyzwalam.

Ale Izolda uklękła u jego stóp:

— Ojcze, daj mi najpierw pocałunek łaski i pokoju na znak, że tak samo dasz je temu człowiekowi.

Skoro otrzymała pocałunek, poszła do Tristana i przywiodła go za rękę przed zgromadzenie. Na jego widok stu rycerzy podniosło się jak jeden mąż, skłonili mu się z rękami złożonymi na piersiach, stanęli po jego bokach, aż Irlandczycy ujrzeli, iż to jest ich pan. Ale wielu poznało go wówczas i rozległ się wielki okrzyk: „To Tristan loński, to morderca Morhołtowy!”. Nagle miecze błysły i wściekłe głosy powtarzały: „Niech zginie!”.

Ale Izolda wykrzyknęła:

— Królu, pocałuj tego człowieka w usta, jak przyrzekłeś.

Król ucałował go w usta i zgiełk uciszył się.

Wówczas Tristan pokazał język smoka i rzucił wyzwanie kasztelanowi, który nie śmiał go przyjąć i wyznał swą winę. Po czym Tristan tak mówił:

— Panowie, zabiłem Morhołta, ale przebyłem morze, aby wam ofiarować zań piękną grzywnę. Aby okupić krzywdę, wydałem ciało swoje w niebezpieczeństwo śmierci i uwolniłem was od potwora, i oto zdobyłem Izoldę Jasnowłosą, krasawicę. Zdobywszy, zabiorę ją rychło na statek. Ale iżby w ziemiach Irlandii i Kornwalii nie włądała już nienawiść, ale miłość, wiedźcie, iż król Marek, mój drogi pan, zaślubi ją. Oto stu rycerzy wielkiego rodu, gotowych zaprzysiąc na relikwie świętych, że król Marek ślubuje wam pokój i miłość. Pragnieniem jego jest uczcić Izoldę jako swą drogą małżonkę i cała szlachta Kornwalii będzie jej służyć jako królowej i pani.

Przyniesiono w wielkim weselu ciała świętych i stu rycerzy przysięgło, iż powiada prawdę.

Król wziął Izoldę za rękę i spytał Tristana, czy ją odprowadzi wiernie panu. W obliczu swoich stu rycerzy i w obliczu baronów Irlandii Tristan zaprzysiął. Izolda Jasnowłosa drżała ze wstydu i męki. Zatem Tristan, zdobywszy, wzgardził nią; piękna powieść o Włosie Złotym była jeno kłamstwem; oto śpieszy wydać ją innemu... Ale król włożył prawą rękę Izoldy w prawicę Tristana, Tristan zaś trzymał ją na znak, iż bierze ją w posiadanie imieniem króla Kornwalii.

Tak dla miłości króla Marka, chytrą i siłą Tristan dopełnił szukania Królowej o złotym warkoczu.

IV. Napój miłosny

Nem, ezn was nicht mit wine,
doch ez im glich waere,
es was diu wernde swaere
diu endlôse herzenôt,
von der si beide lagen tôt.

Godfryd ze Strasburga

Kiedy nadszedł czas oddania Izoldy rycerzom Kornwalii, matka jej nazbierała ziół, kwiatów i korzeni, rozmieszała je w winie i uwarzyła silny napój. Dokończywszy go wedle przepisów sztuki czarnoksięskiej, zlała do bukłaczka i rzekła tajemnie do Brangien:

— Słuchaj, dziewczko: masz udać się z Izoldą do kraju króla Marka. Miłujesz ją wierną miłością; weź tedy ten bukłaczek z winem i zapamiętaj te słowa. Ukryj go w taki sposób, aby go żadne oko nie ujrzało i żadne wargi się doń nie zbliżyły. Ale kiedy przyjdzie noc weselna i chwila, w której zostawia się małżonków samowtór ze sobą, wlejesz to wino nasycone ziołami do czaszy i podasz, aby wypróżnili ją wspólnie: król Marek i królowa Izolda. Bacz jeno dobrze, dziewczyno, aby oni sami tylko mogli skosztować napoju. Taka jest bowiem jego moc: ci, którzy wypiją go razem, będą się miłowali wszystkimi zmysłami i wszystką myślą na zawsze, przez życie i po śmierci.

Brangien przyrzekła królowej, iż uczyni wedle jej woli.

Prując głębokie fale, statek unosił Izoldę. Ale im bardziej oddala się od ziemi irlandzkiej, tym bardziej młoda dziewczyna czuła w sercu żal. Siedząc w namiocie, w którym zamknęła się z Brangien, służebnicą wierną, płakała, wspominając swój kraj. Dokąd ją wiodą ci cudzoziemcy? Do kogo? Na jaki los? Kiedy Tristan zbliżał się i chciał ją uspakajać łagodnymi słowy, gniewała się, odtrącała go i nienawiść wzdymała jej serce. Przybył on, rabuśnik, on, morderca Morholtowy, wydarł ją podstępem matce i ziemi rodzinnej; nie raczył zachować jej dla samego siebie i oto uwozi ją jako łup ku nieprzyjacielskiej ziemi! „Nieszczęsna! — myślała sobie — przekłete niech będzie morze, które mnie nosi! Radziej wolałabym umrzeć w ziemi, gdzie się zrodziłam, niż żyć tam!...”

Jednego dnia wiatry uciszyły się i żagle opadły zwisłe u masztu. Tristan kazał przybić do wyspy; znużeni morzem rycerze kornwalijscy oraz majtkowie wysiedli na ląd. Jedna Izolda została na statku wraz z młodą służebniczką. Tristan zbliżył się do królowej i starał się ukoić jej serce. Ponieważ słońce piekło i czuli pragnienie, zażądali pić. Dziewczyna poszła szukać jakiegoś napoju, aż znalazła bukłaczek oddany w ręce Brangien przez matkę Izoldy. „Znalazłam wino!” — zawołała. Nie, nie, to nie było wino: to była chuć, to była rozkosz straszliwa i męka bez końca, i śmierć! Dziecię napełniło puchar i podało swej pani. Napila się duży łyk, po czym dała Tristanowi, który wypił do dna.

W tej chwili weszła Brangien i ujrzała ich, jak spoglądali na się w milczeniu, jakby obłądzeni i zachwyceni razem. Ujrzała przed nimi naczynie prawie puste i puchar. Wzięła naczynie, podbiegła na zad okrętu, rzuciła je w fale i jęła:

— Nieszczęśliwa! Przekłety niech będzie dzień, w którym się zrodziłam, i przekłety dzień, w którym wstałam na ten statek! Izoldo, przyjaciółko moja, i ty Tristianie, otoście wypili śmierć własną!

I znowu statek pomykał w stronę Tyntagielu. Zdawało się Tristanowi, że żywy krzew o ostrych cierniach, o pachnących kwiatach zapuszcza korzenie w krew jego serca i silnymi więzami wiąże do pięknego ciała Izoldy jego ciało i wszystką myśl, i wszystkie pragnienia. Myślał: „Andrezie, Denoalenie, Gwelonie i ty, Gondoinie, zdrajcy, którzyście mnie oskarżali, iż pożądam ziemi króla Marka, ach, jestem jeszcze nikczemniejszy i nie ziemi jego oto pożądam! Ty, miły wuju, który pokochałeś mnie sierotę, nim nawet poznałeś krew siostry swojej Blancheflor, któryś mnie oplakiwał tkliwie, gdy ramiona twoje niosły mnie do barki bez żagla i wiosła, ty, miły wuju,

czemuż od pierwszego dnia nie wyгнаłeś precz zbłąkanego dziecka przybyłego, aby cię zdradzić? Ha, cóżem pomyślał? Izold jest twoją żoną, a ja twym lennikiem. Izold jest twoją żoną, a ja twoim synem. Izold jest twoją żoną i nie może mnie kochać”.

Izolda kochała go. Chciała nienawidzić: zali nią haniebnie nie wzgardził? Chciała nienawidzić i nie mogła, dręczona w sercu czułością dotkliwiej piekącą niż nienawiść.

Brangien patrzyła na nich z bólem, okrutniej jeszcze udręczona. Ona jedna знаła nieszczęście, które sprawiła. Dwa dni śledziła ich; widziała, jak odtrącają wszelkie jadło, wszelki napój i wszelkie pokrzepienie, jak się szukają niby ślepi posuwający się po omacku ku sobie, nieszczęśliwi, kiedy usychali rozdzieleni, bardziej nieszczęśliwi jeszcze, kiedy, będąc przy sobie, drżeli przed grozą pierwszego wyznania.

Trzeciego dnia, kiedy Tristan zbliżał się do namiotu rozpiętego na pokładzie, gdzie Izolda szukała schronienia, Izold ujrzała go nadchodzącego i rzekła pokornie:

— Wejdźcie, panie!

— Królowo — rzekł Tristan — czemu nazywasz mnie panem? Czy nie jestem, przeciwnie, twym lennikiem, wasalem, powinnym cię czcić, służyć ci i kochać ciebie jak swoją królową i panią?

Izold odparła:

— Nie, ty wiesz o tym, że jesteś moim panem i władcą! Ty wiesz, że twoja moc włada nade mną i że jestem twą niewolnicą! Ach! czemuż nie rozjątrzyłam niegdyś ran schorzałego lutnisty? Czemu nie dałam zginąć pogromcy smoka w trawach bagniska? Czemu, kiedy spoczywał w kąpieli, nie spuściłam nań miecza wzniesionego już nad głową? Niestety! nie wiedziałam wówczas tego, co wiem dzisiaj!

— Izoldo, co wiesz dzisiaj? Co ciebie dręczy?

— Ach! wszystko to, co wiem, dręczy mnie, i wszystko, co widzę. To niebo mnie dręczy i to morze, i ciało moje, i życie moje!

Położyła rękę na ramieniu Tristana, łzy przygasiły promienie jej ocz, wargi zadrżały. Zapytał:

— Miła, co ciebie dręczy?

Odpowiedziała:

— Iż cię miłuję.

Wówczas położył usta na jej ustach.

Ale gdy po raz pierwszy oboje kosztowali rozkoszy miłości, Brangien, która śledziła ich, wydała krzyk i z wyciągniętymi ramionami, z twarzą zalaną łzami, rzuciła im się do nóg:

— Nieszczęśliwi! wstrzymajcie się i jeśli możecie jeszcze, zawróćcie z drogi! Ale nie, droga jest bez powrotu; już siła miłości was ciągnie i nigdy już nie zaznacie słodczy bez boleści. To wino napojone ziołami ogarnęło was, napój miłosny, który matka twoja, Izoldo, powierzyła mi. Jeden król Marek miał wypić go z tobą; ale Nieprzyjaciół zadrwił sobie z nas trojga i oto wy oboje wysączyliście puchar. Miły Tristanie, Izoldo miła, za karę złej pieczy, którą miałam o nim, oddaję wam swoje ciało, życie; przez moją to zbrodnię wypiliście w przeklętym pucharze miłość i śmierć!

Kochankowie obłapili się: w ich pięknych ciałach drgało pragnienie i życie. Tristan rzekł:

— Niech tedy przyjdzie śmierć.

I kiedy wieczór zapadł na statku, który coraz chężej pomykał ku ziemi króla Marka, związani na zawsze, pogrążyli się w miłości.

V. Brangien wydana niewolnikom

Sobre toz avrai gran valor
S'aitals camisa m'es dada
Cum Iseus det a l'amdoador
Que mis non era portada.

Rambałt, hrabia Oranii

Król Marek przyjął Izold Jasnowłosą na wybrzeżu. Tristan wziął ją za rękę i zawiódł przed króla: król objął ją w posiadanie, biorąc również za rękę. Z wielką czcią zaprowadził ją do zamku w Tyntagielu i kiedy pojawiła się w sali, w pośrodku panów lennych, piękność jej roznieciła taką jasność, iż mury zalśniły się, jakby padły na nie blaski wschodzącego słońca. Wówczas Marek pochwalił jaskółki, które tak uprzejmię przyniosły mu złoty włos, pochwalił Tristana i stu rycerzy, którzy na błędnym statku poszli dłań szukać radości oczu i serca. Niestety! i tobie także, szlachetny królu, statek przywiózł dotkliwą żalobę i srogie cierpienia.

W osiemnaście dni potem, zwoławszy wszystkich baronów, Marek pojął za żonę Izold Jasnowłosą. Ale kiedy przyszła noc, chcąc ukryć niesławę królowej i ocalić ją od śmierci, Brangien zajęła miejsce Izoldy w łóżnicy małżeńskiej. Jako karę za złą straż, którą sprawowała na morzu, dla miłości pani i przyjaciółki, poświęciła wierna służka czystość swego ciała; ciemność nocy ukryła królowi podstęp jej i hańbę.

Bajarze powiadają tutaj, że Brangien nie rzuciła do morza naczynia z winem nasyconym ziołami, niezupełnie wysączonym przez kochanków; ale że rano, skoro pani weszła z kolei w łożo króla Marka, Brangien wlała do pucharu resztkę napoju i podała małżonkom; że Marek popił obficie, Izold zaś wylała swą część ukradkiem. Ale wiedźcie, że ci bajarze skazili historię i znieprawili ją. Jeśli wymyślili to łgarstwo, to dlatego, iż nie mogli zrozumieć cudownej miłości, jaką Marek żywił zawsze dla królowej. Zaiste, jak to usłyszycie niebawem, nigdy, mimo udręki, żalu i straszliwej pomsty, Marek nie mógł wygnąć z serca Izoldy ani Tristana; ale wiedźcie, panowie, iż nie napił się on zielonego wina. Ani trucizna, ani czary, jedynie tkliwa szlachetność serca natchnęła w nim tę miłość.

Izold jest królową i zda się żyć w szczęściu. Izold jest królową i żyje w żałobie. Izold posiada serce króla Marka, baronowie czczą ją, drobniejszy ludę miłuje. Izold pędzi dni w komnatach bogato malowanych i zasłanych kwiatami. Izold ma szlachetne klejnoty, sukna z purpury i kobierce zwiezione z Tesalii, śpiewy lutnistów, opony, na których są wyrobione lamparty, ryby, papugi i wszystkie bydlęta mórza i lasów. Izold ma swoje żywe, swe piękne miłowanie i Tristana koło siebie do woli i w dzień, i w nocy; jak bowiem chce obyczaj u możnych państwa, sypia on w komnacie królewskiej, wśród jego wiernych i poufałych. Izold drży wszelako. Dlaczego drży? Żali nie dzierży swej miłości w tajemnicy? Któż podejrzewałby Tristana? Któż podejrzewałby syna? Kto ją widzi? Kto szpieguje? Co za świadek? Tak, świadek ją szpieguje, Brangien; Brangien ją śledzi; Brangien jedna zna jej życie, Brangien trzyma ją na swej łasce. Boże! Gdyby sprzykrzywszy sobie narządzać każdego dnia jako sługa łożo, w którym legła ongi pierwsza, gdyby ich oskarżyła przed królem! Gdyby Tristan miał umrzeć przez jej zdradę!... Taki oto strach oszalecia królowę. Nie, to nie od wiernej Brangien, to z własnego serca płynie jej udręka. Słuchajcie, pany miłościwe, wielkiej zdrady, którą umyśliła; ale Bóg, jako wraz usłyszycie, ulitował się nad nią; wy także miejcie dla niej litość!

Tego dnia król i Tristan byli daleko na łowach i Tristan nie przeznał tej zbrodni. Izold zawołała dwóch niewolników, przyrzekła im wolność i sześćdziesiąt sztuk złota, jeśli przysięgną spełnić jej wolę. Złożyli przysięgę.

— Oddam wam — rzekła — młodą dziewczynę; zawieźcie ją do lasu, daleko lub blisko, ale w takie miejsce, aby nikt nigdy nie odgadł tej przygody; tam zabijecie ją i przyniesiecie mi jej język. Zauważcie słowa, które powie, abyście mogli powtórzyć. Idźcie; skoro wrócicie, będziecie wolni i bogaci.

Następnie zawołała Brangien:

— Droga, czyliż nie widzisz, jak ciało moje dręczy się i więdnie; żali nie pójdziesz poszukać w lesie ziół skutecznych na me cierpienie? Oto dwaj słudzy, którzy cię zaprowadzą; wiedzą, gdzie rosną zbawcze zioła. Idźże za nimi; siostró, wiedz dobrze, iż jeśli wysyłam cię do lasu, to dlatego, że idzie o mój spokój i życie!

Słudzy powiedli ją. Przybywszy do lasu, chciała się zatrzymać, lecznicze trawy rosły dokoła obficie. Ale oni pociągnęli ją dalej.

— Pójdź dziewczę, nie tutaj jest dogodne miejsce.

Jeden ze sług szedł przed nią, towarzyszył jej za nią. Już ani śladu udeptanej ścieżki, jeno same głogi, ciernie i osty splątane. Wówczas człowiek, który szedł pierwszy, wydobył miecz i odwrócił się; rzuciła się ku drugiemu, aby go prosić o pomoc: ale on trzymał również nagi miecz w garści i rzekł:

— Tak, dziewczę, trzeba nam cię zabić.

Brangien upadła na trawę; ramiona jej starały się odwrócić ostrze mieczów. Błagała o litość tak żalnym i czułym głosem, aż rzekli:

— Ej, dziewczyno, jeśli królowa Izolda, twoja i nasza pani, chce, abyś umarła, musiałaś zaiste ciężko jej przewinić.

Odparła:

— Nie wiem, przyjaciele: przypominam sobie tylko jedną winę. Kiedy wyruszaliśmy z Irlandii, miałyśmy obie jako najdroższy strój koszulę białą jak śnieg, koszulę na naszą noc ślubną. Otóż zdarzyło się na morzu, że Izolda podarła swą godową koszulę i na noc ślubną pożyczyłam jej mojej. Oto, przyjaciele, jedyna wina, której się dopuściłam. Ale skoro chce, bym umarła, powiedzcie jej, że ślę jej miłość i pozdrowienie i dziękuję za wszelkie dobro i cześć, które mi wyświadczyła od czasu, gdy dzieckiem porwaną od piratów, sprzedano mnie królowej za służkę. Niechaj Bóg w dobroci swej strzeże jej czci, ciała, życia! Bracia, teraz uderzajcie!

Słudzy uczuli litość. Naradzili się z sobą i uznając, iż może taka przewina nie zasługuje na śmierć, przywiązali ją do drzewa,

Następnie zabili młodego psa: jeden z nich obciął mu język, schował za pazuchę, pod kaftan i obaj stanęli przed Izoldą.

— Czy mówiła co? — spytała trwożna.

— Tak, królowo, mówiła. Rzekła, iż zasłużyła na twój gniew jedną tylko przewiną: iż podarłaś na morzu koszulę białą jak śnieg, którą wiozłaś z Irlandii, i ona pożyczyła ci swojej na noc weselną. Oto, mówiła, jedyna zbrodnia. Kazała ci złożyć dzięki za tyle

dobrodziejstw doznanych od ciebie od dzieciństwa i prosiła Boga, by chronił twą cześć i życie. Przekazuje ci pozdrowienie i miłość. Królowo, otoć przynosimy jej język.

— Mordercy — wykrzyknęła Izolda — oddajcie mi Brangien, mą drogą służebnicę! Czyż nie wiedzieliście, że ona mi jest jedyną przyjaciółką? Mordercy, oddajcie mi ją!

— Królowo, słusznie to powiadają: „Kobieta zmienia się z każdą godziną, w tej samej chwili śmieje się, płacze, kocha, nienawidzi”. Zabiliśmy, ponieważ tak kazałaś.

— Jak mogłam kazać? Za jaką zbrodnię? Czyż ona nie była mą drogą towarzyszką, słodką, wierną, wdzięczną? Kłamiecie, mordercy: posłałam ją, aby szukała ziół lekarskich, i nakazałam wam, byście jej strzegli w drodze. Ale ja powiem, żeście ją zabili, i każę spalić was na wolnym ogniu.

— Królowo, wiedz tedy, że żyje i że przywieziemy ci ją zdrową i całą.

Ale ona nie wierzyła i jak obłąkana kolejno przeklinała morderców i przeklinała siebie samą. Zatrzymała jednego ze sług przy sobie, gdy drugi śpieszył ku drzewu, gdzie Brangien była przywiązana:

— Krasawico, Bóg zmiłował się nad tobą, oto pani cię przyzywa.

Stanąwszy przed Izoldą, Brangien uklękła, prosząc, aby jej przebaczyła winy; ale królowa też upadła przed nią na kolana i obie, tuląc się wzajem w uścisku, długo szlochały.

VI. Wielka sosna

Isot ma drue, Isot m'amie

En vos ma mort, en vos ma vie!

Gotfryd ze Strasburga

Nie wiernej Brangien, ale siebie samych kochankowie winni się obawiać. Ale w jaki sposób pijane ich serca umiałyby być czujne? Miłość ich przypiera, tak jak pragnienie pcha ku strumieniowi dogorywającego jelenia; lub jak krogulec nagle wypuszczony po długim poście rzuca się na ofiarę. Niestety! miłości nie da się ukryć. Wierę, dzięki czujności Brangien nikt nie zaskoczył królowej w ramionach przyjaciela; ale o wszystkim porze, na wszystkim miejscu, czyż każdy nie widzi, jak pragnienie miota nimi, dławi ich, kipi ze wszystkich zmysłów, tak jak świeży moszcz pianą ocieka z naczynia?

Już czterej zdrajcy ze dworu, którzy nienawidzą Tristana za jego dzielność, krążą dokoła królowej. Już znają prawdę jej słodkiego miłowania. Pałają żądzą, nienawiścią i radością. Zanoszą królowi nowinę: ujrzą, jak czułość jego przemieni się we wściekłość; ujrzą Tristana wygnanym lub wydanym na śmierć i także męczarnie królowej. Lękają się wszelako gniewu Tristana; ale wreszcie nienawiść zwyciężyła strach. Jednego dnia czterej baronowie zawołali króla Marka do sali radnej i Andret rzekł:

— Miły królu, z pewnością serce twoje skrwawi się i wszyscy czterej bolejemy nad tym wielce, ale trzeba nam wyjawić, cośmy spostrzegli. Pomieściłeś serce swoje w Tristanie, a Tristan chce cię zhańbić. Próżnośmy cię ostrzegali: dla miłości jednego człowieka za nic masz krewieństwo i całą baronię i niechasz nas wszystkich. Wiedz tedy, że Tristan miłuje królowę: to dowiedziona prawda i gadają już o tym szeroko po kraju.

Szlachetny król zachwiał się i rzekł:

— Nikczemny! Jakąż podłość pomyślałeś! Zaprawdę, pomieściłem serce w Tristanie. W dniu, w którym Morholt wydał nam bitwę, pospuszczaliście wszyscy głowy, drżący i podobni niemowom; ale Tristan stawiał mu czoło dla czci tej ziemi i przez każdą z ran dusza jego mogła odlecieć. Dlatego to wy go nienawidzicie i dlatego ja go kocham więcej niż ciebie Andrecie, więcej niż was wszystkich, więcej niż kogo na ziemi. Ale co twierdzicie, żeście odkryli? Coście widzieli? Coście słyszeli?

— Nic, w istocie, panie; nic, czego by oczy twoje nie mogły widzieć; nic, czego by uszy twoje nie mogły słyszeć. Patrz, słuchaj, miły panie; może czas jeszcze.

I oddaliwszy się, pozwolili mu do syta trawić jad trucizny.

Król Marek nie mógł się otrząsnąć ze złego uroku. Wbrew sercu on znowuż śledził siostrzeńca, śledził królowę. Ale Brangien przejrzała to, ostrzegła ich i daremnie król starał się doświadczyć Izoldę podstępem. Zmierzył sobie niebawem tę szpetną walkę; rozumiejąc, iż nie zdoła już wygnać podejrzenia, przywołał Tristana i rzekł:

— Tristanie, oddal się z zamku; skoro go opuścisz, nie waż się już przestąpić tych bram i okopów. Niegodziwcy obwiniają cię o ciężką zdradę. Nie pytaj: nie mógłbym powtórzyć ich poduszczeń bez hańby dla nas obu. Nie szukaj słów dla uspokojenia mnie: czuję, iż zostałyby daremne. Nie wierzę oskarżycielom; gdybym wierzył, żali nie byłbym cię już wydał na śmierć haniebną? Ale ich złośliwe podszepty zmały mi serce; jedynie twój odjazd zdoła je ukoić. Jedź; bez wątpienia przywołam cię niebawem; jedź, synu mój, zawsze mi drogi!

Skoro zdrajcy usłyszeli nowinę: „Odjechał — mówili między sobą — odjechał ten czarownik, wypędzony jak łotr! Cóż on może począć z sobą teraz? Ani wątpić, przeprawi

się za morze, aby szukać przygód i zanieść swe niewierne służby jakiemu dalekiemu królowi”.

Nie, Tristan nie miał siły odjechać; kiedy minął mury i fosy zamkowe, poznał, iż nie potrafi więcej się oddalić. Zatrzymał się w samym mieście Tyntagielu, zajął gospodę z Gorwenalem w domu mieszczanina i charłał tam dręczony febrą, bardziej sięgnięty w serce niż niegdyś, w dniach, gdy oręż Morhołta zatrzał mu był ciało. Niegdyś, kiedy leżał w szałasie wzniesionym nad brzegiem morza i kiedy wszyscy umykali przed zaduchem jego ran, trzech ludzi bodaj wspomagało go: Gorwenal, Dynas z Lidanu i król Marek. Teraz Gorwenal i Dynas trwali jeszcze przy jego wezglowiu, ale król Marek nie przychodził. Tristan wzdychał:

„Wierzę, miły wuju, ciało moje wydaje smród bardziej odrażającej trucizny, oto i miłość twa nie zdoła już pokonać wstrętu”.

Ale bez odpocznienia, w gorączce febrzy żądza ciągnęła go niby rozhukanego konia ku szczelnie zamkniętym wieżycom, które dzierżyły w zamknięciu królową. Koń i jeździec kruszyli się o mury z kamienia; ale wraz koń i jeździec podnosili się i podejmowali na nowo tę samą jazdę.

Poza szczelnie zamkniętymi wieżycami Izold Jasnowłosa usycha także, jeszcze bardziej nieszczęśliwa. Wśród obcych, którzy ją śledzą, trzeba jej cały dzień udawać śmiech i wesele; w nocy zaś trzeba jej trwać nieruchomo wyciągniętej przy boku króla Marka i przewycięzać drgania członków i dreszcze gorączki. Chce uciekać ku Tristanowi. Zdaje się jej, że wstaje i biegnie aż do drzwi; ale na ciemnym progu zdrajcy ustawili wielkie kosy: wyostrzone i złośliwe klingi chwytają w przechodzie delikatne kolana. Zdaje się jej, że pada i że z podciętych kolan tryskają dwie czerwone fontanny.

Niebawem kochankowie pomrą, jeśli ich nikt nie wspomóż. I któż ich wspomóż, jeżeli nie Brangien? Z niebezpieczeństwem życia przemknęła się do domu, gdzie Tristan usycha. Gorwenal otwiera jej uradowany, a ona, aby ocalić kochanków, uczy Tristana podstępu.

Nie, pany miłościwe, nigdy, nigdy nie słyszeliście pewnie gadki o piękniejszym podstępie miłosnym.

Poza zamkiem tyntagielskim, rozciągał się sad rozległy i ubezpieczony silną palisadą. Piękne drzewa rosły tam bez liku, brzemienne owocami, ptactwem i pachnącym gronem. W miejscu najbardziej oddalonym od zamku, tuż obok kołów palisady wznosiła się wysoka i prosta sosna, której krzepki pień dźwigał szerokie gałęzie. U jej stóp tryskało żywe źródło: woda rozlewała się zrazu szeroką płachtą, jasna

i spokojna, okolona cembrowaniem z marmuru; potem ujęta w dwa ciasne brzegi pomykała przez sad i wnikając w samo wnętrze zamku, biegła przez komnaty niewiast.

Otóż każdego wieczora Tristan za radą Brangien strugał misterne kawałki kory i małe gałązki. Przeskakiwał ostre pale i przybywszy pod sosnę, rzucał drewnienka do źródła. Lekkie jak piana płynęły i toczyły się z wodą, zaś w komnatach niewieścich Izolda śledziła ich przybycie. Natychmiast w owe wieczory, kiedy Brangien zdołała oddalić króla Marka i zauszników, Izolda śpieszyła do przyjaciela.

Przybywa zwinna i trwożna zarazem, śledząc przy każdym kroku, czy zausznicy nie zasadzili się za drzewami. Ale skoro Tristan ją zoczył, z otwartymi ramionami rzuca się ku niej. Wówczas chroni ich noc i życzliwy cień wielkiej sosny.

— Tristanie — rzekła królowa — czyż żeglarze nie upewniają, że zamek tyntagielski jest zaczarowany i że czarnoksiężką mocą dwa razy do roku, w zimie i w lecie, ginie i znika oczom? Teraz tak zginął. Czyż nie tu jest ów zaczarowany sad, o którym mówią śpiewki harfiarzy: mur z powietrza zamyka go ze wszystkich stron; kwitnące drzewa, ziemia pachnąca; bohater żyje w nim, nie starzejąc, w ramionach swej miłej i żadna wroga siła nie może skruszyć muru z powietrza?

Już na wieżach tyntagielskich ozwały się trąby strażników zwiastujące świt.

— Nie — rzekł Tristan — mur z powietrza już rozpuł się oto i nie jest ci to sad zaczarowany. Ale jednego dnia, miła, pójdziemy razem w kraj szczęśliwy, z którego nikt nie wraca. Tam wznosi się zamek z białego marmuru; w każdym z tysiąca okien błyszczy zapalona świeca, w każdym rybałt gra i śpiewa melodię bez końca. Słońce nie świeci tam; ale nikt nie żałuje jego światła: to szczęśliwy kraj Żywych.

Ale na szczycie wież tyntagielskich brzask oświeca wielkie ciosy kładzione w szachownicę z zieleni i lazuru.

Izolda odzyskała wesele; podejrzenie króla Marka rozprasza się; zasię, przeciwnie, zdradliwcy odgadują, iż Tristan znowu zdybał się z królową. Ale Brangien sprawuje czaty tak dobrze, iż śledzą na próżno. Wreszcie diuk Andret, niech go Bóg pohańbi, rzekł do towarzyszków:

— Panowie, zasięgnijmy rady u Frocyna, garbatego karła. On zna siedem sztuk, magię i wszystkie rodzaje czarów. Umie przy urodzeniu dziecka zważać tak dobrze siedem planet i bieg gwiazd, że opowiada z góry wszelkie wypadki życia. Odsłania mocą czartowskich znaków wszystkie rzeczy tajemne. On nas pouczy, jeśli zechce, o zdradach Izoldy Jasnowłosej.

W nienawiści swej do krasy i dzielności mały, zły człowieczek nakreślił czarodziejskie głoski, odmówił zaklęcia, zważył bieg Oriona i Lucifera i rzekł:

— Żyćcie w weselu, mili panowie; tej nocy zdołacie ich pochwycić.

Zaprowadzili go przed króla.

— Panie — rzekł czarnoksiężnik — każ, niech twoi łowczowie założą smycze ogarom i okulbaczą konie; oznajm, iż siedem dni i siedem nocy będziesz żył w boru na łowach. Możesz mnie powiesić na widłach, jeśli tej nocy jeszcze nie usłyszysz, jakie pogwarki wiedzie Tristan z królową.

Król wbrew sercu usłuchał. Skoro noc zapadła, zostawił łowczych w lesie, wziął karła za siebie na siodło i wrócił do Tyntagielu. Przez wiadome sobie wejście wszedł do sadu, karzeł zaś zaprowadził go pod wielką sosnę.

— Miły królu, trzeba ci wejść na gałąź. Zabierz z sobą łuk i strzały: zdadzą ci się może. I sprawuj się cichutko: nie będziesz czekał długo.

— Idź precz, psie Nieczystego! — odparł Marek.

I karzeł odszedł, uprowadzając konia.

Prawdę powiedział: król nie czekał długo. Tej nocy błyszczał jasny i piękny księżyc, ukryty w gałęziach król ujrzał siostrzeńca, jak skacze przez ostre pale. Tristan przyszedł pod drzewo i rzucił w wodę wióry i gałązki. Ale kiedy rzucając je, nachylił się nad źródłem, ujrzał odbity w wodzie obraz króla. Ach, gdyby mógł zatrzymać pomykające gałązki! Ale nie, biegną chyżo przez sad. Tam, w komnatach niewieścich, Izolda śledzi ich zjawienie: już bez ochyby widzi je, nadbiega. Niech Bóg ma kochanków w swojej pieczy!

Nadchodzi zwinna a ostrożna wszelako, jako zwykła. „Co to takiego? — pomyślała. — Czemu Tristan nie wybiega dziś wieczór na spotkanie? Czyżby spostrzegł jakiego nieprzyjaciela?”

Zatrzymuje się, przetrząsa spojrzeniem ciemne zarośla; nagle przy blasku księżycy spostrzega i ona cień króla w sadzawce. Okazała isticie kobiecą roztropność, że nie podniosła oczu ku gałęziom: „Boże miłosierny! — szepnęła cicho — pozwól jeno, bym mogła przemówić pierwsza!”

Zbliża się jeszcze. Słuchajcież, w jaki sposób uprzedza i ostrzega miłego:

— Panie Tristanie, na coś się ośmielił? Ściągać mnie w takie miejsce o tej porze! Wiele już razy wzywałeś mnie tutaj: chcesz błagać mnie o coś, powiadałeś. I cóż masz za prośbę? Czego spodziewasz się po mnie? Przybywam wreszcie, nie mogłam bowiem przepomnieć, iż będąc królową, winna ci to jestem. Otom przybyła: czego żadasz?

— Królowo, żebrać u ciebie łaski, iżbyś ukoila króla!

On drży i płacze. Ale Tristan chwali Wszechmocnego Boga, iż ukazał miłej niebezpieczeństwo.

— Tak, królowo, wzywałem cię często i zawsze na próżno: nigdy, od czasu jak król mnie wypędził, nie raczyłaś przyjść na me wezwanie. Ale ulituj się nad nieszczęśnikiem; oto król mnie nienawidzi, nie wiem dla jakiej przyczyny, ale ty znasz ją może. Któż mógłby zarzeknąć jego gniew, jeśli nie ty jedna, szczerą królową, nadobną Izolda, w której serce jego pokłada całą ufność?

— Jakże to, panie Tristanie, żali nie wiesz jeszcze, że on podejrzewa nas oboje? I o jaką zdradę! Trzebaż, na domiar wstydu, bym ja pouczała cię o tym? Mój pan mniema, jako miłuję cię grzeszną miłością. Bóg to wie wszelako i jeśli kłamie, niechaj pohańbi me ciało. Nigdy nie obdarzyłam miłością żadnego mężczyzny prócz tego, który pierwszy wziął mnie, dziewicę, w ramiona. I ty chcesz, Tristanie, bym ja błagała króla o przebaczenie dla ciebie? Ależ gdyby wiedział bodaj, że przyszłam tu pod tę sosnę, kazałby rzucić moje popioły na wolę wiatrów!

Tristan jęknął:

— Miły wuju, toć powiadają: „Nie jest ten łotrem, kto nie popełnia łotrostwa”. Ale w czym sercu mogło się zrodzić takie podejrzenie?

— Panie Tristanie, co chcesz powiedzieć? Nie, król, mój pan, nie byłby sam z siebie umyślił takiej szpetoty. Ale zdrajcy tej ziemi wmówili weń kłamstwo, łatwo bowiem oszukać wierne serce. „Miłują się”, powiedzieli mu i zdrajcy obrócili to nam za zbrodnię. Tak, miłowałeś mnie, Tristanie, czemu przeczyć? Czyż nie jestem żoną twego wuja i czy dwa razy nie zbawiłam cię od śmierci? Tak, i ja miłowałam cię wzajem: czy nie jesteś krewieństwem króla i czyż nie słyszałam po wielokroć od matki, iż żona nie kocha swego pana, jeśli nie kocha panowego krewieństwa? Dla miłości króla miłowałam cię, Tristanie; i teraz jeszcze, jeśli cię wróci do łaski, radać będę. Ale ciało moje drży, lękam się, odchodzę, zbyt długo już pozostałam.

W górze, w gałęziach, król uczuł litość i uśmiechnął się łagodnie.

Izold ucieka, Tristan woła za nią:

— Królowo, przez imię Zbawiciela, przyjdź mi z pomocą, przez litość! Tchórze chcieli odsunąć od króla wszystkich, którzy go kochają, udało się im i teraz dworują z niego. Dobrze więc; odejdę z tego kraju w dal, nędzny jak niegdyś przybyłem. Ale iżbym bez wstydu mógł odjechać, tyle przynajmniej uzyskaj od króla, niechaj w uznaniu dawnych

zasług da mi ze swego dobra tyle, abym mógł zapłacić, com dłużeń, wykupić konia i zbroję.

— Nie, Tristanie, nie powinienes zwracać się do mnie z tym żądaniem. Jestem sama na tej ziemi, sama w pałacu, gdzie nikt mnie nie kocha, bez oparcia, na łasce króla. Jeżeli powiem słowo za tobą, czyż nie widzisz, że narażam się na niechybną śmierć? Przyjacielu, niech Bóg cię wspomaga. Król nienawidzi cię bardzo niesłusznie. Ale do jakiej bądź ziemi się udasz, Bóg Wszechmocny będzie ci szczerym przyjacielem.

Uchodzi pędem aż do komnaty, gdzie Brangien bierze ją drżącą w ramiona; królowa powiada jej całą przygodę. Brangien wykrzykuje:

— Izold, pani moja, Bóg sprawił dla ciebie wielki cud! Jest ojcem współczującym i nie chce krzywdy tych, których zna jako niewinnych.

Pod wielką sosną Tristan oparty o cembrowanie z marmuru zawodził:

— Niechaj Bóg zlituje się nade mną i naprawi wielką niesprawiedliwość, którą cierpię od mego drogiego pana.

Skoro przesadził ogrodową palisadę, król rzekł z uśmiechem:

— Miły siostrzeńcze, błogosławiona niech będzie ta godzina! Wiedz, że daleka wędrówka, którą gotowałeś dziś rano, już skończona!

Het, w dali, na polance lasu karzeł Frocyn zapytywał biegu gwiazd, ale wyczytał w nich, że król grozi mu śmiercią; posiniał ze wstydu i strachu, odął się z wściekłości i uciekł chyżo ku ziemi walijskiej.

VII. Karzeł Frocyn

We dem setbin getworge,

Daz er den odelin man vorrit.

Eilhard z Obergu

Król Marek uczynił jednanie z Tristanem. Dał mu pozwolenstwo na powrót do zamku i jako niegdyś Tristan sypia w komnacie króla wśród wiernych i poufałych. Wedle ochoty może wychodzić i król nie troska się już o to. Ale kto zdoła długo utrzymać swe miłowanie w tajemnicy?

Marek przebaczył oszczercom; zasię kasztelan Dynas z Lidanu, nalazłszy jednego dnia w dalekim lesie błądzącego i nędznego garbatego karła, przywiódł go przed króla, który ulitował się i przebaczył winę.

Ale dobroć jego podsyciła jeszcze nienawiść baronów; zdybawszy znowuż Tristana i królowę, związali się takim ślubem: jeżeli król nie wygna siostrzeńca poza granice kraju, cofną się do swych warownych zamków, aby z nim wojować. Zawołali króla do sali radnej.

— Królu, miłuj nas, nienawidź nas, jak wola; ale żądamy, abyś wypędził Tristana. On kocha królową, widzi to każdy, kto chce widzieć, ale my nie ścierpimy tego dłużej.

Król słyszy ich, wzdycha, chyli czoło ku ziemi, milczy.

— Nie, królu, nie ścierpimy już; wiemy bowiem, że ta nowina, osobliwa niegdyś, nie może cię już zaskoczyć i że godzisz się na ich zbrodnię. Co poczniesz? Rozważ to i naradź się z sobą. Co do nas, jeżeli nie oddalisz siostrzeńca bezpowrotnie, zamkniemy się w baroniach i ściągniemy sąsiady nasze z twego dworu, nie możemy bowiem ścierpieć, aby tu zostali. Taki oto wybór ci dajemy; wybieraj tedy!

— Panowie, raz uwierzyłem w szpetne słowa, które mówiliście o Tristanie, i żałowałem tego. Ale wy jesteście wierni lennicy i nie chcę tracić usług swoich ludzi. Radźcie tedy, proszę was o to, jesteście mi winni radę. Wiecie dobrze, że unikam wszelkiej pychy i przemocy.

— Zatem, panie, wezwij tu karła Frocyna. Nie ufasz mu z przyczyny spotkania w sadzie. Wszelako, żali nie wyczytał w gwiazdach, że królowa przyjdzie tego wieczora pod sosnę? On wie dużo rzeczy; poradź się go.

Nadbiegł przekłety karzeł; Denoalen uściskał go. Słuchajcież, jakiego podstępu nauczył króla.

— Panie, nakaz siostrzeńcowi, aby jutro skoro świt ruszył do Karduel zanieść królowi Arturowi pismo na pergaminie, pięknie opieczetowane woskiem. Królu, Tristan sypia wpodłe twego łoża. Wyjdź z komnaty o godzinie pierwszego snu, a przysięgam na Boga i na prawo Rzymu, iż jeśli kocha Izoldę szaloną miłością, zechce z nią mówić przed wyjazdem; ale jeśli przyjdzie tak, iżbym ja o tym nie wiedział i abyś ty tego nie widział, wówczas zabij mnie. Co się tyczy reszty, pozwól mi poprowadzić rzecz wedle mej głowy i strzeż się jeno wspomnieć Tristanowi o poselstwie przed godziną spoczynku.

— Tak — odparł Marek — niechże się stanie.

Wówczas karzeł dopuścił się szpetnej zdrady. Zaszedł do piekarza i kupił za cztery denary cienkiej mąki, którą ukrył za pazuchą. Ha! któż by kiedy wpadł na podobną zdradę? Za nadejściem nocy, kiedy król powiecerzał i ludzie posnęli w dużej izbie

sąsiadującej z komnatą monarszą, Tristan przyszedł, jako miał obyczaj, ułożyć króla do spoczynku.

— Miły siostrzeńcze, uczyn mą wolę: pojedziesz do króla Artura, aż do Karduel i dasz mu do odpieczętowania to pismo. Pozdrów go ode mnie i nie baw dłużej niż jeden dzień.

— Królu, zaniósę jutro.

— Tak, jutro, zanim dzień wstanie.

Oto i Tristan w wielkim niepokoju. Od jego łoża do łoża króla było nie więcej niż długość włóczni. Chwyciło go straszliwe pragnienie, aby pomówić z królową, i przyrzekł sobie w sercu, że o świcie, kiedy Marek będzie spał, on zbliży się do niej. Och! Boże! szalona myśl!

Karzeł leżał, jak miał obyczaj, w komnacie króla. Kiedy sądził, iż wszyscy śpią, wstał i rozsypał między łóżkiem Tristana a królową dobrze mieloną mąkę: gdyby jedno z kochanków podążyło ku drugiemu, mąka zachowałaby postać kroków. Ale kiedy rozsypywał, Tristan, który nie spał, spostrzegł go.

„Co to ma znaczyć? Ten karzeł nie ma zwyczaju służyć mi dla mego dobra; ale zawiedzie się: głupi byłby, kto by mu pozwolił wziąć odcisk nogi!”

O północy król wstał i wyszedł, a za nim karzeł garbaty. Ciemno było w komnacie; ani łuczywa płonącego, ani lampy. Tristan stanął prosto na łóżku. Boże! Po cóż powziął tę myśl? Ścisną nogi, szacuje odległość, skacze i pada na łóżko króla. Niestety poprzedniego dnia w lesie kiel wielkiego dzika skaleczył go w nogę i na jego nieszczęście rana nie była przewiązana. Od naprężenia skoku otwiera się, broczy, ale Tristan nie widzi krwi, która ucieka i czerwieni prześcieradła. Zasię z zewnątrz w świetle księżyca karzeł mocą swego czarnoksięstwa poznał, iż kochankowie są razem. Zadrżał z radości i rzekł do króla:

— Idź, a jeżeli teraz nie zdybiesz ich społem, każ mnie powiesić.

Idą tedy do komnaty król, karzeł i czterech zauszników. Ale Tristan usłyszał ich: zrywa się, skacze, dosięga łóżka... Niestety w przelocie krew obficie spłynęła z rany na mąkę.

Oto wchodzi król, baronowie i karzeł, który niesie światło. Tristan i Izolda udawali, że śpią; byli sami w komnacie, wraz z Perynisem, który spał u nóg Tristana i nie ruszał się. Ale król widzi na łóżku płótna całe szkarłatne i na ziemi białą mąkę zbroczoną świeżą krwią.

Wówczas czterej baronowie, którzy nienawidzili Tristana za jego dzielność, przytrzymują go na łożku i grożą królowej i szydzą, urągają jej i przyrzekają sprawiedliwą zapłatę. Odkrywają ranę, która broczy.

— Tristanie — rzekł król — żadne zapieranie nie zda się na nic; umrzesz jutro.

Tristan woła:

— Oduść mi, panie, w imię Boga, który cierpiał Mękę, panie, zlituj się nad nami.

— Panie, pomścij się! — odpowiadają zausznicy.

— Miły wuju, jeśli cię błagam, to nie dla siebie; cóż mi znaczy umrzeć? Wierę, gdyby nie obawa pogńiewania ciebie, sprzedałbym drogo tę zniewagę tchórzom, którzy bez twojej ochrony nigdy nie ośmieliliby się dotknąć rękami mego ciała. Ale przez cześć i miłość dla ciebie zdaję się na twą łaskę; czyń ze mną wedle ochoty. Oto mnie masz, panie, ale litości dla królowej!

I Tristan pochyla się i korzy u jego stóp.

— Litości dla królowej, jeżeli bowiem jest w twoim dworze człowiek dość śmiały, aby podtrzymać kłamstwo, iż ją kochałem występłą miłością, gotów mu jestem stanąć do oczu na udeptanej ziemi. Królu, łaski dla niej w imię Boga, pana naszego.

Ale trzech baronowie związali go sznurami, jego i królową. Ach, gdyby wiedział, że nie będzie mu dozwolone dowieść niewinności w pojedynczej walce, raczej dałby się rozszarpać w sztuki, niżby ścierpiał, aby go związano tak szpetnie.

Ale pokładał ufność w Bogu i wiedział, że na udeptanej ziemi nikt nie ośmieli się dobyć broni przeciwko niemu. I zaiste sprawiedliwie pokładał ufność w Bogu. Kiedy przysięgał, że nigdy nie kochał królowej występłą miłością, zdrajcy śmieli się z zuchwałego szalbierstwa. Ale pytam was, panowie moi, wy, którzy wiecie prawdę o napoju wypitym na morzu i rozumiecie rzecz całą, żali powiadał kłamstwo? Nie uczynek dowodzi postępkę, ale sąd. Ludzie widzą uczynek, ale Bóg widzi serca i on sam tylko jest prawdziwym sędzią. Ustanowił tedy, że każdy człowiek oskarżony będzie mógł bronić swego prawa za pomocą bitwy, i on sam walczy po stronie niewinnego. Dlatego oto Tristan domagał się sprawiedliwości i bitwy i strzegł się w czymkolwiek chybić królowi Markowi. Ale gdyby mógł przewidzieć to, co się zdarzyło, pozabijałby zdrajców. Ach, Boże! czemuż ich nie pozabijał?

VIII. Skok z kaplicy

Quoi voit son cors et za façon

Trop par avroit le cuer felon
Qui nen avroit d'Iseut pitié.

Bérout

Wśród ciemnej nocy biegnie przez miasto nowina: Tristana i królową pojmano, król chce ich zgładzić. Bogaci mieszczenie i lud ubogi, wszystko płacze.

„Ha, trzeba nam, zaiste, płakać! Tristanie, śmiały baronie, maszże więc umierać przez tak szpetną zdradę? A ty, miła królowo, pani uwielbiana, w jakiejż ziemi zrodzi się kiedy królewska córka tak piękna, tak droga? Toż więc jest, karle garbaty, dzieło twego wróżbiarstwa? Niechby nigdy nie oglądał oblicza Boga ten, który, zdybawszy cię, nie utopi miecza w twoim ciele! Tristanie, wdzięczny, drogi przyjacielu, kiedy Morhołt, przybywszy wydrzeć nasze dzieci, wylądował na tym brzegu, nikt z baronów nie śmiał chwycić za broń i wszyscy milczeli, podobni niemym. Ale ty, Tristanie, ty stoczyłeś walkę za nas wszystkich, za lud Kornwalii, i zabiłeś Morhołta; a on dosięgnął cię mieczem, od czego omal nie pomarłeś za nas. Żali dzisiaj przez wspomnienie tych czynów, godzi się przystać na twą śmierć?”

Płacze, krzyki podnoszą się w mieście, wszyscy biegną do pałacu. Ale taki jest gniew króla, iż nie ma tak potężnego i tak dumnego barona, który by się odważył rzucić bodaj słówko proszące zmiłowania.

Dzień się zbliża, noc pierzcha. Przed wschodem słońca Marek jedzie poza miasto, w miejsce, gdzie miał obyczaj sprawować sądy i ogłaszać wyroki. Nakazuje, aby wyżłobiono dół, aby nazbierano doń wikliny i chrustu, białych i czarnych głogów wyrwanych z korzeniem.

O pierwszej godzinie poranku, kazał okrzyknąć wici po kraju, aby zwołać co rychlej szlachtę Kornwalii. Zgromadzili się z wielkim pomrukiem: nie masz takiego, który by nie płakał, prócz karła z Tyntagielu. Wówczas król przemówił w te słowa:

-- Panowie, kazałem wznieść ten stos z chrustu dla Tristana i dla królowej, ponieważ dopuścili się winy.

Ale wszyscy krzyknęli:

— Sądu, królu! Sądu najpierw i próby, i bitwy! Zabić ich bez sądu to wstyd i zbrodnia. Królu, łaski i zmiłowania dla nich!

Marek odpowiedział w gniewie:

— Nie, ani łaski, ani zmiłowania, ani próby, ani sądu! Przez tego Boga, który stworzył świat, jeśli ktokolwiek odważy się jeszcze żądać takiej rzeczy, spłonie pierwszy na tym stosie!

Nakazuje, aby rozpalono ogień i aby sprowadzono najsamprzód z zamku Tristana. Chrust płonie, wszyscy milczą, król czeka.

Słudzy pognali aż do izby, w której kochankowie zostają pod pilną strażą. Wloką Tristana za ręce związane sznurami. Przebóg! hańba to była spętać go w ten sposób! Płacze od sromu; ale na co zdadzą mu się łzy? Wiodą go haniebnie: zasię królowa wykrzykuje, prawie oszalała z męki:

— Ponieść śmierć, miły mój, byleś ty ocalał, ha! byłaby to wielka radość.

Strażnicy i Tristan idą za miasto w stronę stosu. Ale za nimi pędzi w cwał rycerz, dogania ich, skacze na ziem z rumaka jeszcze w biegu: to Dynas, zacny kasztelan. Na wieść o przygodzie śpieszył z zamku swego w Lidanie, aż piana, pot i krew spływały koniowi po bokach.

— Synu, śpieszę na sądy królewskie. Bóg pozwoli mi może podać tam radę, która wspomże was oboje: już oto pozwala mi bodaj usłużyć ci drobną przychylnością. Przyjaciele — rzecze do sług — życzę, abyście go wiedli bez tych pętów — tu Dynas przeciął haniebne sznury — gdyby próbował uciec, żali nie macie nagich mieczów?

Całuje Tristana w usta, wskakuje na siodło i koń unosi go w pędzie.

Owóz słuchajcie, jak to Pan Bóg wszechmogący pełen jest litości. On, który nie chce śmierci grzesznika, przyjął życzliwie łzy i lamenty biednych ludzi błagających go za udręczonymi kochankami. Blisko drogi, którą przechodził Tristan, na szczycie skały wznosiła się nad morzem kapliczka zwrócona ku odmętom.

Chórek jej wsparty był na nagiej skale, wysokiej, kamienistej, o spadających ostro szkarpach; we framudze nad przepaścią była misternie składana szyba, zmyślne dzieło świętej ręki. Tristan rzekł do swych katów:

— Panowie, widzicie tę kaplicę; pozwólcie mi wstąpić. Śmierć moja bliska, pomodłę się do Boga, aby zlitował się nade mną, którym go tyle obraził. Panowie, kaplica ma tylko to wyjście; każdy z was dzierży miecz; wiecie dobrze, iż mogę przejść tylko tą bramą i kiedy pomodłę się do Boga, trzeba mi będzie oddać się z powrotem w wasze ręce!

Jeden ze strażników rzekł:

— Możemy przyzwolić.

Pozwolili mu wejść. Biegnie przez kaplicę, wdziera się na chórek, dostaje się do szyby we framudze, chwyta okno, otwiera je i skacze... Raczej runąć niż ponieść śmierć na stosie wobec takiego zgromadzenia!

Ale wiedźcie panowie, iż Bóg użył mu swej świętej łaski; wiatr wzdyma jego szaty, podnosi go i składa na szerokim kamieniu u stóp skały. Ludzie z Kornwalii dziś jeszcze nazywają ten kamień „Skokiem Tristanowym”.

A przed kaplicą tamci czekają ciągle. Ale na próżno. Bóg to bowiem wziął go teraz pod swą pieczę. Ucieka: miałki piasek umyka mu pod stopami. Pada, odwraca się, widzi z daleka stos: płomień trzeszczy, dym wznosi się. Ucieka.

Z przypasanym mieczem, z puszczonejmi cugłami Gorwenal wymknął się z miasta; król byłby go kazał spalić w miejsce jego pana. Dosięga Tristana na piaszczystej równi, Tristan zaś wykrzykuje:

— Nauczycielu! Bóg użył mi łaski! Ach, ja nędzny, i na cóż? Jeśli nie mam Izoldy, nic mi wszystko. Czemu raczej nie strzaskalem się, upadając! Uszedłem, Izoldo, a ciebie zabijają. Spalą ją za mnie; dla niej też i ja umrę.

A Gornewal rzekł:

— Miły panie, wytchnij trochę, nie dawaj ucha żalości. Widzisz ten gęsty krzak okolony szerokim rowem; schowajmy się tam, ludzie przechodzą tłumnie drogą, udzielą nam nowin. Jeśli Izloda zginie, synu, przysięgam na Boga, syna Maryi, nigdy nie spocząć pod dachem, aż do dnia, w którym ją pomścimy.

— Miły nauczycielu, nie mam miecza.

— Oto jest, przyniosłem ci.

— Dobrze, nauczycielu, nie lękam się już niczego prócz Boga.

— Synu, mam jeszcze pod burką coś, co cię ucieszy: tę koszulkę stalową, lekką a mocną, która ci może posłużyć.

— Daj, miły nauczycielu. Na tego Boga, w którego wierzę, oswobodzę teraz swą miłą.

— Nie, nie śpiesz się — rzekł Gorwenal. — Ani wątpić, Bóg chowa dla cię jakąś pewniejszą zemstę. Pomyśl, iż nie jest w twej mocy zbliżyć się do stosu; mieszczanie otaczają go i boją się króla; niejedni życzyliby z serca twego ocalenia, a i tak pierwszy zadałby cios. Synu, dobrze to mówią: szaleństwo to nie dzielność. Czekaj...

Owo, kiedy Tristan skoczył z wysokiej skały, biedny człowiek z drobnego ludu widział go, jak się podnosił i uciekał. Pobiegł do Tyntagielu i wślizgnął się aż do komnat Izoldy:

— Królowo, nie płacz. Twój miły ocalał się.

— Bóg — rzekła — niechaj będzie pochwalony! Teraz niech mnie wiążą lub rozwiążą, niech oszczędzą lub zabiją, nie dbam o to!

Owóż zausznicy królewscy ścisnęli jej tak okrutnie sznury u garstek, iż krew tryskała. Ale ona, uśmiechając się, rzekła:

— Gdybym płakała dla tego cierpienia, wówczas gdy w swej dobroci Bóg wyrwał mego miłego zdrajcom, wierę, nie byłabym godna!

Skoro przyszła do króla wieść, że Tristan wymknął się przez oszklone okno, pobladł z gniewu i nakazał swym ludziom, aby mu przywiedli Izoldę.

Wloką ją; wywiedziona z komnaty ukazuje się na progu; wyciąga drobne ręce, z których spływa krew. Lament wszczyna się na ulicy: „O Boże, litości dla niej! Królowo miła, królowo uczczona, jakąż żalobę rzucili na tę ziemię ci, którzy cię wydali! Przekleństwo na nich!”.

Wloką królowę, aż do stosu z drew, który płonie. Wówczas Dynas, pan z Lidanu, upadł do stóp królewskich:

— Panie, słuchaj mnie: służyłem ci długo, bez zdrady, wiernie, nie czerpiąc żadnej korzyści; nie masz bowiem takiego biedaka ani sieroty, ani starej, co by mi dali szeląga za tę kasztelanie, którą dzierżyłem całe życie. W nagrodę przyzwól mi to jedno, byś darował łaską Izoldę. Chcesz ją spalić bez sądu; toć to gwałt szczyry, skoro ona nie przyznaje zbrodni, o którą ją oskarżasz. Zastanów się zresztą. Jeśli spalisz jej ciało, nie będzie już bezpieczeństwa na twojej ziemi. Tristan uszedł: zna wszystkie równiny, lasy, brody, przesmyki i jest śmiały. Wierę, jesteś mu wujem i nie porwie się na ciebie; ale wszystkich baronów, lenników twoich, których zdoła dosięgnąć, pozabija.

Aż czterej zausznicy pobledli, słysząc to: już im się zdało, że widzą Tristana zaczajonego, który czyha na nich.

— Królu — rzekł kasztelan — jeśli prawdą jest, że dobrze ci służyłem całe życie, wydaj mi Izoldę, odpowiadam ci za nią jako jej stróż i ręczyciel.

Ale król wziął Dynasa za rękę i przysiągł na imię świętych, że uczyni natychmiast sprawiedliwość.

Wówczas Dynas podniósł się.

— Królu, wracam do Lidanu i wyrzekam się twojej służby.

Izolda uśmiechnęła się doń smutnie. On dosiada rumaka i oddala się stroskany i markotny, z pochylonym czołem.

Izolda stoi nieruchomo naprzeciw płomieni. Dokoła ciżba ludu krzyczy, przeklina króla, przeklina zdrajców. Łzy spływają jej po twarzy. Ubrana jest w wąską, brunatną

szatę, wzdłuż której biegnie cienka nitka złota, złota nić wpleciona jest w jej włosy, które spadają aż do stóp. Kto by mógł oglądać ją tak piękną i nie zlitował się, miałby serce okrutnika. Boże! jakże ramiona jej ciasno spętane!

Owóz stu trędowatych, poczwarnych, ze zżartą i luszczącą się skórą, przybiegłszy na kulach z hałasem grzechotek, cisnęło się naprzeciw stosu. Pod obrzękłymi powiekami oczy ich nabiegłe krwią cieszyły się widowiskiem.

Iwon, najbardziej ohydny z chorych, krzyknął na króla ostrym głosem:

— Królu, chcesz rzucić małżonkę w żar: to dobra kara, ale zbyt krótka. Ten wielki ogień strawi ją rychło, ten wielki wiatr wnet rozmiecie popioły. I kiedy płomień za chwilę opadnie, męka będzie ukończona. Czy chcesz, abym cię nauczył gorszej kary, w ten sposób, iżby żyła, ale z wielką hańbą i ciągle pożądając śmierci? Królu, czy chcesz?

Król odparł:

— Tak, życia dla niej, ale z wielką hańbą i gorszego niż śmierć... Kto mi wskaże taką męczarnię, będę go miłował.

— Królu, powiem ci tedy zwięźle swą myśl. Patrz, mam tu stu towarzyszków. Daj nam Izoldę i niech nam będzie wspólna! Choroba nasza podsycza w nas żądze. Daj ją trędowatym; nigdy kobieta nie zaznała gorszego losu. Patrz, lachmany przylegają do naszych ran sączących ropę. Ona, która przy twoim boku kochała się w pięknych materiałach podbitych gronostajem, w klejnotach, w salach zdobionych marmurem, ona, która cieszyła się dobrym winem, czcią i weselem, kiedy ujrzy zagrodę trędowatych, kiedy jej trzeba będzie wejść w nasze niskie nory i legnąć z nami, wówczas Izolda Krasawica, Jasnowłosa, uzna swój grzech i żałować będzie tego pięknego ognia i stosu!

Król słucha, wstaje i długo trwa nieruchomy. Wreszcie biegnie ku królowej i chwytą ją za rękę. Ona krzyczy.

— Przez litość, panie, spal mnie raczej, spal mnie!

Król wydaje Izoldę, Iwon ciągnie ją ku sobie; stu chorych ciśnie się dokoła niej. Słyszac, jak krzyczą i skomlą, wszystkie serca topnieją z litości; ale Iwon jest pełen wesela. Już Izolda oddała się, Iwon uprowadza ją za rękę. Ohydny orszak znalazł się za miastem.

Skierowali się drogą, przy której zasadził się Tristan. Gorwenal wydaje okrzyk.

— Synu, co uczynisz! Otoć twoja miła!

Tristan spiął konia i ruszył z zarośli.

— Iwonie, dość już tego towarzystwa; zostaw ją teraz, jeżeli chcesz żyć.

Ale Iwon odpina płaszcz.

— Śmiało towarzysze! Do kijów! do szczudeł! Oto chwila, aby okazać swą dzielność!

Wówczas pięknie było widzieć trędowatych, jak odrzucają płaszcze, rozpierają się na chorych nogach, dyszą, krzyczą, potrząsają szczudłami; ten grozi, inszy pomrukuje. Ale mierziło Tristana uderzyć na nich; bjarze powiadają, iż Tristan zabił Iwona: szpetne to gadanie; nie, zbyt był waleczny, aby zabijać takie nasienie. To Gorwenal, udarłszy srogą gałąź z dębu, opuścił ją na głowę Iwona; czarna krew trysła i spłynęła aż do nóg pokracznych.

Tristan ujął królowę i oto już Izolda nie czuje żadnego cierpienia. Przeciął sznury na rękach i wnet, opuszczając równinę, Tristan, Izolda i Gorwenal zapuścili się w las moreński. Tam, w mrocznym boru, Tristan czuje się bezpieczny niby za murem warownego zamku.

Gdy słońce pochyliło się ku zachodowi, zatrzymali się u stóp góry; strach zmorzył królową; skłoniła głowę na ciele Tristana i usnęła.

Rankiem Gorwenal ściągnął leśnemu łuk i dwie strzały dobrze opierzone i opatrzone grotem i dał je Tristanowi, śmiałemu łucznikowi, który zeszedł sarnę i zabił ją. Gorwenal nazbierał chrustu, dobył iskier z krzesiwa i rozpałił wielki ogień, aby upiec zwierzyne; Tristan naciął gałęzi, zbudował szałas i okrył go liśćmi; Izolda wysłała szałas gęstym mchem.

Wówczas w głębi dzikiego boru zaczęło się dla zbiegów życie twarde, ale lube.

IX. Las Moreński

— Straciliśmy świat i świat stracił nas,
co myślisz o tym, Tristanie, mój miły.

— Miła, kiedy ciebie mam z sobą,
i czegoż mi trzeba?

Gdyby i wszystkie światy były z nami,
widziałbym tylko jedną ciebie.

Powieść prozą o Tristanie

W głębi dzikiego lasu w wielkim znoju jak ścigane zwierzęta błądzą i rzadko ważą się wrócić wieczorem do wczorajszego legowiska. Jedzą tylko mięso dzikich zwierząt i żałują smaku soli i chleba. Wychudłe ich twarze stały się blade, odzież opadła w strzępach, podarta przez głogi. Miłują się, nie czują cierpienia.

Jednego dnia, przebiegając wielkie lasy, które nigdy nie zaznały siekiery, zabłądzili przypadkiem do pustelni brata Ogryna.

W słońcu, pod lekkim drzewem klonu, w podległej kaplicy stary człowiek, opierając się na lasce, szedł drobnym krokiem.

— Waleczny Tristanie — wykrzyknął — wiedz, jaką wielką przysięgę złożyli ludzie Kornwalii. Król kazał okrzyknąć wielkie wołanie po wszystkich parafiach; kto cię pochwyci, otrzyma sto sztuk złota jako zapłatę. Wszyscy baronowie przysięgli cię wydać żywym lub umarłym. Kajaj się, Tristanie. Bóg odpuszcza grzesznikowi, który czyni pokutę.

— Kajać się, ojczyźnie Ogrynie? Z jakiej zbrodni? Ty, który nas sądzisz, zali wiesz, jaki napitek wypiliśmy na morzu? Tak, dobry sok upoił nas i oto wołałbym zebrać całe życie po progach i żyć ziołami i korzonkami z Izolda, niż bez niej być królem pięknego królestwa.

— Panie Tristanie, niech Bóg cię wspomóż, zgubiłeś się bowiem i na tym świecie, i na tamtym. Kto zdradził pana, takiego powinno się rozerwać dwoma końmi, spalić na stosie; gdzie jego popiół padnie, tam trawa nie wyrasta i praca zostanie daremna; tam drzewo, zieleń umiera. Tristanie, oddaj królowę temu, kto ją zaślubił wedle prawa Rzymu.

— Nie jest już jego; wydał ją trędowatym; na trędowatych ją zdobyłem. Odtąd jest moja; nie mogę się z nią rozłączyć ani ona ze mną.

Ogryn usiadł; u jego stóp płakała Izolda z głową na kolanach człowieka, który cierpi dla Boga. Pustelnik powtarzał jej święte słowa Pisma: ale ona, zapłakana, wstrząsała głową i nie chciała uwierzyć.

— Niestety — rzekł Ogryn — jakież pociechy można użyć zmarłym? Kajaj się, Tristanie, ten bowiem, który żyje w grzechu bez skruchy, jest umarły.

— Nie, żyję i nie kajam się. Wrócimy do lasu, który nam daje opiekę i schronienie. Chodź, Izold, przyjaciółko moja!

Izold podniosła się, wzięli się za ręce. Weszli w głębokie zioła i paprocie; drzewa zamknęły za nimi gałęzie; znikli w gąszczu.

Słuchajcie, panowie mili, pięknego zdarzenia, Tristan wychował był psa, charta, pięknego, żywego, lekkiego w biegu; ani hrabia, ani król żaden nie ma lepszego do polowania z łukiem. Wołano go Łapaj. Trzeba go było zamknąć w ogrodzeniu spletanego za pomocą kłody uwieszanej u szyi; od dnia bowiem, w którym stracił z oczu pana,

odmawiał wszelkiej strawy, drapał łapami ziemię, płakał, wył. Wielu litowało się nad nim.

— Łapaj — mówili — żadne zwierzę nie umie tak kochać jak ty: tak, Salomon mądrze to powiedział: „Prawdziwy przyjaciel to mój chart”.

I król Marek, wspominając minione dni, myślał w sercu: „Ten pies okazuje wiele rozumu, iż płacze za swoim panem: jestże bowiem ktoś w całej Kornwalii, który by wart był Tristana?”.

Trzej baronowie przyszli do króla:

— Panie, każ odwiązać Łapaja, dowiemy się snadnie, żali czyni taki lament z przyczyny swego pana; inaczej ujrzysz, jak ledwie odwiązany, z ziejącą paszczką, z wywieszonym językiem, zacnie ścigać ludzi i zwierzęta, aby je kąsać.

Rozwiązują go. Skacze przez wrota i pędzi do izby, gdzie niegdyś bywał Tristan. Warczy, skuczy, biega, szuka, odnajduje wreszcie ślad pana. Przebiega krok za krokiem, drogę, którą Tristan szedł w stronę stosu. Wszyscy idą za nim. Szczeka donośnie i drapie się na skałę. Oto już jest w kaplicy, skacze na ołtarz; nagle rzuca się przez okno, pada u stóp skały, odnajduje ślad na wybrzeżu, zatrzymuje się chwilę w kwitnącym krzu, w którym Tristan był się zaczął, wreszcie pomyka w stronę lasu. Nie było człowieka, iżby nie litował się, patrząc.

— Miły królu — rzekli wówczas rycerze — przestańmy iść za nim; mógłby nas zawieść w takie miejsce, z którego niełacno byłoby wrócić.

Zostawili go i nawrócili. Znalazszy się w gąszczu, pies zaszczekał donośnie, tak iż cały las odebrzmiał. Z daleka Tristan, królowa i Gorwenal usłyszeli go: „To Łapaj!”. Przelękli się; ani chybi, to król ich ściga; ha! każe ich tropić niby dzikie bestie, przez ogary... Zanurzają się w gąszcz. Na skraju Tristan przyklęka z napiętym łukiem. Ale skoro Łapaj ujrzał i poznał pana, skacze ku niemu, kręci głową i ogonem, gniewnie krzyże, zwija się w kłębek. Kto widział kiedy podobną radość? Następnie pobiegł ku Izoldzie Jasnowłosej, ku Gorwenalowi, koniowi nawet się ucieszył. Tristan uczył wielką żalność:

— Ha! przez jakieś nieszczęście odnalazł nas tutaj! Co może człowiek tropiony począc z tym psem, który nie umie zachować się cicho? Po równinach i lasach, po całej swej ziemi król szuka nas. Łapaj zdradzi nas szczekaniem. Ach, przez miłość to i przez szlachetność natury przyszedł szukać śmierci. Trzeba nam się chronić wszelako. Co czynić? Radźcie.

Izold popieściła Łapaja dłonią i rzekła:

— Panie, oszczędź go! Słyszałam o leśniczym galijskim, który nauczył psa, aby bez szczekania tropił ślady zranionych jeleni. Miły Tristanie, cóż za radość, gdyby się udało, nie szczedząc mozołu, przyuczyć tak Łapaja!

Zadumał się chwilę, gdy pies lizał ręce Izoldy. Tristan uczuł litość i rzekł:

— Spróbuję, zbyt ciężko mi go zabijać.

Niebawem Tristan wybrał się na łowy, poszczuł daniela, sięgnął go strzałą. Pies chce pomykać śladami daniela i szczeka tak głośno, że cały las rozbrzmiewa. Tristan uderzeniami zmusza go do milczenia. Łapaj podnosi głowę ku panu; dziwi się, nie śmie już szczekać, opuszcza ślad. Tristan bierze go do nogi, następnie uderza się po cholewie gałązką kasztana, jak czynią myśliwcy, aby pobudzić psy. Na ten znak, Łapaj chce znowu szczekać i Tristan znów karci. Ucząc w ten sposób, nim jeszcze upłynął miesiąc, ułożył go, aby polował niemo. Kiedy strzała zraniła daniela lub sarnę, Łapaj, nigdy nie wydając głosu, tropił ślad po śniegu, po lodzie lub trawie; jeśli dopadł bydłęcia wśród drzew, umiał zaznaczyć miejsce, znosząc gałązki; jeśli dosięgnął go na równinie, zbierał trawy pod zwalone ciało i wracał, bez jednego szczeknięcia, aby sprowadzić pana.

Minęło lato. Przyszła zima. Kochankowie żyli w dziupli skalnej: na ziemi stwardniałej od mrozu, sople lodu jeżyły ich posłanie z zeschniętych liści. Dzięki potędze miłości ani jedno, ani drugie nie czuło swej nędzy.

Zasię, kiedy przyszła życzliwsza pora, wzniesli pod wielkimi drzewami szałas z pozieleniałych gałęzi. Tristan znał od dzieciństwa sztukę udawania śpiewu ptaków leśnych; mógł wedle ochoty udać wilgę, sikorę, słowika i wszelki ród skrzydlaty i niekiedy pod gałęziami szałasów, przybywszy na jego wołanie, liczne ptaki z odętą gardzielią wiodły swe pieśni w pełnym słońcu.

Kochankowie nie przebiegali już lasu, błędząc bez przerwy; żaden bowiem z baronów nie ważył się ich ścigać, wiedząc, iż Tristan powiesiłby ich na gałęzi. Jednego dnia wszelako jeden ze zdrajców, Gwenelon (niech go Bóg skarże!), uniesiony zapalem polowania ośmielił się puścić w okolice moreńskiego boru. Tegoż samego rana na skraju lasu, w wyrwie potoku Gorwenal, zdjąwszy siodło ze swego rumaka, dał mu się popaść świeżą trawą; opodal, pod altaną z liści, na kwietnym posłaniu Tristan dzierzył królowę obłapioną w uścisku i oboje spali.

Nagle Gorwenal usłyszał granie sfory: w wielkim pędzie psy ścigały jelenia, który rzucił się w rozpadlinę. Z daleka na równi ukazał się myśliwiec, Gorwenal poznał go: był to Gwenelon, człowieka, którego pan jego nienawidził ponad innych. Sam, bez

giermka, z ostrogami wbitymi w krwawiące boki konia, smagając go po karku, nadbiegał. Zaczajony za drzewem Gorwenal czatuje nań; tamten nadjeżdża szybko, wolniej zasię przyjdzie mu wrócić!

Mija: Gorwenal wypada z zasadzki, chwytając za uzdę i przywodząc sobie w tejże chwili na oczy wszystko złe, które ten człowiek sprawił, strąca go z konia, siecze i odchodzi, unosząc uciętą głowę. A tam, pod altaną z liści, na kwietnym posłaniu Tristan i królowa spali obłąpani ciasno. Gorwenal podszedł bez hałasu z głową zabitego w dłoni.

Skoro myśliwcy znaleźli pod drzewem kadłub bez głowy, przerażeni, jakby Tristan ich ścigał, uciekli, lękając się śmierci. Od tego czasu nikt już nie waży się polować w tym lesie.

Aby ucieszyć przy obudzeniu serce pana, Gorwenal przywiązał za włosy głowę do sklepienia szałasu; gęste sitowie okalało ją wieńcem.

Tristan obudził się i ujrzał w pół ukrytą za liśćmi głowę, która nań patrzyła. Poznał Gwenelonę; zrywa się na nogi przestraszony. Ale nauczyciel jego krzyczy:

— Uspokój się, nieżywy jest. Zabiłem go tym mieczem. Synu, to był twój nieprzyjaciel!

I Tristan weseli się; ten, którego nienawidził, Gwenelon, nie żywie.

Od tej pory nikt nie odważył się już zapuszczać do dzikiego boru, strach strzeże doń przystępu i kochankowie są w nim panami. Wówczas to Tristan uczynił sobie łuk *Niechybny*, który zawsze trafiał do celu, człowieka czy zwierzę, w zamierzone miejsce.

Panowie miłościwi, było to w dzień letni, w czasie żniw, nieco po Zielonych Świątkach i ptaki po rosie śpiewały na bliską jutrzenkę. Tristan wyszedł z szałasu, opasał miecz, narządził łuk *Niechybny* i sam jeden poszedł na łowy do lasu. Nim zejdzie wieczór, przygodzi mu się wielka troska. Nie, nigdy kochankowie nie kochali się tak bardzo i nie odpokutowali tego tak ciężko.

Skoro Tristan wrócił z łowów, zmorzony srogim upałem, wziął królowę w ramiona:

— Miły mój, gdzie byłeś?

— Za jeleniem, który mnie znużył do cna. Patrz, pot spływa z moich członków; chciałbym położyć się spać.

Pod sklepieniem zielonych gałęzi, na posłaniu ze świeżych ziół, Tristan wyciągnął się przy niej i złożył nagi miecz między ich ciała. Na swoje szczęście zachowali na sobie odzież. Królowa miała na palcu pierścień złoty z pięknymi szmaragdami, który Marek dał jej w dzień zaślubin; palce stały się tak wychudłe, iż pierścień ledwie się trzymał.

Jedno ramię Tristana spoczywało pod głową przyjaciółki, drugie miał przerzucone przez jej piękne ciało. Tak spali ciasno objęci; ale wargi ich nie były złączone. Ani najmniejszego podmuchu wiatru, ani najmniejszego drżenia listka. Przez sklepienie z zieleni promień słońca spłynął na twarz Izoldy, która błyszczała jak sople lodu.

Otóż zdarzyło się, że leśniczy znalazł w lesie miejsce, gdzie trawy były zdeptane; poprzedniego dnia kochankowie tam spali. Nie poznał odcisku ich ciał, poszedł za śladami i dotarł do legowiska. Ujrzał, jak spali, poznał ich i uciekł, lękając się straszliwego przebudzenia Tristana. Uciekł aż do Tyntagielu, o dwie mile stamtąd, wbiegł na stopnie wiodące do wielkiej komnaty i zastał króla, który sprawował sądy wśród zgromadzonych lenników.

— Przyjacielu, czego tu szukasz, zziąjany od biegu? Rzekłby ktoś, iż to psiarek, który długo gonił za psami. Czy i ty także chcesz się dopraszać sprawiedliwości za jakoweś krzywdy? Kto cię wygnał z mego lasu?

Leśny wziął króla na stronę i rzekł cicho:

— Widziałem królowę i Tristana. Spali, zląkłem się.

— W którym miejscu?

— W szałasie, w lesie moreńskim. Spali jedno obok drugiego, utuliwszy się wzajem w ramionach. Chodź prędko, jeśli chcesz znaleźć pomstę.

— Idź czekać mnie u wnijsćcia do lasu, u stóp Czerwonego Krzyża. Nie mów żywej duszy o tym, co widziałeś; dam ci złota i srebra, ile zechcesz.

Leśny idzie i siada pod Czerwonym Krzyżem. Przeklęty niech będzie szpieg! Ale zginie haniebnie, jak ta historia pouczy was niebawem.

Król kazał okulbaczyć konia, przepasał miecz i bez żadnej kompanii wymknął się z miasta. Jadąc tak samotnie, przypomniał sobie noc, w której przychwycił siostrzeńca: jakąż czułość jawiła wówczas Tristanowi Izold Krasawica o jasnej twarzy! Jeśli ich zdybie, ukarze te srogie przewiny; pomści się na tych, którzy go zhańbili...

Pod Czerwonym Krzyżem zastał leśnego.

— Idź naprzód i prowadź mnie szybko i prosto.

Czarny cień wielkich drzew otula ich. Król idzie za szpiegiem. Ufa w swój miecz, który niegdyś zadawał piękne ciosy. Ha! jeśli Tristan się zbudzi, jeden z dwu, Bóg to wie, który! zostanie martwy na placu. Wreszcie leśny rzekł po cichu:

— Królu, zbliżamy się.

Potrzymał mu strzemię i przywiązał uzdę do gałęzi zielonej jabłoni. Zbliżyli się jeszcze i nagle na słonecznej polanie ujrzeli kwietny szałas.

Król rozwiązuje płaszcz o zapinkach ze szczerego złota i odsłania swe piękne ciało. Dobywa miecza z pochwy i powtarza w sercu, że chce zginąć, jeśli ich nie zgładzi. Leśny idzie za nim, król daje znak, aby się wrócił.

Wchodzi sam jeden do szałasu z nagim mieczem i podnosi go... Ha! cóż za żaloba, jeśli wymierzy ten cios! Ale zauważył, iż usta ich nie stykają się i że nagi miecz rozdziela ich ciała.

„Boże — rzekł do siebie w myśli — cóż ja widzę! Trzebaż ich zabić? Żyjąc od tak dawna w tym lesie, gdyby się miłowali występłą miłością, żali położyliby ten miecz między siebie? Żali każdy nie wie, że nagi brzeszczot, który rozdziela dwa ciała, jest zakładnikiem i stróżem czystości? Gdyby się miłowali występłą miłością, czyż odpoczywaliby tak niewinnie? Nie, nie zabiję ich; to byłby wielki grzech ich ugodzić; gdybym obudził śpiącego i gdyby jeden z nas poległ, mówiono by o tym długo i na naszą hańbę. Ale tak uczynię, aby przy obudzeniu wiedzieli, że zastałem ich śpiących, że nie chciałem ich śmierci i że Bóg ulitował się nad nimi”.

Słońce, przechodząc przez sklepienie szałasów, paliło białą twarz Izoldy; król zdjął rękawiczki oszyte gronostajem: „To ona — myślał — przywiozła mi je niegdyś z Irlandii!...” Umieścił je wśród liści, aby zamknąć dziurę, przez którą wnikał promień; następnie zdjął ostrożnie pierścień z kamieniem szmaragdu, który był dał królowej. Niegdyś trzeba go było siłować po trosze, aby nawlec na palec; teraz palce jej były tak wątłe, iż pierścień zsunął się bez trudu! Na jego miejsce król włożył pierścień, z którego Izolda niegdyś uczyniła mu podarek. Wreszcie podjął miecz, który rozdzielał kochanków, ten sam — poznał go — który wyszczerbił się na czaszce Morholta, położył swój w jego miejsce, wyszedł z altany, skoczył na siodło i rzekł leśniczemu:

— Umykaj teraz i ratuj życie, jeżeli zdołasz!

Owo Izolda miała we śnie widzenie: była pod bogatym namiotem, pośród wielkiego lasu. Dwa lwy rzuciły się na nią i biły się o jej posiadanie... Wydała krzyk i zbudziła się; rękawiczki okryte gronostajem padły na jej łono. Na jej krzyk Tristan zerwał się na nogi, chciał podjąć miecz i poznał po złotej rękojeści szablę króla. Zaś królowa ujrzała na palcu pierścień Marka. Wykrzyknęła:

— Panie, nieszczęście na nas! król nas zeszedł!

— Tak — rzekł Tristan — zabrał mój miecz; był sam, uląkł się, poszedł szukać posiłków; wróci i każe nas spalić w oczach ludu. Uciekajmy!...

I wielkimi postojami, w towarzystwie Gorwenala uszli ku ziemi walijskiej, aż do granic moreńskiego lasu. Ileż niedoli sprowadziło na nich miłowanie!

X. Pustelnik Ogryn

Aspre vie meinent et dure,
Tant a entrainment de bone amor
L'uns por l'autre ne sent dolor

Bérroul

W trzy dni potem, kiedy Tristan długo szedł za śladem zranionego jelenia, zapadła noc... W mroku ciemnego lasu zaczął rozmyślać.

„Nie, to nie przez obawę król oszczędził nas. Wziął mój miecz, spałem, byłem na jego łasce, mógł ugodzić, na co tu posiłków? I gdyby mnie chciał ująć żywcem, po co, rozbroiwszy, zostawił mi własny oręż? Ha! poznałem cię, ojczy; nie przez obawę, ale przez czułość i litość chciałeś nam przebaczyć. Przebaczyć nam? Któż mógłby bez zhańbienia odpuścić taką zbrodnię? Nie, nie przebaczył, ale zrozumiał. Poznał, iż przy stosie, przy skoku z kaplicy, przy zasadzce na trędowatych, Bóg wziął nas pod swoją pieczę. Przypomnił sobie wówczas dziecię, które niegdyś brząkało w lutnię u jego stóp, i moją ziemię łońską opuszczoną dla niego, i oręż Morhołtowy, i krew przelaną dla jego czci. Przypomnił sobie, że ja nie uznałem swej winy, ale na próżno domagałem się sądu, prawa i bitwy, i szlachetne jego serce skłoniło go ku zrozumieniu rzeczy, których dookoła niego ludzie nie rozumieją. Nie, iżby wiedział albo mógł kiedy wiedzieć prawdę o naszej miłości; ale wątpi, ma nadzieję, czuje, że nie skłamałem, pragnie, abym przez sąd dowiódł swego prawa. Ha! miły wuju, zwyciężyć w bitwie za pomocą Boga, zdobyć pokój z tobą i dla ciebie przywdziać jeszcze hełm i pancerz!... Cóż ja pomyślałem? Odebrałby mi Izoldę; ja bym mu ją wydał?

Czemuż nie zabił mnie raczej, gdy spałem? Niegdyś ścigany przezeń mogłem go nienawidzić i zapomnieć. Wydał Izoldę trędowatym; nie była już jego, była moją. Oto, jak swoim współczuciem obudził mą tkliwość i odzyskał królowę. Królowę? Była królową przy nim, a w tym lesie żyje jak niewolnica. Com uczynił z jej młodością? Miast komnat wysłanych jedwabnym suknem dałem jej ten bór dziki; szalas w miejsce nadobnych opon; i to dla mnie idzie tą żalną drogą! Do Boga, Pana mego, króla świata, krzyczę o zmiłowanie i błagam, iżby mi zesłał siłę oddania Izoldy królowi Markowi. Nie jestże jego żoną, zaślubioną wedle prawa Rzymu, wobec wszystkich możliwych władków jego ziemi?”

I Tristan opiera się na łuku i długo zawodzi w ciemnościach nocy. W otoczonych głogiem zaroślach, które służą im za legowisko, Izolda Złotowłosa oczekiwała powrotu Tristana. Przy blasku księżycowego promienia ujrzała na palcu złoty pierścień, który Marek jej włożył. Pomyślała:

„Ten, kto przez wdzięczną uprzejmość dał mi złoty pierścień, to nie ów pogniwany człowiek, który mnie wydał trędowatym; nie, to współczujący pan, który od dnia wstąpienia mego na tę ziemię przygarnął mnie i chronił. Jak on umiłował Tristana! Ale ja przybyłam i cóżem uczyniła? Żali Tristan nie powinien by żyć w pałacu króla otoczony setką młodzieńców, którzy chodziliby w jego orszaku i służyliby mu, aby się dobić rycerskiego pasa? Czy nie powinien by, jeżdżąc po baroniach i dworach, szukać sojuszków i przygód? Tymczasem dla mnie przepomina całego rycerstwa, wygnany z dworu, ścigany w tym lesie, pędząc to dzikie życie!...”

Po liściach i suchych gałęziach usłyszała zbliżające się kroki Tristana. Wyszła na jego spotkanie jak zazwyczaj, aby wziąć odeń oręż. Wzięła z rąk Tristana łuk Niechybny i strzały, odwiązała rapcie miecza.

— Przyjaciółko moja — rzekł Tristan — to oręż króla Marka. Ten miecz winien był nas zabić, a oszczędził nas.

Izolda wzięła miecz, ucałowała złotą rękojeść. Tristan ujrzał, iż płacze.

— Miła — rzekł — ach, gdybym mógł uczynić pokój z królem Markiem! Gdyby mnie dopuścił do zaświadczenia bitwą, iż nigdy ani w czynie, ani w słowach nie miłowałem cię występłą miłością, wszelki rycerz jego królestwa, od Lidanu aż do Durhamu, który ważyłby się sprzeciwić, znalazłby mnie uzbrojonego na udeptanej ziemi. Później, gdyby król zechciał ścierpieć i zatrzymać mnie w orszaku, służyłbym mu z wielką czcią jako panu i ojcu; gdyby wolał mnie oddalić, a ciebie zachować, udałbym się do Fryzji lub Bretanii z Gorwenalem jako jedynym towarzyszem. Ale wszędzie, gdziekolwiek bym poszedł, królowo, zawsze pozostałbym twoim. Izoldo, nie myślałbym o rozłączeniu, gdyby nie sroga nędza, którą cierpisz dla mnie od dawna, piękna moja, w tej odludnej ziemi.

— Tristanie, wspomnij na Ogryna, pustelnika zamieszkałego w lesie. Wróćmy ku niemu i obyśmy mogli ubłagać łaski potężnego króla niebieskiego, Tristanie, miły kochanku!

Zbudzili Gorwenala; Izolda siadła na konia, którego Tristan prowadził za cugle i całą noc, przechodząc po raz ostatni ukochane lasy, wędrowali tak bez słowa.

Rankiem spoczęli trochę, później szli znowuż, aż doszli do pustelni. Na progu kaplicy Ogryn czytał w książce. Ujrzał ich i z daleka przywołał czule:

— Przyjaciele! Jakże oto miłość was pędzi z niedoli w niedole! Jak długo będzie trwało wasze szaleństwo? Odwagi! Kajajcie się wreszcie!

Tristan rzekł:

— Posłuchaj, panie Ogrynie. Pomóż nam uzyskać jednanie z królem. Oddałbym mu królową. Później odszedłbym daleko, do Bretanii albo Fryzji. Kiedyś, gdyby król życzył ścierpieć mnie przy sobie, wróciłbym i służyłbym mu, jakom powinien.

Pochylona u stóp pustelnika Izolda rzekła z kolei, bolesna:

— Nie wyżyję już tak dłużej. Nie powiadam, bym żałowała, iż kochałam i Kocham Tristana jeszcze i na wieki, ale bodaj ciała nasze będą odtąd rozłączone.

Pustelnik zapłakał i uwielbił Boga: „Boże, dobry królu wszystkomogący! Dzięki Ci składam, iż pozwoliłeś mi żyć dość długo, aby przyjść z pomocą tym dwojgu!”. Udzielił im mądrych rad, po czym wziął inkaust i pergamin i wypisał pismo, w którym Tristan ofiarował jednanie królowi. Skoro pomieścił wszystkie słowa, które Tristan mu powiedział, ów przypieczętował je swoim pierścieniem.

— Kto zanieś pismo? — spytał pustelnik.

— Ja sam zaniosę.

— Nie, panie Tristanie, nie puszczaj się na to niebezpieczne poselstwo; pójdę za ciebie, znam dobrze mieszkańców zamku.

— Daj pokój, miły ojczy Ogrynie; królowa zostanie w pustelni; skoro noc zapadnie, pójdę z koniuszym, który będzie mi strzegł konia.

Skoro ciemności zapadły na las, Tristan puścił się w drogę z Gorwenalem. Przy bramach Tyntagielu opuścił go. Na murach strażnicy grali pobudkę. Wślizgnął się w rów i przemknął przez miasto z niebezpieczeństwem życia. Okroczył, jak niegdyś, ostre palisady, ujrzał cembrowanie z marmuru, źródło i wielką sosnę i zbliżył się do okna, za którym król spał. Zawołał go łagodnie. Marek obudził się.

— Ktoś jest, kto mnie wołasz w nocy, o takiej godzinie?

— Panie — odparł Tristan — przynosząc pismo, zostawiam je tutaj, na kracie okna. Każ przywiązać odpowiedź do gałęzi Czerwonego Krzyża.

— Na Boga, miły siostrzeńcze, czekaj!

Rzuca się na próg i po trzy razy woła w noc ciemną:

— Tristanie! Tristanie! Tristanie, synu mój!

Ale Tristan uciekł. Dopadł koniuszego i lekkim skokiem dostał się na siodło.

— Szalony — rzekł Gorwenal — śpiesz się, umykajmy tą drogą.

Dotarli wreszcie do pustelni, gdzie ich oczekiwał pustelnik pogrążony w modłach i Izolda płacząca.

XI. Szalony bród

Oyez, vous tous que passez par la voie
Venez ça, chascun de vous voie
S'il est douleur fors que la moie
C'est Tristan que le mort mestroie.

Śmiertelna pieśń

Marek kazał obudzić kapelana i podał mu list. Kleryk złamał wosk i skłonił się najpierw królowi imieniem Tristana, po czym bystro odcyfrowawszy pisane słowa, zdał mu sprawę z tego, co Tristan pisze. Marek wysłuchał, nie mówiąc słowa i weselił się w sercu, miłował bowiem jeszcze królowę.

Zwołał imiennie co najmożniejsze baronstwo i kiedy się wszyscy zgromadzili, zamilkli, a król przemówił:

— Panowie, otrzymałem to pismo odręczne. Jestem królem nad wami i wyście moi wierni lennicy. Wysłuchajcie, co pisze, a potem radźcie, proszę was o to, skoro winni mi jesteście radę.

Kapelan wstał, rozwinął pergamin obiema rękami i stojąc przed królem, rzekł:

— Panowie, Tristan przekazuje najpierw pozdrowienie i miłość królowi i całej baronii. „Królu, dodaje, kiedy zabiłem smoka i zdobyłem córkę króla Irlandii, mnie to ją dano; byłem mocen zatrzymać ją, ale nie chciałem, powiodłem Izoldę w twoje strony i oddałem tobie. Mimo to, ledwie pojąłeś ją za żonę, zausznicy zyskali u ciebie wiarę w swoje łgarstwa. W gniewie swoim, miły wuju, panie mój, chciałeś nas oboje spalić bez sądu. Ale Bóg powziął współczucie; błagaliśmy go, ocalił królową i był w tym sprawiedliwy. Ja także, skacząc z wyniosłej skały, wyszedłem cało, dzięki mocy boskiej. Cóż uczyniłem od tego czasu, co można by zganić? Królową wydano trędowatym, przyszedłem jej z pomocą, uprowadziłem ją; żali mogłem chybić w potrzebie tej, która omal nie umarła niewinnie z mej przyczyny? Uciekałem z nią przez lasy: zaliż, aby ci ją oddać, mogłem wyniść z lasu i zstąpić w równinę? Nie nakazałeś, aby nas ujęto żywych lub umarłych? Ale dziś jak wówczas gotów jestem, miły królu, dać zakład i

przeciw każdemu, kto zechce, podtrzymać bitwę, iż nigdy królowa nie żywiła dla mnie, ani ja dla królowej miłości, która by ci była obrazą. Nakaz walkę; nie odtrącam żadnego przeciwnika i jeśli nie zdołam dowieść swego prawa, każ mnie spalić w oczach ludzi. Ale skoro odniosę tryumf i jeśli ci się spodoba wziąć z powrotem Izoldę o jasnej twarzy, żaden z baronów nie będzie ci służył lepiej ode mnie; jeżeli natomiast nie dbasz o me służby, przebędę morze, pójdę ofiarować się królowi Gawii albo królowi Fryzji i nie usłyszysz nigdy mego imienia. Królu, rozważ to, a jeśli nie zgadzasz się na żadne jednanie, odprowadzę Izoldę do Irlandii, skąd ją wziąłem i będzie królową w swoim kraju”.

Kiedy baronowie Kornwalii usłyszeli, że Tristan wydaje im bitwę, rzekli wszyscy do króla:

— Królu, weź królową z powrotem, to szaleńcy oczernili ją przed tobą. Co do Tristana, niechaj idzie, jak się ofiaruje, wojować w Gawii lub przy boku króla Fryzów. Nakaz, aby ci przywiódł Izoldę w oznaczonym dniu i rychło.

Król zapytał po trzykroć:

— Żali nikt nie podnosi się, aby obwiniać Tristana?

Wszyscy milczeli. Wówczas rzekł kapelanowi:

— Wygotuj zatem pismo jak najspieszniej; słyszałeś, co trzeba w nim pomieścić, a krzataj się żywo; Izolda zbyt wiele wycierpiała w swoich młodych latach! I niechaj pergamin powieszają na gałęzi Czerwonego Krzyża dziś przed wieczorem, śpiesz się.

Dodał:

— Powiedz jeszcze, że przesyłam obojgu pozdrowienie i miłość.

Około północy Tristan przebył Białą Równię, znalazł pismo i przyniósł je zapieczętowane do pustelnika Ogryna. Pustelnik wyłożył mu litery. Marek godził się za radą baronów przyjąć z powrotem Izoldę, ale nie życzył zatrzymać Tristana jako lennika; skoro od dziś za trzy dni przy Szalonym Brodzie odda królowę w ręce króla Marka, należy mu wędrować za morze.

— Boże — rzekł Tristan — jakaż żaloba stradać ciebie, miła przyjaciółko! Trzeba wszelako, skoro ci mogę oszczędzić cierpienia, które zносиłaś z mojej przyczyny. Kiedy przyjdzie na nas chwila rozłączenia, dam ci upominek, zakład mej miłości. Z nieznanego kraju, dokąd się udaję, pošlę ci posłańca; powie mi twoje pragnienie i na pierwsze wezwanie z ziemi dalekiej przybiegnę.

Izold westchnęła i rzekła:

— Tristanie, zostaw mi Łapaja, swego psa. Nigdy najcenniejszy ogar nie zażywał większej czci i pieczy. Ilekroć go ujrzę, przypomnę sobie ciebie i będę mniej smutna. Przyjacielu mój, mam pierścień z zielonego jaspisu, weź go przez miłość dla mnie, noś na palcu; jeśli kiedykolwiek poseł będzie twierdził, iż przybywa od ciebie, co bądź by czynił lub mówił, nie uwierzę mu póty, póki nie pokaże tego pierścienia. Ale skoro go zobaczę, żadna powaga, żaden zakaz króla nie przeszkodzą mi uczynić tego, co zlecisz, będzie to rozsądek czy szaleństwo.

— Miła moja, daję ci psa.

— Miły mój, weź ten pierścionek w odpłatę.

I oboje ucałowali się w usta.

Owóz zostawiwszy kochanków w pustelni, Ogryn powędrował o kuli aż do Mont; nakupił tam siwego futra, sukna lśniącego, gronostaju, płócien jedwabnych, purpury, szkarłatu i muślinu bielszego niż kwiat lilii, i dzianeta przybranego w rząd pozłocisty, idącego łagodnym truchtem. Ludzie śmieli się, widząc go, jak na te osobliwe i wspaniałe zakupy trwoni długo ciułane grosze. Ale starowina władował na rumaka kosztowne materie i wrócił do Izoldy.

— Królowo, odzienie twoje opada w strzępach; przyjm te podarki, iżbyś była piękniejszą w dniu, w którym udasz się do Szalonego Brodu. Lękam się, iż nie zdadzą ci się piękne; nie jestem biegły w dobieraniu takowych strojów.

Tymczasem król kazał okrzyknąć w Kornwalii nowinę, iż za trzy dni przy Szalonym Brodzie uczyni jednanie z królową. Damy i rycerze udali się tłumnie na to zgromadzenie; wszyscy pragnęli ujrzeć królowę Izoldę, wszyscy kochali ją za wyjątkiem trzech zdrajców będących jeszcze przy życiu.

Ale z tych trzech jeden umrze od miecza, drugi zginie przeszyty strzałą, trzeci utopiony; zasię co się tyczy leśnego, Perynis, szczerzy, jasnowłosy druh, zatłucze go kijami w lesie. Tak Bóg, który nienawidzi wszelkiego przebrania miary, pomści kochanków na ich nieprzyjaciołach!

W dniu naznaczonym na zgromadzenie u Szalonego Brodu łąka lśniła się daleko, cała zasłana i ozdobiona pięknymi bogatymi namiotami baronów. W lesie Tristan jechał wraz z Izoldą i w obawie zasadzki przywdział pancierz pod lachmany. Tak oboje ukazali się na skraju lasu i ujrzeli króla Marka pośród baronów.

— Przyjaciółko — rzekł Tristan — oto król, twój pan, rycerze jego i lennicy idą ku nam; za chwilę nie będziemy mogli już mówić do siebie. Na potężnego i wspaniałego Boga, zaklinam cię: jeśli kiedy wyślę poselstwo do ciebie, uczyń, coć przykażę!

— Miły Tristianie, z chwilą gdy ujrzę pierścień z zielonego jaspisu, ani wieża, ani mur, ani warowny zamek nie przeszkodzą mi spełnić woli przyjaciela.

— Izoldo, niech ci Bóg odpłaci!

Konie ich szły stępa, bok przy boku; przyciągnął ją do siebie i uścisnął.

— Przyjacielu — rzekła Izolda — usłysz ostatnią prośbę: opuścisz ten kraj; owo zaczekaj przynajmniej kilka dni; ukryj się, póki nie doświadczę, jak się obchodzi ze mną król w swym gniewie lub dobroci!... Jestem sama: kto mnie obroni od podstępnych zdrajców? Boję się! Leśnik Orri przyjmie cię potajemnie; wślizgnij się w nocy do rozwalonego lamusa, poślę tam Perynisa, aby ci powiedział, czy nikt nie znęca się nade mną.

— Miła, nikt się nie odważy. Zostanę ukryty u leśnika; kto bądź wyrządzi ci obrazę, niech się strzeże mnie jak Złego.

Dwie gromady znalazły się dość blisko, aby wymienić pokłony. Na strzelenie z łuku przed swoimi król jechał śmiało; wraz z nim Dynas z Lidanu.

Skoro baronowie podjechali bliżej, Tristan, trzymając za cugle dzianeta Izoldy, skłonił się królowi i rzekł:

— Królu, oddaję ci Izoldę Jasnowłosą. Wobec ludzi tej ziemi upraszam, byś mi dozwolił bronić się przed całym dworem. Skazano mnie bez sądu. Uczyń, bym mógł usprawiedliwić się bitwą; skoro ulegnę, spal mnie w ogniu z siarki; jeśli zwyciężę, zatrzymaj przy sobie; albo, jeśli nie zechcesz zatrzymać, odejdę w daleki kraj.

Nikt nie przyjął Tristanowego wyzwania. Wówczas Marek ujął dzianeta Izoldy za cugle i powierzywszy ją Dynasowi, usunął się na stronę, aby zasięgnąć rady.

Dynas pełen wesela świadczył królowej samą cześć i mnogie dworności. Zdjął jej płaszcz z pysznego szkarłatu i ciało ukazało się wdzięczne pod cienką tuniką i wielką jedwabną opończą. Aż królowa uśmiechnęła się na wspomnienie starego pustelnika, który nie pożałował groszy. Suknia jej bogata, członeczki wdzięczne, oczy świetliste, włosy jasne jak promienie słońca.

Skoro zausznicy ujrzeni ją piękną i czczoną jak niegdyś, podjechali zgniewani do króla. W tejże chwili baron pewien, Andrzej z Nikolu, silił się go przekonać:

— Panie — powiadał — zatrzymaj Tristana przy sobie: będziesz dzięki niemu zażywał większej czci u nieprzyjaciół.

I tak pomału miękcył serce Marka. Ale zauszniczy przybyli zawczasu i rzekli:

— Królu, posłuchaj rady, którą dajemyć z wiernego serca. Spotwarzono królowę; niesłusznie, przyznajemy; ale jeżeli Tristan i ona wrócą oboje wraz na dwór, znowu rozpoczną się ludzkie gadania. Pozwól raczej Tristanowi oddalić się na jakiś czas: później, kiedyś, z pewnością powołasz go znowu.

Tak uczynił Marek: polecił przez baronów Tristanowi, aby oddalił się bez zwłoki. Wówczas Tristan podszedł do królowej i pożegnał ją. Popatrzyli na siebie. Królowa zawstydzila się z przyczyny zgromadzenia i spłonęła rumieńcem.

Ale król wzruszył się litością i przemawiając do siostrzeńca po raz pierwszy, rzekł:

— Gdzież pójdiesz w tych oto łachmanach? Weź w moim skarbie, ile zechcesz, złota, srebra, sukna i futer.

— Królu — rzekł Tristan — nie wezmę ani denara, ani jednego oczka koszuli żelaznej. Jak stoję, pójdę służyć z wielkim weselem bogatemu królowi Fryzji.

Zatoczył koniem i odjechał ku morzu. Izold biegła za nim spojrzeniem i tak długo, jak tylko mogła go ujrzeć w oddali, nie odwróciła się.

Na wieść o jednaniu wielcy i mali, mężczyźni, niewiasty i dzieci wylegli cizbą za miasto, na spotkanie Izoldy: i świadcząc wielką żałobę z powodu Tristana, witali radośnie odzyskaną królowę. Wśród bicia dzwonów, przez ulice nadobnie wysłane, ozdobione flagami z jedwabiu, król, hrabiowie i książęta tworzyli orszak; bramy pałacu otwarte były dla każdego; bogaci i biedni mogli usiąść i jeść. I aby uczcić ten dzień, król Marek wyzwolił stu niewolnych oraz dał miecz i pancerz dwudziestu giermkom, których opasał własną ręką.

Wszelako, skoro noc zapadła, Tristan, jak przyrzekł królowej, wślizgnął się do leśnika Orri, który ukrył go tajemnie w rozwalonym lamusie. Niech zdrajcy mają się na baczności!

XII. Sąd przez rozpalone żelazo

Dieu i a fait vertur.

Bérout

Niebawem Denoalen, Andret i Gondoin uczuli się w bezpieczeństwie: bez ochyby, Tristan wlecze żywot hen, za morzem, w krainie zbyt dalekiej, aby ich dosięgnąć.

Zaczem jednego dnia, w czas łowów, gdy król, słuchając szczekania sfory, zatrzymał konia pośród karczowiska, wszyscy trzej podjechali ku niemu:

— Królu, posłuchaj naszego słowa. Skazałeś wprzódy królowę bez sądu, i to się nie godziło; dziś rozgrzeszasz ją bez sądu: czyż to się godzi również? Nie oczyściła się dotąd z zarzutu i baronowie twego kraju przyganiają to wam obojgu. Poradź jej raczej, aby sama zażądała sądu Boga. Skoro jest niewinną, cóż ją kosztuje poprzysiąc na kości świętych, że nigdy nie zgrzeszyła? Co szkodzi niewinnej chwycić żelazo rozżarzone w ogniu? Tak chce obyczaj i przez tę łatwą próbę rozprószą się na zawsze dawne podejrzenia.

Marek zgniewany odparł:

— Niech Bóg was pognębi, panowie Kornwalii, którzy bez wytchnienia szukacie mej hańby! Dla was wyгнаłem siostrzeńca: czegoż żądacie jeszcze? Abym wypędził królowę Izoldę? Jakież są wasze nowe zarzuty? Przeciw dawnym zarzutom żali Tristan nie podjął się jej bronić? Aby ją oczyścić, ofiarował wam bitwę; słyszeliście go wszyscy: czemuż nie chwyciliście tarcz i włóczni? Panowie, przypieracie mnie ponad prawo; lękajcie się tedy, abym człowieka wygnanego dla was nie przyzwał z powrotem!

Wówczas tchórze zadrżeli, już im się zdało, iż widzą Tristana, jak wypuszcza z ich ciał krew do ostatniej kropli.

— Królu, daliśmy ci sprawiedliwą radę ku twojej czci, jak przystało wiernym lennikom; ale odtąd będziemy milczeć. Zapomnij gniewu, wróć nam pokój!

Ale Marek podniósł się w strzemionach:

— Precz z mojej ziemi, zdrajcy! Nie będziecie już mieli ze mną pokoju! Dla was wyгнаłem Tristana; na was dziś kolej; precz z mojej ziemi!

— Dobrze więc, miły królu! Zamki nasze warowne, dobrze murowane z ciosu na skałach, na które niełacno komu się wedrzeć!

I nie pozdrowiwszy go, odjechali.

Nie czekając łowczych ni ogarów, Marek pchnął konia ku Tyntagielowi, wszedł po stopniach do sali i królowa usłyszała szybkie jego kroki rozbrzmiewające po posadzce z kamienia.

Wstała, wyszła na spotkanie, odebrała miecz, jako miała zwyczaj i pochyliła mu się aż do stóp. Marek przytrzymał ją za ręce i podnosił, kiedy Izold, uwyższywszy ku niemu spojrzenie, ujrzała szlachetne rysy dręczone gniewem: takim ukazał się jej niegdyś, oszalały w obliczu stosu.

„Ha — pomyślała — przyjaciela mego odkryto, król go pochwycił”.

Serce ostygło jej w piersiach, bez słowa zwała się do stóp króla. Wziął ją w ramiona i pocałował łagodnie; pomału odzyskała życie.

— Miła przyjaciółko moja, co ciebie dręczy?

— Królu, boję się: ujrzałam cię w takim gniewie!

— Tak, wróciłem zgniewany z łowów.

— Och, panie, jeśli kto z łowców pogniewał cię, żali się godzi tak brać do serca poswarki myśliwskie?

Marek uśmiechnął się na te słowa.

— Nie, miła, nie łowcy mnie zgniewali; ale trzech zdrajcy, którzy od dawna nas nienawidzą. Znasz ich: Andret, Denoalen i Gondoin; wygnałem ich z mej ziemi.

— Panie, cóż złego odważyli się rzec o mnie?

— Cóż ci o to? Wygnałem ich.

— Panie, każdy ma prawo rzec, co myśli. Ale ja równie mam prawo znać oskarżenie miotane przeciw mnie. I od kogóż się dowiem, jeśli nie od ciebie? Sama w tym cudzoziemskim kraju, nie mam nikogo prócz ciebie, panie, kto by mnie bronił.

— Niech ci więc będzie. Utrzymywali tedy, że godzi ci się oczyścić przysięgą i próbą żarzącego żelaza. „Królowa, powiadali, żali nie powinna sama żądać sądu? Cóż by ją to kosztowało?... Bóg jest wierny sędzia; rozprószyłby na zawsze dawne oskarżenia...” Oto, co gadali. Ale zostawmy to wszystko. Wygnałem ich, powiadam.

— Panie, każ, niech wrócą na dwór. Oczyszczę się przysięgą.

— Kiedy?

— Dziesiątego dnia.

— To bardzo bliski termin, miła!

— Aż nadto daleki dla mnie. Ale żądam, abyś tymczasem wezwał króla Artura, iżby przyjechał z wielebnym Gowenem, z Żyrfletem, kasztelanem Ke i stoma ze swego rycerstwa aż do granic tej ziemi, do Białej Równi, na brzeg rzeki, która dzieli wasze królestwa. Tam wobec nich chcę złożyć przysięgę, a nie jedynie przed twymi baronami: ledwie bym bowiem przysięgła, baronowie żądaliby jeszcze nałożyć nową próbę i nigdy nie skończyłyby się nasze męczarnie. Ale jeśli Artur i jego rycerze staną za rękojmię sądu, nie ośmielą się.

Podczas gdy heroldzi wojenni pomykali ku Karduel jako posłowie króla Marka do króla Artura, Izolda posłała tajemnie do Tristana giermka swego płowowłosego Perynisa, wiernego służkę.

Perynis pobiegł przez lasy, unikając zdeptanych ścieżek, aż dotarł do chatynki leśnika Orri, gdzie od wielu dni Tristan nań czekał. Perynis oznajmił, co zaszło: nowy podstęp zdrajców, termin sądu, godzinę i dzień naznaczony.

— Rycerzu, pani moja zaleca, abyś w oznaczonym dniu pod szatą pielgrzyma, tak zręcznie przebrany, aby cię nikt nie mógł poznać, bez broni, znalazł się na Białej Równi. Aby się dostać na miejsce sądu, trzeba jej przebyć rzekę w łodzi; na przeciwnym brzegu, tam, gdzie będą rycerze króla Artura, zaczekasz na nią. Bez wątplenia wówczas będziesz mógł przyjść jej z pomocą. Pani moja lęka się dnia sądu: pokłada wszelako ufność w przychylności Boga, który już zdołał ją wyrwać z rąk trędowatych.

— Wracaj do królowej, miły, dobry druhu Perynisie: powiedz, iż spełnię jej wolę.

Owóż, panowie mili, kiedy Perynis wracał do Tyntagielu, zdarzyło się, iż spostrzegł w zaroślach tegoż samego leśnika, który niegdyś zdybawszy uspiionych kochanków, zdradził ich królowi. Jednego dnia, będąc pijany, pochełpił się swą zradą. Ten człowiek, wykopałszy w ziemi głęboką jamę, okrył ją zręcznie gałęzmi, aby łowić wilki i dziki. Ujrzał sługę królowej, skaczącego ku niemu i chciał uciekać. Ale Perynis przypchnął go nad brzeg pułapki:

— Szpiegu, któryś sprzedał królowę, czemu uciekasz? Zostań tu wpodłe grobu, któryś sam wykopał tak skrzętnie!

Kij ze świstem zakręcił się w powietrzu. Kij i czaszka strzaskały się razem i Perynis Płowowłosy, wierny sługa, pchnął nogą ciało do jamy, okrytej gałęzmi.

W dniu naznaczonym na sąd król Marek, Izolda i baronowie Kornwalii, podjechawszy aż ku Białej Równi, przybyli w pięknym porządku nad rzekę; ustawieni na drugim brzegu rycerze Artura pozdrowili ich lśnącymi sztandarami.

Przed nimi, siedząc na urwistym brzegu, nędzny pielgrzym zawinięty w burkę, z której zwisały muszle, wyciągnął drewnianą miskę i ostrym a żałośliwym głosem domagał się jałmużny.

Robiąc tego wiosłami, barki kornwalijskie zbliżały się do brzegu. Skoro już miały lądować, Izolda spytała otaczających ją rycerzy:

— Panowie, jakoż będę mogła dosięgnąć twardej ziemi bez zmaczania długich szat w tym bagnie? Trzeba by, aby który przewoźnik mi pomógł.

Jeden z rycerzy krzyknął na pielgrzyma:

— Przyjacielu, podkasz burkę, wejdź do wody i przenieś królową, jeśli wszelako nie lękasz się, człeku przygięty i schorowany, ugiąć w pół drogi pod ciężarem.

Człowiek wziął królowę w ramiona. Rzekła mu po cichu:

— Przyjacielu! — Później ciszej jeszcze: — Potknij się i padnij na brzegu!

Przybywszy na brzeg zachwiał się i upadł, trzymając królowę w ramionach. Giermkowie i żeglarze, chwytając wiosła i barki, przegnali precz nieboraka.

— Zostawcie — rzekła królowa — z pewnością długa pielgrzymka osłabiła go.

I odczepiając zapinkę ze szczerego złota, rzuciła ją pielgrzymowi.

Przed namiotem Artura, rozciągnięto na zielonej trawie bogaty kobierzec z nicejskiego jedwabiu. Relikwie świętych dobyte z puzder i szkatuł były już narządzone. Wielebny Gowen, Żyrflet i kasztelan Ke strzegli ich.

Królowa, pomodliwszy się do Boga, zdjęła klejnoty z szyi i rąk i dała je biednym żebrakom; odczepiła purpurowy płaszcz i cienką lśniąca opończę i rozdarła je; oddała łańcuch i broszę, i trzewiki wykładane kamieniami. Zachowała na ciele jeno jasną suknię bez rękawów i z obnażonymi ramionami i stopami kroczyła przed obu królów. Dokoła baronowie patrzyli na nią w milczeniu i płakali. Koło relikwii płonął stos. Drżąca wyciągnęła rękę ku relikwiom świętych i rzekła:

— Królu Lokrii i królu Kornwalii, wielebny Gowenie, wielebny Ke i wielebny Żyrflecie i wy wszyscy, którzy będziecie mymi ręcycielami, na te ciała świętych i na wszystkie ciała świętych będące we świecie, przysięgam, że nigdy mąż zrodzony z niewiasty nie trzymał mnie w ramionach, prócz króla Marka, mego pana i tego ubogiego pielgrzyma, który przed chwilą upadł oto w waszych oczach. Królu Marku, żali ta przysięga ci wystarcza?

— Tak, królowo, i niechaj Bóg objawi swój prawdziwy sąd!

— Amen! — rzekła Izolda.

Zbliża się do stosu blada i drżąca. Wszyscy milczeli, żelazo żarzyło się. Wówczas zanurzyła gołe ramiona w ognisku, chwyciła sztabę żelaza, przeszła dziesięć kroków niosąc ją, następnie, odrzuciwszy, rozciągnęła ramiona w kształt krzyża, z otwartymi dłońmi. I każdy widział, iż ciało jej było zdrowsze niż śliwka świeżo urwana ze śliwy.

Wówczas ze wszystkich piersi wielki krzyk uwielbienia podniósł się ku Bogu.

XIII. Głos słowika

Tristan defors e chante e gient
Cum rossignol que prend congé
En fin d'esté od gran pité.
Le Doumei des Amanz

Kiedy Tristan, wróciwszy do chaty leśnika Orri, odrzucił kostur i zdjął z siebie burkę pielgrzyma, poznał jasno w sercu, iż nadszedł dzień, aby dotrzymać wiary zaprzysiężonej królowi Markowi i oddalić się z kraju Kornwalii.

Czemu ociążał się jeszcze? Królowa usprawiedliwiła się, król miłował ją, czcił. Artur w potrzebie ująłby się za nią i od tej pory żadna zdradziecka sztuka nie mogła nic przeciw niej. Po co dłużej krążyć w okolicy Tyntagielu? Narzązał próżno życie i życie leśnika, i spokój Izoldy. Tak, trzeba jechać; ostatni to raz pod suknią pielgrzyma na Białej Równi uczuł ciało Izoldy w swych ramionach.

Trzy dni jeszcze zwlekał, nie mogąc się oderwać od kraju, w którym żyła królowa. Ale kiedy przyszedł czwarty dzień, pożegnał się z leśnikiem, który mu dał gospodę i rzekł do Gorwenala:

— Miły nauczycielu, otoć godzina długiej podróży: pójdziemy ku ziemi walijskiej.

Puścili się w drogę smutno, w nocy. Ale droga szła wzdłuż sadu ogrodzonego palami, gdzie niegdyś Tristan oczekiwał milej przyjaciółki. Noc lśniła się czysto. Na zakręcie drogi, niedaleko palisady ujrzał, jak wznosi się na jasnym niebie krzepki pień wielkiej sosny.

— Miły nauczycielu, czekaj w pobliskim lesie, wrócę niebawem.

— Gdzie idziesz? Szalony, czy chcesz bez litości szukać własnej zguby?

Ale już śmiałym skokiem Tristan przesadził ostrokół z palów. Przyszedł pod wielką sosnę, koło schodów z jasnego marmuru. Na co zdałoby się rzucać do źródła misternie strugane wióry? Izolda nie przyszlaby już! Gibkim i ostrożnym krokiem, ścieżką, którą niegdyś biegała królowa, ośmielił się zbliżyć do zamku.

W komnacie swojej, w ramionach uśpionego Marka, Izolda czuwała. Nagle przez uchylone okno, w którym igrały promienie księżyca, wniknął do izby głos słowika.

Izolda słuchała dźwięcznego głosu napełniającego czarem noc. Głos podnosił się żaloszny i taki, iż nie masz serca dość okrutnego, nie masz serca mordercy, które by się nie rozczuliło. Królowa pomyślała: „Skąd pochodzi to śpiewanie?...”. Nagle pojęła: „Ach, to Tristan! Tak w lesie moreńskim dla mojej uciechy udawał ptaki śpiewające. Jedzie i oto jego ostatnie pożegnanie. Jak on się skarży! Rzekłbyś, słowik, kiedy żegna się z wielką żalostí z końcem lata! Przyjacielu, nigdy już nie usłyszę twego głosu!”

Melodia zaczęła drgać jeszcze potężniej.

„Ach, czego żądasz? abym przyszła? Nie, przypomnij sobie pustelnika Ogryna i przysiężone śluby. Zamilcz, śmierć czyha na nas... I cóż mi śmierć! Wołasz mnie, żądasz mnie, idę!”

Wyplątała się z objęć króla, narzuciła płaszcz podbity futrem na ciało niemal nagie. Trzeba było przejść przez sąsiednią komnatę, gdzie każdej nocy dziesięciu rycerzy czuwało kolejno; podczas gdy pięciu spało, pięciu innych pod bronią, stojąc u drzwi i okien, wyglądało zewnątrz. Ale przypadkowo wszyscy byli uśpieni, pięciu na łóżkach, pięciu na podłodze. Izolda okroczyła rozsypane ciała, odsunęła wrzeciędzie: pierścień zadzwonił, ale nie zbudził żadnego ze śpiących. Przekroczyła próg i śpiewak umilkł.

Pod drzewami bez słowa przygarnął ją do piersi; ramiona ich zaplotły się mocno dokoła ciał i aż do świtu, jak gdyby związani pętami, nie popuścili się z objęć. Mimo króla i mimo stróżów kochankowie wiedli swe wesele i swoje miłowanie.

Ta noc oszaleńczała kochanków: i w dni, które nastąpiły, gdy król opuścił Tyntagiel, aby sprawować roki w Łubinie, Tristan, wróciwszy do leśnika Orri, ważył się każdego ranka, w jasny dzień, wkraść przez sad aż do komnaty niewiast.

Sługa któryś zdybał go i poszedł do Andreta, Denoalena i Gondoina:

— Panowie, zwierz, o którym mniemaliście, że jest przepłoszony, wrócił do legowiska.

— Kto?

— Tristan.

— Kiedyś go widział?

— Dziś rano i dobrze poznałem. I tak samo jutro o brzasku możecie oglądać go z przypasanym mieczem, z łukiem w jednej ręce, a dwojgiem strzał w drugiej.

— Jak go ujrzymy?

— Przez pewne okno, mnie wiadome. Ale, jeśli go wam wskażę, co dacie?

— Funt srebra, będziesz najbogatszym z obwiesiów.

— Zatem, słuchajcie — rzekł sługa. — Można zajrzeć do pokoju królowej przez wąskie okno, które wznosi się w górze komnaty, wybite bardzo wysoko w murze. Ale wielka zasłona rozciągnięta przez izbę zasłania otwór. Niechaj jutro jeden z was wejdzie śmiało do sadu; niech utnie długą gałąź głogu i zaostrzy ją na końcu; niech wespnie się wówczas na wysokie okno i wbije gałąź jak rożen w materię. Będzie ją mógł wtedy uchylić lekko i możecie upiec mnie żywcem, panowie, jeśli poza zasłoną nie ujrzycie tego, com powiedział.

Andret, Gondolin i Denoalen prawowali się, który pierwszy zażyje tego radosnego widowiska; zgodzili się wreszcie przyzwolić najpierw Gondoinowi. Rozstali się; jutro o świcie mają się zejść razem; jutro o świcie, mili panowie, strzeżcie się Tristana.

Nazajutrz, wśród nocy jeszcze ciemnej, Tristan, opuściwszy chatę leśnika Orri, przyczołgał się do zamku popod gęste krzewy głógów. Kiedy wychodził z zarośli, spojrział przez gałęzie i ujrzał Gondoina, który nadchodził ze swej kwatery. Tristan rzucił się z powrotem w głogi i przycupnął w zasadzce:

„Ha! Boże spraw, aby ten tam, który się przysuwa, nie spostrzegł mnie przed sposobną chwilą!”

Z mieczem w garści czekał go; ale przypadkiem Gondoin obrał inną drogę i oddalił się. Tristan wyszedł z zarośli zawiedziony; napiął łuk, wycelował: niestety! tamten był już poza odległością strzału.

W tejże chwili, jadąc powoli ścieżką truchtem na małym karym koniku, przybywa z dalsza Denoalen, wiodąc ze sobą dwa wielkie psy gończe. Tristan czatował nań ukryty za jabłonią. Ujrzał go, jak szczuł ogary, aby wytropiły dziką z chaszczów. Ale, nim psy wytropią zwierza z bajora, pan ich otrzyma taką ranę, że żaden lekarz nie zdoła go wyleczyć. Kiedy Denoalen znalazł się przy nim, Tristan odrzucił burkę, skoczył, wyprężył się naprzeciw wroga. Zdrajca chciał uciekać; na próżno, nie miał czasu ani krzyknąć: „Ranisz mnie!”. Spadł z konia. Tristan urzezał mu głowę, obciął warkocze, które wisiały dokoła twarzy i schował do pludrów: chciał je pokazać Izoldzie, aby ucieszyć serce przyjaciółki. „Niestety! — myślał — cóż stało się z Gondoinem? Wymknął się: czemuż nie mogłem mu wygodnie tą samą zaplątać!”

Wytarł miecz, schował do pochew, przykrył trupa pniem drzewa i zostawiwszy krwawiące ciało, pośpieszył z kapturem na głowie ku miłej.

Gondoin wyprzedził go do tyntagielskiego zamku: już wdrapawszy się na wysokie okno, wbił pręcik głogu w zasłonę, rozsunał lekko połacie materii i patrzył do wnętrza pięknie wysłanej komnaty. Zrazu ujrzał jedynie Perynisa; później Brangien, trzymającą jeszcze grzebień, którym właśnie skończyła czesać królową o złotym warkoczu.

Ale Izolda weszła, potem Tristan. Miał w jednej ręce bzowy łuk i dwie strzały, w drugiej trzymał dwa długie warkocze z głowy człowieka.

Zrzucił płaszcz i piękne jego ciało ukazało się. Izolda Jasnowłosa skłoniła się, aby go pozdrowić; gdy się prostowała, podnosząc głowę ku niemu, ujrzała padający na kotarę cień głowy Gondoina. Tristan rzekł:

— Widzisz te piękne warkocze? To włosy Denoalena. Pomściłem cię na nim. Nigdy już nie kupi ani sprzeda tarczy ani włóczni!

— Dobrze to, panie; ale napijcie ten łuk, proszę was; chciałabym zobaczyć, czy łatwo się napina.

Tristan zdumiony, na pół rozumiejąc, napiął łuk. Izolda wzięła strzałę, założyła na cięciwę, spojrzała, czy struna dobra i rzekła szybkim i cichym głosem:

— Widzę rzecz, która mnie rani. Mierz dobrze, Tristanie!

Rozkraczył się w nogach, podniósł oczy i ujrzał na szczycie zasłony cień głowy Gondoina.

— Niechaj Bóg — rzekł — prowadzi tę strzałę.

Rzekł, odwraca się ku ścianie, puszcza. Długa strzała świszcze w powietrzu; ani kobuz, ani jaskółka nie pędzi tak chyżo; przebija oko zdrajcy, przesywa mózg niby miąższ jabłka i zatrzymuje się, drgająca, o czaszkę. Bez krzyku Gondoin zwałił się i spadł na ostry pal.

Wówczas Izolda rzekła do Tristana:

— Uchodź teraz, przyjacielu mój! Widzisz, zdrajcy znają twe schronienie! Andret został przy życiu, opowie królowi; nie masz już bezpieczeństwa dla ciebie w chatynce leśnika! Uchodź, przyjacielu; Perynis, sługa wierny, ukryje ciało w lesie tak dobrze, iż król o nim nie posłyszysz. Ale ty uchodź z kraju, dla twego zbawienia, dla mego!

Tristan rzekł:

— Jakoż będę mógł żyć?

— Tak, miły Tristanie, życia nasze są splecione i spojone z sobą. A ja, jakoż będę mogła żyć? Ciało ostaje tu, ty masz moje serce.

— Izoldo, przyjaciółko moja, jadę, nie wiem do jakiego kraju. Ale jeśli kiedykolwiek ujrzysz pierścień z zielonego jaspisu, zali uczynisz, o co poproszę przez niego?

— Tak, wiesz o tym; jeśli ujrzę pierścień z zielonego jaspisu, ani wieża, ani zamek warowny, ani zakaz króla nie przeszkodzą mi spełnić woli przyjaciela, będzieli to rozsądek czy szaleństwo!

— Miła, niechaj Bóg urodzony w Betlejem ci odpłaci!

— Miły, niech Bóg cię strzeże!

XIV. Dzwonek cudowny

Ne membre vus, ma belle amie

D'une petite druerie?

Szaleństwo Tristana

Tristan schronił się do Galii, na ziemię szlchetnego diuka Żylenia. Diuk był młody, potężny, poczciwy; przyjął go jako miłego gościa. Aby mu wyświadczyć cześć i radość, nie oszczędzał żadnego trudu; ale ani przygody, ani ucztę nie mogły ukoić męczeństwa Tristana.

Jednego dnia, gdy siedział przy boku młodego księcia, serce jego wezbrało taką boleścią, iż wzdychał, ani sam wiedząc o tym. Aby uśmierzyć jego mękę, księżę nakazał przynieść do poufnej komnaty swą ulubioną zabawę, która jakowymiś czarami w godzinach smutku zachwycała jego oczy i serce. Na stole przykrytym bogatą i szlachetną purpurą, umieszczono pieska Milusia. Był to pies zaczarowany: miał go księżę z Wyspy Awalońskiej; przysłała mu go wróżka jako podarek miłości. Nikt nie potrafiłby znaleźć dość zmyslnych słów, aby opisać jego naturę i piękność. Sierść lśniła się cieniami tak cudownie rozłożonymi, iż niepodobna było nazwać koloru; szyja zdawała się zrazu bielsza niż śnieg, zad zieleńszy niż liść koniczyny, jeden bok czerwony jak szkarłat, drugi żółty jak szafran, brzuch niebieski jak kamień lazuru, wszystkie te kolory tańczyły w oczach i mieniły się, kolejno białe i zielone, żółte, niebieskie, purpurowe, ciemne i żywe. Nosił na szyi dzwoneczek zawieszony na złotym łańcuszku, o dźwięku tak wesołym, tak jasnym, tak lubym, iż słysząc go, serce Tristana rozczuliło się, ukoilo i żalność jego stopniała. Nie pamiętał już o mękach wycierpianych dla królowej; taka bowiem była cudowna cnota dzwoneczka, iż serce, słysząc to tak lube, wesołe, jasne dzwonenie, zapominało wszystkiego bólu. I gdy Tristan, wzruszony czarnoksięską mocą, pieścił zaczarowane zwierzątko, które odejmowało mu wszelkie strapienie i którego suknia za dotknięciem ręki, zdała się miększa niż aksamitna materia, pomyślał, że to byłby piękny podarek dla Izoldy. Ale co począć? Księżę Żyleń miłował Milusia nad wszystko w świecie i nikt nie mógł go uzyskać prośbą ani podstępem.

Jednego dnia Tristan rzekł do księcia:

— Panie, co dałbyś temu, kto by oswobodził twą ziemię od olbrzyma Urgana Włochatego ściągającego z was ciężkie haracze?

— Zaiste, temu kto by go zwyciężył pozwoliłbym wybrać wśród moich bogactw to, co by uznał za najbardziej cenne; ale nikt nie odważy się porwać na olbrzyma.

— Oto mi szczególne słowo — odparł Tristan. — Nigdy dobro nie płynie skądinąd niż z przygody. Wiedz, iż za wszystko złoto Mediolanu nie wyrzekłbym się chęci potykania z olbrzymem.

— Zatem — rzekł diuk Żyleń — niech Bóg zrodzony z Dziewicy towarzyszy ci i broni cię od śmierci!

Tristan dosięgnął Urgana Włochatego w legowisku. Długo walczyli wściekle. Wreszcie męstwo odniosło górę nad siłą, zwinny miecz nad ciężką maczugą i Tristan, uciawszy prawą pięść olbrzymowi, przyniósł ją księciu:

— Panie, za nagrodę, jako mi przyrzekłeś, daj mi Milusia, pieska swego zaczarowanego.

— Druhu, czegożes zażądał? Zostaw mi go i weź raczej moją siostrę i połowę królestwa.

— Panie, siostra twoja piękna i piękne twoje ziemie, ale po to walczył z Urganem Włochatym, aby zdobyć psa czarodziejskiego. Pamiętaj o obietnicy!

— Weź tedy; ale wiedz, że zabrałeś radość moich oczu i wesele serca.

Tristan powierzył psa pewnemu rybaltowi galijskiemu, roztropnemu i chytremu, który go zaniósł w jego imieniu do Kornwalii. Przybył do Tyntagielu i oddał poufnie w ręce Brangien. Królowa ucieszyła się wielce, dała w nagrodę rybaltowi dziesięć sztuk złota i rzekła swemu panu, iż królowa Irlandii, jej matka, przysłała ten kosztowny podarek. Kazała złotnikowi wyrobić dla psa domek, kosztownie wykładany kamieniami i złotem i wszędzie, gdzie szła, nosiła go z sobą przez pamięć przyjaciela. I za każdym razem, kiedy nań spojrziała, smutek, męka, żale znikają jej z serca.

Nie pojęła od razu cudowności: jeśli znajdowała taką słodycz w tym, by patrzeć na pieska, to dlatego, myślała, iż pochodzi od Tristana; z pewnością myśl o przyjacielu usypia tak jej boleść. Ale jednego dnia poznała, że to jest czarodziejstwo i że jedynie brzęk dzwoneczka zachwyca jej serce.

„Ha! — pomyślała — godziż się, bym zażywała wytchnienia, podczas gdy Tristan jest nieszczęśliwy? Mógł był zachować tego zaczarowanego psa i zapomnieć w ten sposób całą boleść; przez wdzięczną pamięć wołał raczej mnie go posłać, przekazać mi radość i podjąć swą niedolę. Ale nie godzi się, aby tak być miało: Tristanie, chcę cierpieć równie długo, jak ty będziesz cierpiał”.

Wzięła magiczny dzwonek, potrząsnęła nim ostatni raz, odczepiła z wolna: potem przez otwarte okno rzuciła go w morze.

XV. Izolda o Białych Dłoniach

Ire de femme est a duter;
Mol s'en deit bien chascuns garder.
Cum de leger vient leur amour.
De leger revient leur haür.

Thomas

Kochankowie nie mogli żyć ani umrzeć jedno bez drugiego. W rozłączeniu nie było to życie ani śmierć, ale i życie, i śmierć razem.

Przez morza, przez wyspy i kraje, Tristan chciał uchodzić swej niedoli. Ujrzał znowuż rodzinną ziemię lońską, gdzie Rohańt Dzierżący Słowo przyjął syna ze łzami rozczulenia: ale nie mogąc ścierpieć odpoczynku w swej ziemi, Tristan wędrował dalej poza księstwa i królestwa, szukając przygód. Z Lonii do Fryzji, z Fryzji do Gawii, z Allemanii do Hiszpanii, służył wielu panom, dokonał wielu dzieł. Ale przez dwa lata żadna wieść nie przyszła doń z Kornwalii, żaden przyjaciel, żadne poselstwo.

Wówczas uwierzył, iż Izolda odeszła odeń myślą i że go zapomniała.

Owóz zdarzyło się, iż jednego dnia, jadąc samowtór z Gorwenalem, wszedł na ziemię Bretanii. Jechali przez opustoszałą równinę: wszędy mury poburzone, wsie bez mieszkańców, pola zżarte ogniem; konie ich brodziły w węglu i popiele. Jadąc przez pusty step, Tristan myślał:

„Jestem znużony i zmordowany. Na co mi się zdadzą te przygody? Moja pani daleko, nigdy jej nie obaczę. Czemu od dwu lat nie kazała mnie szukać po obcych krajach? Żadnego poselstwa od niej. W Tyntagielu król czci ją i służy jej: żyje w radości. Snadź dzwonek psa zaczarowanego dobrze pełni dzieło! Zapomina o mnie: mało jej waży minione żałoby i radości, mało waży nieszczęśnik, który błądzi po tym rozpaczonym kraju. Żaliż ja tylko nie zapomnę o tej, która mnie zapomina? Nigdyż nie znajdę kogoś, kto by uleczył mą nędzę?”

Przez dwa dni Tristan i Gorwenal mijali pola i grody, nie ujrawszy człowieka, koguta, psa. Trzeciego dnia, o godzinie nony zbliżyli się do pagórka, gdzie wznosiła się stara kaplica i tuż obok mieszkanie pustelnika. Pustelnik nie miał na sobie odzieży tkanej, jeno skórę kozłą wystrzępioną na grzbiecie. Rozciągnięty na ziemi, z nagimi łokciami i kolanami, dopraszał się u Marii Magdaleny, aby go natchnęła zbawienną modlitwą. Pożyczył zdrowia przybyszom i podczas gdy Gorwenal popasał konie,

rozdział Tristana ze zbroi, po czym narządził jadło. Nie dał im wybrednych potraw, ale chleba żytniego, ugniecionego z popiołem, i źródlanej wody. Po posiłku, skoro zapadła noc i skoro siedli koło ognia, Tristan spytał, co by to była ta spustoszona ziemia.

— Zacny panie — rzekł pustelnik — to ziemia Bretanii, którą dzierży diuk Hoel. Był to niegdyś piękny kraj, bogaty w łąki i uprawną rolę; tu młyny, tam sady jabłonne, ówdzie folwarki. Ale hrabia Ryjol z Nantes spustoszył wszystko; jego kwatermistrze wszędzie zażegli ogień i zewsząd wybrali łupy. Ludzie jego zbogacili się na długo: taki los wojny.

— Bracie — rzekł Tristan — dlaczego hrabia Ryjol tak pohańbił pana waszego, Hoela?

— Powiem ci tedy, panie, przyczynę tej wyprawy. Wiedźcie, że Ryjol był lennym diuka Hoela. Owóż diuk ma córkę, najpiękniejszą ze wszystkich cór królewskich, i hrabia Ryjol chciał ją pojąć za żonę. Ale ojciec wzdragał się oddać dziecko wasalowi; tedy hrabia Ryjol próbował uprowadzić ją siłą. Mnogo ludzi poległo w tej sprzeczce.

Tristan zapytał:

— Żali diuk Hoel może jeszcze ciągnąć na wojnę?

— Z wielkim trudem, panie. Mimo to ostatni zamek, Karheń, opiera się jeszcze: mury bo są mocne i mocne też serce syna diuka Hoela, Kaherdyna, śmiałego rycerza. Ale nieprzyjaciel przyciska ich i nęka głodem: czy będą mogli strzymać długo?

Tristan zapytał, jak daleko jest zamek karheński.

— Panie, o dwie mile tylko.

Rozstali się i udali na spoczynek. Rankiem, kiedy pustelnik odśpiewał modlitwy i skoro podzielili chleb z jęczmienia i popiołu, Tristan pożegnał cnotliwego męża i ruszył w stronę Karhenia.

Skoro zatrzymał się u stóp zamkniętych murów, ujrzał gromadkę ludzi stojących na okrężnej drodze i spytał o diuka. Owóż Hoel znajdował się między tymi ludźmi wraz z synem Kaherdynem. Dał się poznać, Tristan zaś rzekł:

— Jestem Tristan, król ziemi lońskiej, a Marek, król Kornwalii, jest mym wujem. Dowiedziałem się, panie, że lennicy czyniąć krzywdę, i przybyłem ofiarować ci usługi.

— Niestety! królu Tristanie, jedź swoją drogą i niech cię Bóg nagrodzi! Jakoż cię przyjąć tutaj? Nie mamy już żywności; żadnego zboża, nic, jeno trochę bobu i jęczmienia, ot, aby wyżyć.

— Cóż o to? — rzekł Tristan. — Żyłem dwa lata w boru zieleń, korzeniami i dziczyzną; i wiedźcie, że miłe mi było to życie. Nakaźcie, by otwarto bramę.

Wówczas rzekł Kaherdyn:

– Przyjm go, ojcze, skoro taki w nim duch, niechaj dzieli z nami dołę i niedolę.

Przyjęli go ze czcią. Kaherdyn dał gościowi zwiedzić tęgie mury i warowną wieżę, dobrze opatrzoną ostrokołem z palisad, za którym byli zasadzeni strzelcy z kuszami i procami. Z blanków muru ukazał w oddali na równinie namioty i flagi zatknięte przez hrabiego Ryjola. Skoro wrócili na próg zamku, Kaherdyn rzekł:

– A teraz, miły druhu, pójdziemy do komnaty, gdzie jest matka moja i siostra.

Obaj, trzymając się za ręce, weszli w komnaty niewiast. Siedząc na kobiercu, matka i córka zdołały złotogłowiem angielską taninę i śpiewały piosnkę tkacką. Powiadały, jako Piękna Doeta, siedząc na wietrze pod krzem białego głogu, czeka i oplakuje Doona, swego przyjaciela, tak opieszalego w powrocie. Tristan skłonił się i one jemu wzajem, po czym rycerze siedli obok. Kaherdyn, ukazując stulę, którą haftowała matka, rzekł:

– Widzisz oto, miły druhu Tristianie, jaką robotnicą jest moja pani; jak umie nadobnie złocić stulę i ornaty, aby z nich czynić podarek ubogim klasztorom! Patrz, jak ręce siostry śmigają nitką złotą po białym atłasie! Na mą cześć, miła siostrze, słusznie ci przystało nosić miano Izoldy o Białych Dłoniach!

Wówczas Tristan, usłyszawszy, iż zowie się Izoldą, uśmiechnął się i spojrzał na nią łagodniej.

Owóż hrabia Ryjol rozłożył obóz o trzy mile od Karhenia i od wielu dni ludzie diuka Hoela nie śmieli już przekraczać bram, aby go zaczepiać. Ale zaraz nazajutrz Tristan, Kaherdyn i dwunastu młodych rycerzy wyruszyło z Karhenia, wdziawszy pancerze, zawiązawszy hełmy i jechali pod świerkowym lasem aż w pobliże namiotów nieprzyjacielskich; następnie, wypadłszy z zasadzki, uprowadzili siłą furgon hrabiego Ryjola. Począwszy od tego dnia, zmieniając raz po raz podstępny i sztuki wojenne, obalali źle strzeżone namioty, zaczepiali podjazdy, nękali i zabijali ludzi i nigdy nie wracali do domu, iżby nie przynieśli jakiegoś łupu. Tak walcząc strzeżenie przy strzeżeniu, Tristan i Kaherdyn zaczęli pokładać w sobie wiarę i życzliwość, aż zgoła zaprzysięgli przyjaźń i braterstwo. I nigdy nie chybili słowu, jak historia was o tym pouczy.

Owo, podczas gdy wracali z harców, rozmawiając o wszelkim rycerskim i dworskim obyczaju, często Kaherdyn zachwalał miłemu druhowi siostrę Izoldę o Białych Dłoniach, prostą i piękną.

Jednego rana, kiedy błysnął pierwszy świt, strażnik zeszedł śpiesznie z wieży i biegł przez sale, krzycząc:

— Panowie miłościwi, za długoście spali! Wstawajcie, Ryjol szturmuje do zamku!

Rycerze i mieszczany uzbroili się i pobiegli na mury. Ujrzeni na równinie błyszczące hełmy, rozwiane pióropusze i całą wiarę Ryjelową, która posuwała się w pięknym porządku. Diukowie Hoel i Kaherdyn rozwinęli natychmiast przed bramą pierwsze szyki rycerzy. Przybywszy na strzelenie z łuku, opatrzli konie i czekali ze spuszczoneymi włóczyniami, a strzały padały na nich na kształt kwietniowego deszczu.

Tristan zbroił się także wraz z tymi, których czaty pobudziły ostatnich. Opasuje pludry, naciąga kaftan, ciasne kamasze i złote ostrogi; wdziewa pancerz, nakłada hełm wraz z przyłbicą; siada na koń, pędzi rumaka ostrogą aż w równinę i ukazuje się z tarczą wyciągniętą przed pierś, krzyząc: „Karheń!”. Był czas; już ludzie Hoelowi cofali się ku bramom. Pięknie to było wówczas widzieć powalone konie i spłoszonych wasali, ciosy zadawane przez młodych rycerzy i trawę czerwieniącą się pod ich stopami od krwi! Na czele wszystkich Kaherdyn zatrzymał się śmiało, widząc, jak pędzi ku niemu mężny baron, brat hrabiego Ryjola. Zderzyli się pochylonymi kopiami. Nantejczyk złamał swoją, nie wstrząsnąwszy w siodle Kaherdyna, który pewniej wymierzonym ciosem uchylił tarcz przeciwnika i wbił mu szmelcowane żelazo w bok aż po drzewce. Wyważony z siodła jeździec opuszcza strzemiona i pada.

Na krzyk brata hrabia Ryjol rzucił się na Kaherdyna z puszczoneymi cugłami. Ale Tristan zagroził mu drogę. Kiedy się zderzyli, lanca Tristana złamała się w rękę, zaś kopia Ryjolowa, napotkawszy pierś konia, wnikła w ciało i rozciągnęła rumaka martwo na błoni. Tristan, zerwawszy się natychmiast z błyszczącym mieczem w dłoni:

— Tchórze — rzekł — hańba temu, kto niecha jeźdźca, aby znęcać się nad koniem! Nie wyjdiesz żyw z tego miejsca.

— Sądzę, że łiesz! — odparł Ryjol, napierając koniem.

Ale Tristan uchylił się przed ciosem i podnosząc ramię, opuścił ciężko brzeszczot na hełm Ryjolowy, którego obręcz uszkodził i zerwał przyłbicę. Lanca ześlizgnęła się z ramienia jeźdźca po boku konia, który zachwiał się i runął martwy. Ryjol zdołał się wyplątać spod niego i zerwał się: z pociętą, podziurawioną tarczą, połamaną zbroją, obaj pieszo, szukają się i nacierają wzajem. Wreszcie Tristan ugodził Ryjola w guz hełmu. Obręcz puszcza, cios zaś był tak mocno wymierzony, iż baron pada na kolana i dłonie.

— Podnieś się, jeśli zdołasz, wasalu — krzyczy Tristan — w nieszczęsną godzinę przyszedłeś na te błonia; trzebać umrzeć!

Ryjol zrywa się na nogi, ale Tristan sięga go nowym ciosem, który rozwalił hełm, przeciął czapkę i otworzył czaszkę. Ryjol błagał łaski, prosił o darowanie życia: Tristan przyjął jego miecz. Wziął go w porę, ze wszystkich bowiem stron Nantejczycy śpieszyli na pomoc swemu panu. Ale już pan był w niewoli.

Ryjol przyrzekł udać się do więzienia diuka Hoela, przysiąc mu na nowo hołd i wiary i odbudować spalone wsie i grody. Na jego rozkaz bitwa uciszyła się i orszak się oddalił.

Skoro zwycięzcy wrócili do Karhenia, Kaherdyn rzekł do ojca:

— Panie, wezwij Tristana i zatrzymaj go; nie masz w świecie dzielniejszego rycerza, a twój kraj wymaga barona tej mocy.

Naradziwszy się ze swymi ludźmi, diuk Hoel przywołał Tristana:

— Przyjacielu, nie mógłbym ci okazać zbyt wiele miłości, ty bowiem ocaliłeś mi tę ziemię. Chcę oto wypłacić się wobec ciebie. Córka moja, Izold o Białych Dłoniach, zrodzona jest z książąt, królów i królowych. Weź ją, przyzwalam.

— Panie, biorę ją! — rzekł Tristan.

Ha! panowie moi, czemuż wyrzekł to słowo? Ale dla tego słowa umarł.

Dzień już obrano, ustanowiono porę. Diuk przybywa ze swymi przyjaciółmi, Tristan ze swymi. Kapelan śpiewa mszę. Wobec wszystkich, u bramy klasztoru, wedle prawa świętego Kościoła, Tristan zaślubia Izoldę o Białych Dłoniach. Wesele było huczne i bogate.

Ale za nadejściem nocy, gdy ludzie Tristanowi rozdzielali go z ubiorów, zdarzyło się, iż ściągając zbyt ciasny rękaw kaftana, zdjęli mu z palca i upuścili na ziem pierścień z zielonego jaspisu, pierścień Izoldy Jasnowłosej. Zadźwięczał jasno na podłodze. Tristan patrzy i widzi go. Wówczas dawna miłość budzi się w sercu i Tristan poznaje swą zbrodnię.

Przypomina mu się dzień, w którym Izold Złotowłosa dała mu ten pierścień: było to w lesie, gdzie dla niego wiodła twarde życie. I wyciągnięty przy innej Izoldzie ujrzał w pamięci szalas w moreńskim boru. Przez jakie szaleństwo oskarżył w sercu przyjaciółkę swą o zdradę? Nie, ona cierpiała dlań wszystką nędzę i on sam tylko ją zdradził. Ale litował się równie nad Izoldą swą żoną, prostą, piękną. Dwie Izoldy pokochały go w nieszczęsnej godzinie. Obydwom chybił wiary.

Tymczasem Izold o Białych Dłoniach dziwiła się, słysząc, jak Tristan wzdycha wyciągnięty przy jej boku. Rzekła wreszcie nieco zawstydzona:

— Drogi panie, czy obraziłam cię w czymkolwiek? Dlaczego nie dasz mi ani jednego pocałunku? Powiedz, niech poznam swój błąd, a przyrzekam zań piękną pokutę, jeśli zdołam.

— Przyjaciółko — rzekł Tristan — nie gniewaj się, ale uczyniłem ślub. Niegdyś, w innym kraju, wojowałem ze smokiem i miałem zginąć, kiedy przypomniałem sobie Matkę Bożą: przyrzekłem jej, iż oswobodzony od smoka cudowną łaską, kiedy pojmem żonę, przez cały rok powściągnę się od uściskania jej i poznania...

— Tedy — rzekła Izolda o Białych Dłoniach — ścierpię to łagodnie.

Ale kiedy służebnice rankiem oblekały jej zapaskę niewiast poślubionych, uśmiechnęła się smutno i pomyślała, iż zgoła nie ma praw do tej ozdoby.

XVI. Kaherdyn

La dame chante dulcement.

Sa voix s'accorde a l'estrument

Les mains sont beles, li lais bons

Dulce la voia et bas li tons.

Thomas

W kilka dni później diuk Hoel, jego kasztelan i wszyscy łowcy, Tristan, Izolda o Białych Dłoniach i Kaherdyn wyjechali razem z zamku, aby zapolować w boru. Na ciasnej drodze Tristan jechał po lewicy Kaherdyna, który prawą dłoń przytrzymywał cugle rumaka Izoldy o Białych Dłoniach. Owóz rumak potknął się w bajorze. Kopyto jego prysło wodę tak mocno pod suknię Izoldy, iż cała zamokła i uczuła chłód aż powyżej kolan. Wydała lekki krzyk i ukłuciem ostrogi popędziła konia, śmiejąc się tak donośnym i jasnym śmiechem, iż Kaherdyn, który pognął za nią i doścignął ją, zapytał:

— Miła siostrze, czemu się śmiejesz?

— Z myśli jednej, która mnie nawiedziła, miły bracie. Kiedy ta woda prysnęła ku mnie, rzekłam jej: „Ej wodo, na więcej się ważysz niż kiedykolwiek odważył się śmiały Tristan!” i z tego się śmiałam. Ale już za wiele rzekłam, bracie, i żałuję swej mowy.

Kaherdyn, zdziwiony, przyciskał ją tak żywo, aż wreszcie wyznała prawdę o swych zaślubinach.

Wówczas Tristan zrównał się z nimi i wszyscy troje jechali w milczeniu aż do myśliwskiego domku. Tam Kaherdyn odwołał Tristana na rozmowę i rzekł:

— Panie Tristanie, siostra wyznała mi prawdę o swych zaślubinach. Uważałem cię jako równego mi i druha. Ale ty zdeptałeś mą wiarę i pohańbiłeś me krewieństwo. Z tą chwilą, jeśli nie uczynisz mi zadość, jak się godzi, wiedz, że cię wyzywam.

Tristan odpowiedział:

— Tak, przybyłem między was na wasze nieszczęście. Ale usłysz mą nędzę, miły, słodki przyjacielu, bracie i towarzyszu, a może serce twoje uśmierzy się. Wiedz, że mam inną Izoldę, piękniejszą od wszystkich kobiet, która wycierpiała i cierpi jeszcze dla mnie mnogie niedole. Zaiste, siostra twoja żywi dla mnie miłość i cześć; ale, dla mej miłości, więcej czci niż twoja siostra mnie świadczy, tamta Izolda świadczy psu, którego dałem jej w podarku. Pójdź, opuśćmy te łowy, pójdź ze mną, gdzie cię zaprowadzę; opowiem ci nędzę swego życia.

Tristan zatoczył koniem i pognał żwawiej. Kaherdyn pchnął dzianeta w jego ślady. Bez słowa pędzili w najdalszą głąb lasu. Tam Tristan odsłonił swe życie Kaherdynowi. Rzekł mu, jako na morzu wypił miłość i śmierć; opowiedział o zdradzie baronów i króla; o tym, jak królowę zawiedziono na stos i wydano trędowatym. Opowiedział ich miłowanie w dzikim boru; i jak ją oddał królowi Markowi; i jak, uciekwszy od niej, chciał kochać Izoldę o Białych Dłoniach; ale poznał obecnie, iż nie może żyć ani umierać bez królowej.

Kaherdyn milczy i dziwuje się. Czuje, jak gniew mimo woli w nim opada.

— Przyjacielu — rzekł wreszcie — słyszę przedziwne słowa. Wzruszyłeś serce moje litością: wycierpiałeś bo takie męki, iż niech Bóg strzeże od nich każdego i każdą! Wracajmy do Karhenia: trzeciego dnia, jeśli zdołam, powiem ci swoją myśl.

W komnacie swojej w Tyntagielu Izold Jasnowłosa wzdycha z przyczyny Tristana, którego przyzywa. Kocha go ciągle: nie ma innej myśli, innej nadziei, innej chęci. W nim całe jej pragnienie i oto od dwóch lat nie wie nic o nim. Gdzie jest? W jakim kraju? Żyjeli zgoła?

W komnacie swojej Izold Jasnowłosa siedzi i nuci smutną piosenkę miłości. Powiada, jako Gurona pochwycono i zabito dla miłości damy, którą miłował nad wszystko inne, i jak podstępnie hrabia dał do zjedzenia serce Gurona swej żonie, i jej okrutną boleść.

Królowa śpiewa z cicha, dostraja głos do dźwięku harfy. Ręce jej są piękne, piosnka wdzięczna, ton głęboki, głos słodki.

Wtem wchodzi Kariado, bogaty hrabia z oddalonej wyspy. Przybył do Tyntagielu, aby ofiarować królowej służby, i wiele razy od czasu wyjazdu przegadywał do niej o miłości. Ale królowa odtrąciła jego żądania i mieniła je szaleństwem. Był to piękny rycerz, wyniosły i dumny, kwiecisty w mowie, ale więcej wart w komnatach niewieścich niż w bitwie. Zeszedł Izoldę, gdy nuciła swą piosnkę.

— Pani, jakaż smutna pieśń, smutna jak zawodzenie orła morskiego! Nie powiadają, iż orzeł morski śpiewa, aby oznajmić śmierć? Moją to śmierć bez wątpienia zapowiada wasza piosenka: umieram bowiem z miłości dla was!

— Dobrze więc — rzecze Izolda — godzę się, aby mój śpiew oznaczał waszą śmierć, nigdy bowiem nie weszliście tutaj, iżbyście mi nie przynieśli bolesnej nowiny. Wy to byliście zawsze orłem morskim lub puszczykiem, aby źle mówić o Tristanie. I dzisiaj jaką wrażą nowinę przynosicie jeszcze?

Kariado odparł:

— Królowo, nie wiem, o co się gniewasz; ale szalony byłby, kto by się wzruszał twymi gadaniami! Jak bądź się mają rzeczy z ową śmiercią, którą jakoby wróży mi morski orzeł, oto zła nowina, którą przynosi ci puszczyk. Tristan, twój przyjaciel, stracony dla ciebie, pani Izoldo. Pojął żonę w innej ziemi. Odtąd możesz szukać pociechy gdzie indziej, on bowiem wzgardził twą miłością. Pojął z wszelką paradą żonę, Izoldę o Białych Dłoniach, córkę diuka Bretanii.

Kariado odchodzi pogniewany. Izold Jasnowłosa opuszcza głowę i zaczyna płakać.

Trzeciego dnia Kaherdyn przywołał Tristana.

— Przyjacielu, poszukałem rady w sercu. Tak, rzekłeś prawdę, życie, które wieszysz w tej ziemi, jest zbrodnią i szaleństwem i nic dobrego nie może stąd wypłynąć ani dla ciebie, ani dla siostry mej, Izoldy o Białych Dłoniach. Wysłuchaj tedy, coć rzekę. Popłyniemy zaraz do Tyntagielu; ujrzysz królowę; doświadczysz, żali ciągle smęci po tobie i chowa ci wiare. Jeśli cię zapomniała, może łącniej obrócisz wówczas serce ku Izoldzie, mojej siostrze, skromnej i pięknej. Pojadę z tobą: żali nie jestem ci bratem i towarzyszem?

— Bracie — rzekł Tristan — dobrze to powiadają: serce człowieka więcej warte niż złoto całej krainy.

Wnet Tristan i Kaherdyn wzięli kostur i burkę pielgrzymią, jak gdyby chcieli odwiedzić ciało świętych w dalekiej ziemi. Pożegnali się z diukiem Hoelem i prosili o

pozwolenstwo. Tristan wiódł z sobą Gorwenalą, Kaherdyn jedynego giermka. Potajemnie narządzili statek i popłynęli do Kornwalii.

Wiatr był lekki i życzliwy, tak iż pewnego rana przed świtem dobili niedaleko Tyntagielu do odludnej przystani, w pobliżu zamku lidańskiego. Tam z pewnością Dynas z Lidanu, zacny kasztelan, ugości ich i będzie umiał zataić ich przybycie.

Z pierwszym brzaskiem dwaj towarzysze wędrowali w stronę Lidanu, kiedy ujrzeli za sobą człowieka, który łagodnym truchtem jechał tą samą drogą. Rzucili się w las, ale człowiek minął ich, nie widząc, albowiem drzemał na siodle. Tristan poznał go:

— Bracie — rzekł po cichu do Kaherdyna — to sam Dynas z Lidanu. Śpi. Bez wątplenia wraca od milej przyjaciółki i śni jeszcze o niej: nie byłoby grzecznie go budzić, ale idź za mną z dala.

Dognał Dynasa, ujął łagodnie konia za cugle i szedł bez hałasu u jego boku. Wreszcie potknięcie konia obudziło śpiącego. Otwiera oczy, widzi Tristana, waha się:

— To ty, to ty, Tristanie! Niech Bóg błogosławi godzinę, w której cię widzę: tyle się jej wyczekałem!

— Przyjacielu, niech ci Bóg sprzyja! Jakie nowiny powiesz mi o królowej?

— Niestety, ciężkie nowiny. Król miłuje ją i pragnie jej wesela; ale od czasu twego wygnania, ona usycha i płacze za tobą. Ach, czemuż powracasz ku niej? Żali chcesz jeszcze szukać jej i swojej śmierci? Tristanie, miej litość nad królową, ostaw ją w spokoju!

— Przyjacielu — rzekł Tristan — przyzwól mi jedną łaskę: ukryj mnie w Lidanie, zanieś jej moje poselstwo i spraw, abym ją ujrział raz, jedyny raz.

Dynas odpowiedział:

— Żal mi twej damy: spełnię poselstwo jedynie wówczas, jeśli się dowiem, iż została ci drogą ponad wszystkie krasawice świata.

— Ach panie, powiedz jej, że została mi drogą ponad wszystkie: otoć i prawda.

— Pójdź tedy za mną, Tristanie, wspomogę cię w twej potrzebie.

W Lidanie kasztelan ugościł Tristana, Gorwenalę, Kaherdyna i jego giermka. Skoro Tristan opowiedział punkt po punkcie przygody swego życia, Dynas udał się do Tyntagielu, aby wywiedzieć się o nowiny na dworze. Dowiedział się, iż za trzy dni królowa Izolda i król Marek, cały ich orszak, wszyscy giermkowie i myśliwcy, opuszczą Tyntagiel, aby rozgościć się w zamku Białej Równi, gdzie narządzono dla nich wielkie łowy. Wówczas Tristan powierzył kasztelanowi pierścień z zielonego jaspisu i poselstwo, które miał zanieść królowej.

XVII. Dynas z Lidanu

Bele amie, si est de nos:

Ne vus sans mei, ne jo sans vus.

Marie de France

Dynas wrócił tedy do Tyntagielu, wstąpił po schodach i wszedł do sali. Pod baldakinem król Marek i Izolda Jasnowłosa siedzieli przy szachownicy. Dynas zajął miejsce na zydlu w podległości królowej, jak gdyby przyglądał się grze i po dwakroć udając, że wskazuje figury, położył rękę na szachownicy. Za drugim razem Izolda poznała na palcu pierścień z jaspisu. Natychmiast odechciało się jej grania. Trąciła lekko ramię Dynasowe w taki sposób, że kilka pieśniaków przewróciło się.

— Widzisz kasztelanie — rzekła — zburzyłeś mi grę i to tak, że nie sposób jej podjąć.

Marek opuszcza salę, Izolda chroni się do komnaty, każe wołać kasztelana do siebie:

— Panie miły, jesteś posłańcem Tristana?

— Tak, królowo, jest w Lidanie, ukryty w moim zamku.

— Żali prawda, że pojął żonę w Bretanii?

— Królowo, powiedzianość prawdę. Ale on upewnia, iż cię nie zdradził; iż ani na dzień nie przestał cię miłować nad wszystkie inne; że umrze, jeśli cię nie ujrzy bodaj jeden raz. Błaga, byś zgodziła się na to w imię przyrzeczenia, które dałaś mu ostatniego dnia, gdy mówił z tobą.

Królowa słuchała przez chwilę, myśląc o drugiej Izoldzie. Wreszcie odparła:

— Tak, w ostatnim dniu, gdy mówił ze mną, przypominam to sobie, rzekłam: „Jeśli kiedykolwiek ujrzę pierścień z zielonego jaspisu, ani wieża, ani warowny zamek, ani zakaz królewski nie przeszkodzą mi spełnić woli przyjaciela, bądźli to rozsądek czy szaleństwo...”.

— Królowo, od dziś za dwa dni dwór ma opuścić Tyntagiel, aby się udać na Białą Równię: Tristan powiadamia cię, iż będzie czekał ukryty przy drodze, w krzaku głogów. Błaga, abyś się ulitowała nad nim.

— Rzekłam: ani wieża, ani warowny zamek, ani zakaz królewski nie przeszkodzą mi spełnić życzenia przyjaciela.

Trzeciego dnia, podczas gdy cały dwór Marka gotował się wyruszyć z Tyntagielu, Tristan i Gorwenal, Kaherdyn i jego giermek wdziali pancerze, wzięli miecze i tarcze i

tajemnymi ścieżkami puścili się ku oznaczonemu miejscu. Dwie drogi prowadziły przez las na Białą Równię: jedna piękna i dobrze ubita, którą miał przejeżdżać orszak, druga kamienista i opuszczona. Przy tej to drodze Tristan i Kaherdyn pozostawili giermków, aby czekali w miejscu swych panów, strzegąc koni i tarcz. Sami wsunęli się w las i ukryli w chaszczu. Przed tym chaszczem Tristan położył gałązkę leszczyny, do której umocowane było źdźbło przewierścienia.

Niebawem orszak ukazał się na drodze. Najpierw świta króla Marka. Ciągną w pięknym porządku kwatermistrze i wiwandierzy, kucharze i podczaszowie, ciągną kapelani, ciągną psiarkowie wiodący charty i ogary, potem sokolnicy niosący ptaki na lewej pięści, potem łowczowie, potem rycerze i baroni; jadą sobie pomalutku, w pięknym ordynku, parami. Lubo jest widzieć ich bogato odzianych, na koniach o aksamitnych rzędach wysadzanych kosztownościami. Potem przejechał król Marek; Kaherdyn cudował się, widząc poufałych jego jadących obok, dwóch po prawicy, dwóch po lewicy, wszystkich odzianych w złotogłowa i szkarłaty.

Z kolei wysunął się orszak królowej. Dziewczęta służebne od bielizny i pokojów jechały przodem, potem żony i córki baronów i hrabiów. Ciągną jedna za drugą, sznurkiem: młody kawaler towarzyszy każdej z nich. Wreszcie nadjeżdża rumak i niesie jeźdźczynię piękniejszą od wszystkich, jakie kiedykolwiek Kaherdyn oglądał na oczy: pięknie ukształtowaną na ciele i licu, w miarę szeroką w biodrach, z pięknie naznaczonymi brwiami, śmiejącymi się oczyma, drobnymi ząbkami; okrywa ją suknia z czerwonego atlasu: misterny łańcuszek ze złota i kamieni zdobi jej gładkie czoło.

— To królowa — rzekł Kaherdyn po cichu.

— Królowa? — rzekł Tristan — nie, to Kamila, jej służebna.

Wówczas nadjeżdża na karym rumaku inna pani, bielsza niż śnieg lutowy, różowsza niż róża; jasne jej oczy migocą niby gwiazda w źródle.

— Ha! widzę ją, to królowa! — rzekł Kaherdyn.

— Ej, nie — rzekł Tristan — to Brangien, wierna służka.

Wtem droga rozjaśniła się, jak gdyby słońce spłynęło nagle przez sitowie wielkich drzew, i ukazała się Izold Jasnowłosa. Diuk Andret, niech go Bóg pohańbi! jechał po jej prawicy.

W tejże chwili wzniosł się z krzaku głogowego śpiew piegży i skowronka: to Tristan wkładał w tę melodię całą swoją tkliwość. Królowa zrozumiała poselstwo przyjaciela. Spozobegła na ziemi gałązkę leszczyny, w której tkwi mocno źdźbło przewierścienia i myśli w sercu: „Tak i z nami, przyjacielu; ani ty beze mnie, ani ja bez ciebie”.

Zatrzymuje rumaka, zsiada i podchodzi ku kłaczy, która nosiła na sobie budkę bogato ozdobioną kamieniami; tam na purpurowym kobiercu spoczywał piesek Miluś. Bierze go w ramiona, głaszcze dłonią, pieści krajużkiem płaszcz z gronostajów, świadczy mu wszelką czułość. Następnie złożywszy pieska z powrotem w kołyskę, obraca się w stronę głogowego krza i powiada głośno:

— Ptaszyny tego lasu, któreście mnie uweseliły piosenką, biorę was w najem. Podczas gdy mój pan Marek będzie jechał aż do Białej Równi, ja zatrzymam się w zamku Świętego Łubina. Dążcie tam za mną, ptaszyny: dziś wieczór nagrodzę was sówicie jako dobrych minstrelów.

Owóz słuchajcie nowej przygody. W porze gdy przeciągał orszak królewski, tam na drodze, gdzie Gorwenal i giermek Kaherdyna pilnowali koni swych panów, zjawił się rycerz w zbroi, imieniem Bleheri. Poznał z daleka Gorwenala i tarczę Tristanową: „Com ja ujrzał, pomyślał w duchu: to Gorwenal, a ten drugi to sam Tristan w swojej osobie”. Pchnął konia ostrogą ku nim i krzyknął:

— Tristanie!

Ale już giermkowie zatoczyli konie i umknęli. Bleheri, pędząc za nimi, powtarzał:

— Tristanie, stój, zaklinam cię na twe męstwo!

Ale giermkowie nie odwracali się.

Wówczas Bleheri krzyknął:

— Tristanie! Stój, zaklinam cię na imię Izoldy Złotowłosej!

Po trzykroć zaklinał uciekających na imię Złotowłosej Izoldy. Próżno: znikli i Bleheri zdołał dosięgnąć tylko jednego z koni, którego zabrał z sobą jako łup. Przybył do zamku Świętego Łubina w chwili, gdy królowa zajęła tam kwaterę. Zaczem zdybawszy królowę samą, rzekł:

— Królowo, Tristan jest w tej ziemi. Widziałem go na opuszczonej drodze wiodącej z Tyntagielu. Uszedł przede mną. Po trzykroć wzywałem, aby się zatrzymał, zaklinając go na imię Izoldy Jasnowłosej: ale uląkł się, nie śmiał czekać na mnie.

— Dobry panie, powiadasz kłamstwo i szaleństwo: jakoż Tristan mógłby być w tej ziemi? jakoż uciekałby przed tobą? jakoż nie zatrzymałby się, zaklęty na me imię?

— Wszelako, pani, widziałem go i to tak pewnie, iż ująłem jednego z jego koni. Ot, stoi tam okulbaczony, jeszcze na boisku.

Ale Bleheri ujrzał na licu Izoldy gniew. Żal mu się uczyniło, miłował bowiem Tristana i królowę. Opuścił ją, żałując tego, co powiedział.

Wówczas Izolda zapłakała i rzekła:

— Nieszczęśliwa! Zbyt długo żyłam, skoro doczekałam się dnia, w którym Tristan drwi sobie i hańbi mnie! Niegdyś zaklęty na me imię jakimuż nieprzyjacielowi nie stanąłby do oczu? Jest śmiały z przyrody; jeśli uciekł przed Bleherim, jeśli nie raczył zatrzymać się na imię przyjaciółki, ach, to znak, że inna Izolda nim włada! Dlaczego przybył? Zdradził mnie, chciał mnie jeszcze pohańbić na domiar! Nie dosyćże miał moich ubiegłych męczarni? Niechajże wraca tedy, wzgardzony i on wzajem, do Izoldy o Białych Dłoniach.

Zawołała Perynisa, wiernego służkę, i powtórzyła mu nowiny, które Bleheri przyniósł. Dodała:

— Przyjacielu, poszukaj Tristana na opuszczonej drodze, która wiedzie z Tyntagielu do zamku Świętego Łubina. Powiesz, że go nie pozdrawiam i niech nie waży się zbliżyć do mnie, bo go każę przepędzić strażnikom i sługom...

Perynis puścił się w poszukiwanie, aż znalazł Tristana i Kaherdyna. Przekazał im poselstwo królowej.

— Bracie — wykrzyknął Tristan — co wyrzekłeś? Jakoż mógłbym uciekać przed Bleherim, skoro, widzisz sam, nie mamy nawet swoich koni? Gorwenal ich pilnował, nie znaleźliśmy go w umówionym miejscu i szukamy jeszcze.

W tej chwili wrócił Gorwenal i giermek Kaherdynowy: opowiedzieli przygodę.

— Perynis, miły, słodki przyjacielu — rzekł Tristan — wracaj żywo do swej pani. Powiedz, że jej przesyłam cześć i miłość, że nie chybiłem wierze, którą jej jestem dłużen, że jest mi drogą nad wszystkie kobiety w świecie; prosz, aby cię przysłała ku mnie z powrotem, iżbyś mi przyniósł jej łaskę: zaczekam tu, aż wrócisz.

Perynis pognął tedy do królowej i powtórzył, co widział i słyszał. Ale ona nie uwierzyła:

— Ha, Perynis, byłeś mym bliskim i wiernym i ojciec mój przeznaczył cię dzieckiem jeszcze, iżbyś mi służył. Ale snadź Tristan czarownik opętał cię przez kłamstwa i podarki. Ty także zdradziłeś mnie; idź sobie!

Perynis ukląkł przed nią:

— Pani, słyszę twarde słowa. Nigdy nie zaznałem w życiu takiej zgryzoty. Ale mało dbam o siebie: żal mi ciebie, pani, iż czynisz zniewagę panu memu Tristanowi i że zbyt późno pożałujesz tego.

— Idź precz, nie wierzę ci! Ty także, ty, Perynis, Perynis Wierny, zdradziłeś mnie!

Tristan czekał długo, aż Perynis przyniesie mu przebaczenie królowej. Perynis nie przybył.

Rankiem Tristan okrył się wielką postrzępioną burką. Umalował miejscami twarz cynobrem i łupką z orzecha, iżby podobny był choremu zżartemu trędem. Wziął do ręki misę drewnianą dla zbierania jałmużny i grzechotkę trędowatego.

Wchodzi w ulice grodu św. Łubina i zmieniając głos, prosi jałmużny każdego przechodnia. Czy zdoła bodaj ujrzeć królowę?

Wreszcie Izolda wychodzi z zamku; Brangien i inne dworki, słudzy i strażnicy towarzyszą jej. Kieruje się drogą, która wiedzie do kościoła. Trędowaty bieży w trop za służbą, hałasi grzechotką, błaga żałośliwym głosem:

— Królowo, okaż mi łaskę, nie wiesz, jak mi tego trzeba!

Po jego pięknym ciele, po wzroście, Izolda poznała go. Dreszcz przebiegł całą, ale nie raczy zniżyć spojrzenia ku niemu. Trędowaty wciąż błaga: doprawdy, litość była słuchać; wlecze się za nią:

— Królowo, jeśli śmiem zbliżyć się do ciebie, nie gniewaj się; ulituj się nade mną, zasłużyłem na to wielce!

Ale królowa woła swoich sług i strażników:

— Pędźcie precz trędowatego! — rzekła.

Słudzy odpychają go, biją. Opiera się i krzyczy:

— Królowo, miej litość!

Wówczas Izolda wybuchnęła śmiechem. Śmiech jej brzmiał jeszcze, kiedy wchodziła do kościoła. Skoro trędowaty usłyszał jej śmiech, odszedł. Królowa uczyniła kilka kroków w nawie kościoła; potem członki jej ugięły się: upadła na kolana, głową o ziemię, z rozkrzyżowanymi ramionami.

Tegoż samego dnia Tristan pożegnał Dynasa z taką rozpaczą, iż zdawało się, że postradał zmysły. Wnet okręt jego rozwinął żagle ku Bretanii.

Niestety! Niebawem królowa pożałowała tego. Skoro dowiedziała się przez Dynasa z Lidanu, iż Tristan odjechał w takiej żałobie, zaczęła wierzyć, iż Perynis powiedział prawdę; iż Tristan nie uciekł zaklęty na jej imię; iż wygnała go precz bardzo niesłusznie. „Jak to! — myślała — ja ciebie wygnałam, ciebie, Tristanie, przyjacielu! Będziesz mnie nienawidził odtąd i nigdy cię już nie ujrzę. Nigdy nie dowiesz się nawet o mym żalu, ani o tym, jaką karę chcę sobie nałożyć i ofiarować ci jako drobny zakład mej skruchy”.

Od tego dnia, aby się ukarać za swój błąd i szaleństwo, Izold Jasnowłosa przywdziała włosiennicę i nosiła ją na ciele.

XVIII. Szaleństwo Tristana

El beivre fu la nostre mort.

Thomas

Tristan ujrzał z powrotem Bretanię, Karheń, diuka Hoela i żonę swą Izoldę o Białych Dłoniach. Wszyscy przyjęli go wdzięcznie, ale Izold Jasnowłosa wyгнаła go: nic mu już nie ważyło. Długo usychał z dala od niej; wreszcie jednego dnia pomyślał, że chce ją widzieć, chociażby miał jeszcze raz być szpetnie obitym przez sługi i strażników. Z dala od niej czuł, iż śmierć jego jest pewna i bliska; raczej umrzeć od jednego razu, niż konać dzień po dniu. Kto żyje w męczarni, jest jakby umarły. Tristan pragnie śmierci, żąda śmierci; ale niech królowa dowie się bodaj, że zginął z miłości dla niej: niech się dowie, a lżej mu będzie umrzeć.

Wyrusza z Karhenia, nie uprzedzając nikogo, ani krewnych, ani przyjaciół, ani Kaherdyna, drogiego towarzysza. Ruszył nędznie odziany, pieszo: nikt bowiem nie zwraca uwagi na biednych łazików wędrujących po gościńcach. Szedł póty, aż doszedł do brzegu morza.

W porcie wielki statek kupiecki gotował się do odjazdu; już majtkowie naciągali żagiel i podnosili kotwicę, aby pomknąć na pełne morze.

— Boże was chroń, panowie, obyście mogli żeglować szczęśliwie! Ku jakiej ziemi płyniecie?

— Do Tyntagielu.

— Do Tyntagielu? Ach, panowie, weźcie mnie z sobą!

Dopada statku. Wiatr pomyślny wzdyma żagle, statek pomyka przez fale. Pięć nocy i pięć dni żeglował prosto do Kornwalii, zasię szóstego dnia zarzucił kotwicę w porcie Tyntagielu.

Poza portem zamek wznosił się nad morzem, dobrze zamknięty ze wszystkich stron; można doń było wejść tylko przez jedną bramę z żelaza, a dwóch czujnych strażników strzegło jej dzień i noc. Jak dostać się do wnętrza?

Tristan zeszedł ze statku i usiadł na wybrzeżu. Dowiedział się od przechodzącego człowieka, że Marek jest w zamku i właśnie podejmuje w nim całe baroństwo.

– Ale gdzie królowa? I Brangien, jej piękna służebnica?

– Są także w Tyntagielu, niedawno je widziałem: królowa Izolda zdawała się smutna jak zwyczajnie.

Na imię Izoldy Tristan westchnął i pomyślał, iż ani chytrą, ani siłą nie zdoła ujrzeć przyjaciółki: król Marek zabiłby go...

„I cóż, że mnie zabije? Izold, nie przystałoby mi umrzeć dla twojej miłości? I cóż czynię każdego dnia, jeśli nie umieram? Ale ty, Izoldo, gdybyś wiedziała, że jestem tutaj, żaliłabyś bodaj przemówić do przyjaciela? Nie dałabyś mnie wygnąć strażnikom? Tak, chcę ważyć się na podstęp. Przebiorę się za szalonego, a w tym szaleństwie będzie wielka mądrość. Niejeden będzie mnie miał za głupka, który będzie mniej mądry ode mnie, niejeden będzie mnie miał za szalonego, który hoduje szaleńszego pod swym dachem”.

Przechodził mimo rybak odziany w burkę z kosmatej siermięgi, z wielkim kapturem. Tristan widzi go, czyni znak, bierze go na ubocze:

– Przyjacielu, chcesz zamienić się ze mną na suknie? Daj mi swój płaszcz: udał mi się wielce.

Rybak spojrzawszy na suknie Tristana, wydały mu się lepsze niż własne, wziął bez wahania i odszedł szybko, szczęśliwy z zamiany.

Wówczas Tristan wystrzygł piękne jasne kędziory tuż przy głowie, jakoby w znak krzyża. Pociągnął twarz płynem z magicznego zioła, które miał ze swego kraju, i natychmiast kolor i wygląd twarzy odmieniły się tak osobliwie, iż żaden człowiek w świecie nie zdołałby go poznać. Wyrwał z żywopłotu gałąź kasztana, uczynił z niej maczugę i zawiesił ją na szyi; po czym bosko ruszył prosto do zamku.

Odźwierny myślał, iż pewnie to jest szalony, i rzekł:

– Zbliź się; gdzieżeś to przebywał tak długo?

Tristan zmienił głos i odparł:

– Na weselu opata z Mont, mego kmotra. Ożenił się z przeoryszą, tłustą damulką w kwefie. Z Besançon aż do Mont wszyscy księża, opaci, mnichy i klerycy zjechali się zaproszeni na weselisko; wszystko, co tylko nosi kostur i pastorał, skacze, igra i tańczy w cieniu wielkich drzew na równinie. Ale opuściłem ich, aby przybyć tutaj: mam bo dziś usługiwać u stołu króla jegomości.

Odźwierny rzekł:

– Wejdz tedy, panie, synu Urgana Włochatego; jesteś wielki i kosmaty jak on, i dość podobny do ojca.

Skoro wszedł do ogrodu, igrając maczugą, słudzy i giermkowie zastępowali mu drogę, szcując jak wilka:

— Widzicie szalonego! hu! hu! a hu!

Rzucają kamienie, nacierają kijami; ale on wymyka się podskakując i zgoła się nie broni: kiedy go przypierają z lewej, on odwraca się i wali w prawo.

Pośród śmiechu i krzyków, wlokąc za sobą rozigraną ciżbę ludu, przybył na próg komnaty, gdzie pod baldakinem, u boku królowej zasiadał król Marek. Zbliżył się do drzwi, zawiesił maczugę na szyi i wszedł. Król ujrzał go i rzecze:

— Oto mi dobry kompan; dawajcież go bliżej!

Wiodą go z maczugą u szyi.

— Przyjacielu, bądź pozdrowiony!

Tristan odparł dziwacznie odmienionym głosem:

— Panie szlachetny i dobry wśród wszystkich królów, mniemałem, iż na twój widok serce moje rozplynie się z czułości. Niech Bóg cię ma w swej pieczy, miły panie!

— Przyjacielu, czegożeś przyszedł szukać tutaj?

— Izoldy, którą tak bardzo kochałem. Mam siostrę, którą ci prowadzę, wielce nadobną Brunhildę. Królowa przykrzy ci się, spróbuj innej; uczynimy zamianę, ja ci dam moją siostrę, ty przyzwól mi Izoldę, wezmę ją i będę ci służył z dobrej woli.

Król uśmieł się i rzekł do szaleńca:

— Jeśli ci dam królowę, cóż z nią poczniesz? Gdzie ją zawiedziesz?

— Het, w górę, między niebo a chmury, do pięknego domku ze szkła. Słońce przenika go promieniami, wiatry nie mogą nim wstrząsnąć; zaniosę tam królowę do komnaty z kryształu, uwieńczonej różami, całej lśniącej w poranku, skoro słońce na nią padnie.

Król i baronowie rzekli między sobą.

— Otoć tęgi szaleniec, bystry zaiste w słowach!

Usiadł na kobiercu i patrzył czule na Izoldę.

— Przyjacielu — rzekł Marek — skąd ci się bierze nadzieja, że moja pani zechce popatrzeć na szaleńca szpetnego jak ty?

— Królu, mam prawo po temu, spełniłem dla niej niejedno dzieło i przez nią to popadłem w szaleństwo.

— Któżżeś ty jest?

— Jestem Tristan, ten, który tak kochał królowę i który będzie ją kochał aż do śmierci!

Na to imię Izolda westchnęła, zmieniła barwę na licu i zgniewana rzekła:

— Idź precz! kto cię tu wpuścił! Idź precz, nędzny szaleńcze!

Szalony spostrzegł jej gniew i rzekł:

— Królowo Izoldo, żali nie przypominasz sobie dnia, w którym schorzały od zatrutej szabli Morhołta, wzięwszy swą lutnię na morze, przybiłem do twych brzegów? Tyś mnie uleczyła. Nie przypominasz już sobie, królowo?

Izolda odparła:

— Idź precz stąd, szaleńcze, ani twoje zabawy nie są mi miłe, ani ty.

Wraz obłąkany obrócił się ku baronom i pędził ich do drzwi, krzycząc:

— Precz stąd, szaleńcy! Dajcie mi samemu uradzać z Izoldą: przyszedłem tu, aby jej świadczyć miłość.

Król uśmieł się, Izold sczerwieniała:

— Królu, wygnaj tego mózgowca!

Ale ów odparł, wciąż dziwacznym głosem:

— Królowo Izoldo, żali nie przypominasz sobie wielkiego smoka, którego zabiłem na twojej ziemi? Ukryłem język w pludrach i zżarty jego trucizną upadłem w podłe bagniska. Był ze mnie wówczas gracki rycerz!... Czekałem śmierci, kiedyś mi przysłała z pomocą.

Izold odparła:

— Milcz, zniewagę czynisz rycerzom, zrodziłeś się bowiem i umrzesz tylko mózgowcem. Przeklęci niech będą żeglarze, którzy cię tu przywiedli, zamiast cię wrzucić w morze.

Szalony wybuchnął śmiechem i ciągnął dalej:

— Królowo Izoldo, nie przypominasz sobie kąpieli, w której mnie chciałaś zabić własnym mieczem? opowieści o Złotym Włosie, która cię uśmierzyła? i jak cię obroniłem przeciw kasztelanowi o zajęczym sercu?

— Zamilcz, lichy bazarzu! Po co przyszedłeś opowiadać tu swoje majaki. Upiłeś się wczoraj wieczór, bez ochyby, i pijaństwo zległo w tobie te brednie.

— To prawda, jestem pijany i takim napojem, iż nigdy to pijaństwo się nie rozproszy. Królowo Izoldo, żali nie pomnisz tego tak pięknego, upalnego dnia na pełnym morzu? Uczułaś pragnienie, nie pamiętasz tego, córo królewska? Piliśmy oboje z jednego pucharu. Od tego czasu byłem zawsze pijany i złym pijaństwem...

Skoro Izold usłyszała te słowa, które ona jedna mogła zrozumieć, ukryła głowę w płaszczu, podniosła się i chciała odejść. Ale król przytrzymał ją za gronostajowy płaszcz i posadził u boku:

— Czekaj trochę, Izoldo miła, iżbyśmy wysłuchali tych błazeństw do końca. Błaźnie, jakie rzemiosło potrafisz?

— Sługiwałem królom i hrabiom.

— Bez łgarstwa, umiesz polować z psem, z ptakiem?

— Hej, hej! kiedy mi przyjdzie ochota zapolować w boru, umiem poszczuć chartami żurawie latające po chmurach; ogarami szare i białe gęsi, gołębie dzikie; sokołem nurki i bąki wodne!

Wszyscy naśmieli się do rozpuku, król zaś spytał:

— A cóż łowisz, bracie, kiedy polujesz na rzeczną zwierzynę?

— Wszystko, co znajdę: kobuzem wilki leśne i wielkie niedźwiedzie; krogulcem dziki; jastrzębiem łanie i daniele; białozorem lisy i zające. A kiedy zajdę do kogoś w gościnę, umiem pięknie igrać tą maczugą, rozdawać żarzące główne między giermków, stroić lutnię i śpiewać przy niej, i miłować królowę, i rzucać na potok wióry misternie strugane. Zaiste, żali nie jestem dobrym minstrelem? Ot, dzisiaj, widzieliście, jako umiem szermować na kije.

I wali maczugą dokoła siebie.

— Idźcie stąd — krzyczy — panowie szlachta Kornwalii! Po co was tutaj? Nie pojedliście już? Nie napchaliście bandziochów?

Król, ubawiwszy się szaleńcem, zażądał rumaka i sokołów i wziął na łowy rycerzy i giermków.

— Panie — rzekła Izolda — czuję się znużona i cierpiąca. Pozwól, bym poszła spocząć w komnacie; nie mogę już dłużej słuchać tych szaleństw.

Oddaliła się zamyślona do komnaty, siadła na łóżku i poczęła zawodzić:

— Nieszczęsna! Po cóż się zrodziłam? Serce mam ciężkie i stroskane. Brangien, droga siostrze, życie jest tak dotkliwe i twarde, iż lepsza śmierć! Jest tam szalenie ostrzyżony w znak krzyża, który w złą godzinę przybył do tego zamku: ten szaleniec, ten kuglarz jest znachorem lub wróżbitą, zna bowiem godzina po godzinie istotę mą i życie; wie rzeczy, których nie wie nikt, prócz mnie, ciebie i Tristana; zna je, ten włóczęga plugawy, przez czary i uroki.

Brangien odparła:

— Nie byłoby to sam Tristan?

— Nie, Tristan jest piękny i najdzielniejszy z rycerzy: ten zasię szpetny i pokraczny. Niech będzie przeklęty od Boga! Przeklęta niech będzie godzina, w której się urodził, i przeklęty statek, który go przyniósł, zamiast utopić w morzu pod głębokimi falami!

— Uspokój się, pani — rzekła Brangien. — Nadto dobrze umiesz dziś złorzeczyć i przeklinać. Gdzie to nauczyłaś się takiego rzemiosła? Ale może ten człowiek jest posłańcem Tristana?

— Nie zdaje mi się, nie widziałam znaku. Ale idź go odszukaj, miła przyjaciółko, przemów doń, zobaczysz, czy go poznasz.

Brangien udała się do sali, gdzie szaleniec został sam, siedząc na ławie. Tristan poznał ją, upuścił maczugę i rzekł:

— Brangien, luba Brangien, zaklinam cię przez Boga, miej litość nade mną!

— Szpetny szaleńcze, któryż diabeł nauczył cię mego imienia?

— Piękna, od dawna się go nauczyłem! Na mą głowę, która niegdyś była jasnowłosa, jeśli rozum uleciał z tej mózgownicy, to ty, piękna, jesteś tego przyczyną. Czy nie ty miałaś strzec napoju, którego napiłem się na pełnym morzu? Piłem go w wielki upał, w srebrnym pucharze i dałem pić Izoldzie. Ty jedna wiedziałaś o tym, piękna: żali już nie pamiętasz?

— Nie! — odparła Brangien i pomieszana pomknęła do komnaty Izoldy; ale szaleniec puścił się za nią, wołając: „Litości!”.

Wchodzi, widzi Izoldę, rzuca się ku niej z wyciągniętymi ramionami, chce ją przycisnąć do piersi, ale ona, zawstydzona, oblana potem przerażenia, wygina się w tył i umyka mu. Widząc, iż unika jego dotknięcia, Tristan drży z upokorzenia i złości, cofa się aż pod ścianę blisko drzwi i ciągle zmienionym głosem mówi:

— Wierę, zbyt długo żyłem, skoro ujrzałem dzień, w którym Izolda mnie odtrąca, nie raczy mnie kochać, czuje wstręt do mnie! Ha! Izoldo! kto dobrze miłuje, nierychło zapomina! Izoldo, piękna to i kosztowna rzecz źródło obfite, które rozlewa się i biegnie szeroką i jasną falą: w dzień, w którym wyschnie, nie jest już warte nic; tak i miłość, która wysycha.

Izold odparła:

— Bracie, patrzę na ciebie, waham się, drzę, nie wiem, nie poznaję Tristana.

— Królowo Izoldo, jam jest Tristan, ten, który cię tyle miłował. Nie pamiętaszże karła, który nasypał mąki między nasze łoża? i jakom skoczył do ciebie, i krwi, która pociekła mi z rany? i podarku, który ci przesłałem, i pieska Milusia z czarodziejskim

dzwoneczkiem? Nie pamiętaszże misternie struganych wiórów, które rzucałem do potoku?

Izolda patrzy nań, wzdycha, nie wie, co powiedzieć i co mniemać, widzi dobrze, że przybysz wie wszystko, ale szaleństwem byłoby wierzyć, że to Tristan; Tristan zaś mówi:

— Pani królowo, widzę jasno, że odstrychnęłaś się ode mnie i obwiniam cię o zdradę. Znałem wszelako, piękna, dni, w których miłowałaś mnie miłością. Było to w głębokim lesie, pod sklepieniem z liści. Pamiętasz jeszcze dzień, w którym ci dałem dobrego psa Łapaja? Ha! ten zawsze mnie kochał, dla mnie opuściłby Izoldę Jasnowłosą. Gdzie on? Coś z nim uczyniła? On przynajmniej, on by mnie poznał!

— Poznałby cię? Szaleństwo prawisz; od czasu jak Tristan odjechał, leży zagrzebany w budzie i rzuca się na każdego, kto się doń zbliży. Brangien, przyprowadź go!

Brangien sprowadza psa.

— Pójdź tu, Łapaj — rzekł Tristan — byłeś mój, zabieram cię z powrotem.

Skoro Łapaj usłyszał głos, wydiera smycz z rąk Brangien, pędzi do pana, zwija się u jego nóg, liże ręce, szczeka z radości.

— Łapaj — woła szaleniec — Łapaj, błogosławiony niech będzie trud, który zadałem sobie, aby cię wychować! Zgotowałem mi lepsze przyjęcie niż ta, którą tyle kochałem. Nie chce mnie nawet poznać; czy pozna bodaj ten pierścień, który mi dała niegdyś wśród płaczów i pocałunków, w dzień rozłączenia? Ten pierścionek z jaspisu nigdy mnie nie opuścił: często szukałem w nim rady w cierpieniach, często wilżyłem ten zielony jaspis gorącymi łzami.

Izolda ujrzała pierścień. Otwiera ramiona na oścież.

— Otom jest! Bierz mnie, Tristanie!

Wówczas Tristan przestał odmieniać głos:

— Miła, jak mogłaś nie poznać mnie tak długo, dłużej niż ten pies? Co znaczy pierścień? Nie czujesz, iż słodziej byłoby mi być poznanym na samo przypomnienie dawnego miłowania? Cóż znaczy dźwięk głosu? Dźwięk serca winnaś była usłyszeć!

— Miły — rzekła Izolda — może usłyszałam wcześniej, niż myślisz; ale jesteśmy otoczeni zdradą: mogłamż była jak ten pies, iść za swym pragnieniem, narażając, by cię ujęto i zabito w mych oczach? Strzegłam siebie i strzegłam ciebie. Ani przypomnienie przeszłego życia, ani dźwięk głosu, ani ten pierścień nawet nie dowodzą mi niczego, mogą to bowiem być zradne igraszki czarownika. Poddaję się wszelako na widok pierścienia: żali nie przysięgłam, iż natychmiast skoro go tylko ujrzę, choćbym się miała

zgubić, zrobię zawsze, co mi każesz, bądźli to rozsądek czy szaleństwo. Rozsądek li to, czy szaleństwo, oto jestem; bierz mnie Tristanie!

Padła zemdlona na pierś przyjaciela. Kiedy przysła do siebie, Tristan trzymał ją w objęciu, całował oczy i lica. Wchodzi z nią pod zasłonę. W ramionach swych dzierży królowę.

Aby zabawić się szalonym, sługi pomieścili go pod schodami niby psa w budzie. Cierpiał łagodnie drwiny ich i razy; za to niekiedy, przybierając prawdziwą postać i urodę, przemykał się ze swego barłogu do komnat królowej.

Ale po upływie kilku dni pokojowe przewąchały zdradę; ostrzegły Andreta, który postawił pod komnatami niewiast trzech bardzo dobrze uzbrojonych szpiegów. Kiedy Tristan chciał przekroczyć próg:

— Precz, mózgowcze — krzyknęli — wracaj ligać na wiązce słomy!

— Jakże to, zacni panowie — rzekł szalony — żali nie godzi mi się dziś wieczór uściskać królowej? Nie wiecież to, że mnie miłuje i czeka na mnie?

Tristan zawiął maczugą; ulękli się i dali mu wejść. Wziął Izoldę w ramiona:

— Miła, trzeba już uciekać, niedługo bowiem odkryją mnie. Trzeba mi uciekać i nigdy pewno nie wrócę. Śmierć moja bliska: z dala od ciebie umrę z mego pragnienia.

— Miły, zamknij ramiona i obłap mnie tak ciasno, iżby w tym uścisku serca nasze rozpekły się i dusze uleciały! Zabierz mnie w kraj szczęśliwy, o którym niegdyś mówiłeś: w kraj, skąd nikt nie wraca, gdzie najwyborniejsi śpiewacy śpiewają pieśni bez końca. Zabierz mnie!

— Tak, zabiorę cię w szczęśliwy kraj Żywych. Czas zbliża się; czy nie wypiliśmy już całej nędzy i całej radości? Czas zbliża się; skoro dopełni się ze wszystkim, jeśli cię zawołam, Izoldo, czy przyjdiesz?

— Miły, zawołaj mnie! Ty wiesz, że przyjdę!

— Miła, niech Bóg cię nagrodzi!

Skoro przekroczył próg, szpiedzy rzucili się ku niemu. Ale szaleniec wybuchnął śmiechem, okręcił maczugę i rzekł:

— Wypędzacie mnie, dobrzy panowie, i po co? Nie mam już co robić tutaj, skoro moja pani posyła mnie daleko, abym zgotował jasny dom, który jej przyrzekłem, dom z kryształu, kwitnący różami, lśniący w poranku, gdy go oświeci słońce!

— Idźże tedy, mózgowcze, na złamanie karku!

Słudzy rozstąpili się i szaleniec bez pośpiechu oddalił się, tańcząc.

XIX. Śmierć

Amor condusse noi ad una morte.

Dante, Inf. c. V

Ledwie powrócił do Małej Bretanii, do Karhenia, Tristan, śpiesząc z pomocą ukochanemu druhowi Kaherdynowi, wdał się w bitwę z baronem imieniem Bedalis. Wpadł w zasadzkę zastawioną przez Bedalisa i jego braci. Tristan zabił siedmiu braci. Ale sam otrzymał ranę od lancy, a lanca była zatruta.

Wrócił z wielkim trudem do Karheńskiego zamku i dał sobie opatrzyć rany. Lekarze zbiegli się w wielkiej ciżbie, ale żaden nie umiał wyleczyć trucizny, zgoła jej nawet nie odkryli. Nie umieli sporządzać żadnego plastru, aby wywabić jad na zewnątrz; próżno ubijają i mielą korzenie, zbierają zioła, warzą napoje; Tristan miewa się coraz gorzej, jad rozchodzi się po ciele, on sam blednie i coraz bardziej świeci kośćmi pod skórą.

Uczuł, że życie zeń ucieka. Zrozumiał, że trzeba umrzeć. Wówczas, zapragnął ujrzeć Izoldę Jasnowłosą. Ale jak iść ku niej? Jest tak słaby, iż morze by go zabiło; a gdyby nawet dostał się do Kornwalii, jak umknąć nieprzyjaciółom? Tak lamentuje, trucizna go pożera, czeka śmierci.

Wezwał tajemnie Kaherdyna, aby mu odsłonić swą boleść, miłowali się bowiem wierną miłością. Zażądał, aby nikt nie pozostawał w komnacie, prócz Kaherdyna i nawet aby nikogo nie było w sąsiednich salach. Izolda, żona prawowita, zdumiewała się w sercu temu osobliwemu życzeniu. Odeszła przestraszona i chciała słyszeć rozmowę. Poszła na dwór przyłożyć ucho do ściany, przy której stało łóżko Tristana. Słucha, a jeden z wiernych stoi na straży, iżby jej nikt nie zaskoczył.

Tristan zbiera siły, podnosi się, opiera o ścianę. Kaherdyn siada obok i obaj płaczą razem w wielkiej czułości! Płaczą po swoim dobrym braterstwie broni, tak rychło przerwany, po swej przyjaźni i swoich miłowaniach; jeden żali się nad drugim.

— Miły, słodki przyjacielu — rzekł Tristan — jestem tu w ziemi cudzoziemskiej, gdzie nie mam krewnego ani przyjaciela, wyjąwszy ciebie; ty jeden w tej krainie dałeś mi radość i pocieszenie. Tracę życie, chciałbym ujrzeć przed śmiercią Izoldę Jasnowłosą. Ale jak, przez jaką sztukę powiadomić ją o mej potrzebie? Ha! gdybym znał posłańca, który by zechciał udać się do niej, przybyłaby, tak bardzo mnie kocha! Kaherdynie, miły druhu, przez przyjaźń naszą, przez szlachectwo twego serca, przez nasze braterstwo

broni, błagam cię: odważ się dla mnie na tę przygodę. Jeśli zanieśiesz jej poselstwo, stanę się twym dozgonnym lennikiem i będę cię miłował ponad wszystkich ludzi.

Kaherdyn widzi, jak Tristan płacze, smuci się, zawodzi; serce w nim mięknie od czułości; odpowiada łagodnie, z miłością:

— Luby towarzyszu, nie płacz już, spełnię wszystko twoje pragnienie. Tak, przyjacielu, dla twej miłości ważyłbym się i na śmiertelną przygodę. Żaden wstręt, żadna męka nie przeszkodzi mi uczynić, co będzie w mej mocy. Powiedz, co chcesz zlecić królowej, a idę gotować się do drogi.

Tristan odpowiedział:

— Przyjacielu, niech ci Bóg nagrodzi! Owóz, słuchaj mojej prośby. Weź ten pierścień: to znak między nią a mną. Kiedy przybędziesz do jej ziemi, dostań się na dwór jako kupiec. Przedstaw jedwabne materie, spraw, iżby ujrzała ten pierścień: natychmiast znajdzie jaki podstęp, aby pomówić z tobą na uboczu. Wówczas powiedz, aby wspomniała na minione rozkosze i wielkie niedole, i wielkie smutki, i radości, i słodczyce naszej miłości szczerzej i czulej. Niech wspomni napój, który piliśmy społem na morzu: ha! to śmierć własną wypiliśmy w pucharze! Niech wspomni przysięgę, którą uczyniłem, iż nie będę miłował nikogo prócz niej: dotrzymałem tej przysięgi.

Z tyłu, za ścianą, Izold o Białych Dłoniach usłyszała te słowa, omal nie zemdląła.

— Śpiesz się towarzyszu i wracaj rychło ku mnie; jeśli się spóźnisz, nie ujrzysz mnie więcej. Daję ci oto czterdzieści dni czasu, abyś przywiódł Izold Jasnowłosą. Ukryj wyjazd przed siostrą lub powiedz, że jedziesz szukać lekarza. Siędziesz na mój piękny statek, weź z sobą dwa żagle: jeden biały, drugi czarny. Jeśli przywieziesz królowę Izoldę, rozwiń za powrotem żagiel biały; jeśli nie przywieziesz, pomykaj pod żaglem czarnym. Przyjacielu, nie mam ci już nic do powiedzenia: niech Bóg cię prowadzi i wraca cię zdrowym i całym!

Wzdycha, płacze i zawodzi. Kaherdyn płacze również, całuje Tristana.

Z pierwszym wiatrem puścił się na morze. Majtkowie wyciągnęli kotwicę, nastawili żagiel, pomknęli z lekkim wiatrem i dziób statku jał pruć wyniosłe i głębokie fale. Wieźli z sobą bogate towary, jedwabne kobierce barwione rzadkimi kolorami, piękne naczynia wypalane w Tours, wina z Poitou, kobuzy hiszpańskie; tą sztuką spodziewał się Kaherdyn dotrzeć w pobliże Izoldy. Osiem dni i osiem nocy pruli fale i żeglowali pełnymi żaglami ku Kornwalii.

Gniew niewieści to rzecz straszliwa i niechaj każdy go się strzeże! Kędy kobieta najwięcej kochała, tam też mścić się będzie najokrutniej. Miłość kobiet przechodzi

szybko i szybko też przychodzi ich nienawiść; a nieprzyjaźń, skoro raz przyjdzie, dłużej trwa aniżeli przyjaźń. Stojąc przyłgniona do ściany, Izolda o Białych Dłoniach słyszała każde słowo. Ona tak kochała Tristana!... Poznała wreszcie jego miłość dla innej! Zapamiętała usłyszane rzeczy; któregoś dnia, jeżeli zdoła, jakże się zemści na tym, którego kocha ponad wszystko w świecie! W tej chwili nie zdradziła się niczym; skoro otwarto drzwi, weszła do komnaty Tristana i ukrywając gniew, dalej służyła mu, dogadzała i karmiła, jak przystało szczerzej kochance. Mówiła doń łaskawie, całowała go w usta i pytała, czy Kaherdyn wróci niebawem z lekarzem, który go ma uleczyć... Ale ciągle myśli o zemście...

Kaherdyn nie przestał żeglować, póki nie zarzucił kotwicy w porcie Tyntagielu. Wziął na pięść wielkiego kobuza, wziął sukno rzadkiego koloru, pięknie wyrobiony puchar: uczynił z nich podarek królowi Markowi i poprosił dwornie o przyzwolenstwo i zgodę, iżby mógł handlować w jego ziemi bez krzywdy od podkomorznych i wicehrabiów. I król przyzwolił mu, wobec całego dworu.

Wówczas Kaherdyn ofiarował królowej misternie wyrobioną klamrę ze szczerzego złota:

— Królowo — rzekł — otoć prawdziwe złoto. — Po czym ściągnąwszy z palca pierścień Tristanowy, położył go obok klejnotu. — Patrz, królowo, złoto tej klamry jest bogatsze, wszelako złoto pierścienia też ma swoją cenę.

Kiedy Izolda poznała pierścień z zielonego jaspisu, serce jej zadrzało, zmieniła się na twarzy. Bojąc się tego, co ma usłyszeć, pociągnęła Kaherdyna na ubocze, blisko okna, jak gdyby chcąc lepiej obejrzeć i stargować pierścień. Kaherdyn rzekł szybko:

— Pani, Tristan leży zraniony zatrutą lancą i ma umrzeć. Przekazuje ci, pani, że ty jedna możesz przynieść mu ratunek. Przypomina wielkie niedole i cierpienia poniesione razem. Zachowaj ten pierścień, daje ci go.

Izolda odparła, ślaniając się:

— Przyjacielu, pośpiesz z tobą. Jutro rankiem niechaj statek będzie gotów rozwinąć żagle.

Nazajutrz rankiem królowa rzekła, iż chce polować z sokołem i kazała narządzić psy i ptaki. Ale diuk Andret, który ciągle ją szpiegował, towarzyszył jej. Skoro znaleźli się w polu, niedaleko morza, zerwał się bażant. Andret wypuścił sokoła, aby go ująć, ale czas był piękny i jasny, sokół poszybował i znikł.

— Spójrz, panie Andrecie — rzekła królowa — sokół przysiadł tam w porcie na maszcie jakowegoś obcego okrętu.

— Pani — rzekł Andret — to statek kupca z Bretanii, który wczoraj uczynił ci podarek ze złotej klamry. Chodźmyż odebrać sokoła!

Kaherdyn przerzucił deskę na kształt mostku ze statku na brzeg. Wszedł na spotkanie królowej:

— Pani, gdyby łaska, wstąpiłibyście na statek, pokazałbym wam swój bogaty towar.

— Chętnie, panie — odparła królowa.

Zstępuje z konia, idzie prosto ku desce, przebywa ją, wchodzi na statek. Andret chce iść za nią i puszcza się przez deskę: ale Kaherdyn, stojący na kraju pokładu, uderza go wiosłem. Andret chwije się i pada w morze. Chce się ratować, ale Kaherdyn uderza go raz po raz wiosłem, zanurza go pod wodę i woła:

— Umieraj, zdrajco! Oto zapłata za wszystko zło, które przez ciebie wycierpieli Tristan i królowa Izolda!

Tak Bóg pomścił kochanków na zdrajcach, którzy ich tak bardzo nienawidzili! Wszyscy czterej pomarli: Gwenelon, Gondoin, Denoalen, Andret.

Podniesiono kotwicę, maszt nastawiono w górę, żagiel rozpięto. Świeży wiatr poranny śwista po linach i wzdyma płótna. Statek pomknął het, z portu na pełne morze, białe i błyszczące w oddali pod promieniami słońca.

A tam, w karheńskim zamku, Tristan usycha. Pożąda przybycia Izoldy. Nic go już nie jest zdolne skrzepić; jeśli żyje jeszcze, to tym, że czeka. Każdego dnia posyła na brzeg, aby śledzić, czy statek wraca i pod jakim żaglem; żadne inne pragnienie nie postanie mu już w sercu. Niebawem kazał się zanieść na urwiska Penmarchu i tak długo, jak długo słońce jaśnieje jeszcze nad widnokretem, patrzył daleko na morze.

Słuchajcież, panowie, przygody bolesnej i żałośliwej dla wszystkich, którzy kochają. Już Izolda zbliża się: już urwisko Penmarchu podnosi się w dali i statek pomyka radośniej. Naraz zrywa się burza, uderza prosto w żagiel i okręca statek. Żeglarze biegną w stronę wiatru i wbrew chęci nawracają wstecz. Wiatr szaleje, głębokie fale wzruszają się, powietrze zgęszcza się w ciemność, morze czernieje, deszcz wali strugami. Liny i powrozy trzaskają, majtkowie spuszczaają żagiel i kręcą się wedle zachcenia fali i wiatru. Na swe nieszczęście zapomnieli wciągnąć na pokład barki umocowanej z tyłu statku, która pruć fale jego śladem. Fala druzgoce ją i unosi.

Izolda woła:

— Niestety! Ja nieszczęsna! Bóg nie chce, bym żyła dość długo, aby zobaczyć Tristana, mego przyjaciela, raz jeszcze, jedyny raz tylko; chce, bym utonęła w tym morzu. Tristanie, gdybym mogła mówić z tobą jeszcze raz jeden, mało by mi ważyło umrzeć potem! Przyjacielu mój, jeśli nie dobiję do ciebie, to znaczy, że Bóg tego nie chce, i to moja największa boleść. Śmierć mi jest niczym: jeśli Bóg jej życzy, przyjmę ją, ale ty, miły, skoro dowiesz się o niej, umrzesz, wiem o tym. Takie jest nasze miłowanie, iż nie możesz ty umrzeć beze mnie, ani ja bez ciebie. Widzę twą śmierć przed oczyma równocześnie z moją. Niestety, przyjacielu mój, minęłam się z mym pragnieniem; było nim umrzeć w twych ramionach, być pogrzebioną w twojej trumnie; ale minęło nas to! Umrę sama, bez ciebie, zatonę w tym morzu. Może nie dowiesz się o mej śmierci, będziesz żył, czekając ciągle przybycia. Jeśli Bóg zechce, ozdrowiejesz nawet... Ha! może będziesz po mnie kochał inną kobietę, będziesz kochał Izoldę o Białych Dłoniach! Nie wiem, co z tobą się stanie: co do mnie, miły mój, gdybym wiedziała, żeś zginął, nie przeżyłabym tego. Niech Bóg nam przyzwoli, przyjacielu mój, albo iżbym cię uleczyła, albo byśmy pomarli oboje w tej samej męce!

Tak jęczy królowa przez cały czas, póki trwało niebezpieczeństwo. Ale po pięciu dniach burza uśmierzyła się. Na samym szczycie masztu Kaherdyn rozpina radośnie biały żagiel, iżby Tristan rozpoznał z daleka swą barwę. Już Kaherdyn widzi wybrzeże Bretanii... Niestety! prawie natychmiast cisza morską nastąpiła po burzy; morze stało się spokojne i zupełnie gładkie, wiatr przestał wzdymać płótna i marynarze próżno kręcili żaglem w prawo i lewo, w przód i w tył. Z daleka widzieli brzegi, ale burza uniosła barcę, tak iż nie mogli lądować. Trzeciej nocy Izolda śniła, iż trzyma na podołku głowę wielkiego dzika, który broczy jej suknie krwią. Poznała stąd, iż nie ujrzy swego przyjaciela żywym.

Tristan był już zbyt słaby, aby czuwać na urwisku. Od wielu dni przykuty do łoża, z dala od brzegu płakał za Izoldą, która nie przybywała. Zbolały i wyczerpany, zawodzi, wzdycha, miota się; mało brak, aby nie umarł od swego pragnienia.

Wreszcie wiatr zrywa się i biały żagiel błyska na widnokręgu. Wówczas Izolda o Białych Dłoniach pomściła się.

Przychodzi do łoża Tristana i rzecze:

— Panie mój miły, Kaherdyn przybywa. Ujrzałam statek na morzu; posuwa się z wielkim trudem: mimo to poznałam go; obyż mógł przywieźć coś, co by cię uleczyło!

Tristan zadrżał.

— Pani nadobna, jesteś pewna, że to jego statek? Owóż powiedz mi, jaki na nim żagiel?

— Widziałam dobrze, rozwinęli go i umocowali wysoko, wiatru bowiem mają skąpo. Wiedz, że jest cały czarny.

Tristan obrócił się do ściany i rzekł:

— Nie mogę strzymać życia dłużej. — Rzekł po trzykroć: — Izold, przyjaciółko moja! — Za czwartym razem oddał ducha.

Wówczas po całym dworzyszczu zapłakali rycerze, druhy Tristana. Zdjęli go z łóżka, wyciągnęli na bogatym kobiercu i okryli ciało całunem.

A na morzu wiatr świstał i dął w sam środek żagla. Przyplłynął statek aż do ziemi. Izolda Jasnowłosa wysiadła na ląd. Usłyszała wielkie lamenty po ulicy, dzwony bijące w kaplicach i klasztorach. Pyta ludzi miejscowych, czemu te płacze.

Starzec jakiś rzekł:

— Pani, mamy wielką boleść. Tristan, druh nasz szczerzy, dzielny, umarł. Był szczodry dla potrzebujących, usłużny cierpiącym. To największa klęska, jaka kiedykolwiek spadła na ten kraj.

Izolda słyszy, nie może wymówić słowa. Wstępuje ku pałacowi. Kroczy ulicą, z rozwianą suknią. Bretonowie cudują patrzą na nią; nigdy nie widzieli kobiety równej piękności. Kto to taki? Skąd przybywa?

Przy ciele Tristana Izolda o Białych Dłoniach, oszalała nieszczęściem, które sprawiła, wydawała wielkie krzyki nad trupem. Druga Izolda weszła i rzecze:

— Pani, powstań i pozwól mnie się zbliżyć. Więcej mam praw oplakiwać go niż ty, wierzaj mi. Bardziej go miłowałam.

Obróciła się ku wschodowi i pomodliła Bogu. Potem odkryła nieco zwłoki, ułożyła się przy nich, wzdłuż swego przyjaciela, ucałowała mu usta i twarz i oblapiała go ciasno: ciało przy ciele, usta przy ustach. I tak oddała duszę, umarła przy nim z boleści po miłym przyjacielu.

Kiedy król Marek dowiedział się o śmierci kochanków, przebył morze i przybywszy do Bretanii, kazał uczynić dwie trumny: jedną z chalcedonu dla Izoldy, drugą z berylu dla Tristana. Uwiózł na statku do Tyntagielu umiłowane ciała. Wpodle kaplicy, po lewej i prawej stronie wnijścia, pochował ich w dwóch grobach. Ale w nocy z grobu Tristana wybują zielony i liściasty głóg o silnych gałęziach, pachnących kwiatami, który wznosząc się ponad kaplicę, zanurzył się w grobie Izoldy. Ludzie miejscowi ucięli głóg: nazajutrz odrósł na nowo, równie zielony, równie kwitnący, równie żywy i znowuż

utopił się w łożu Izoldy Jasnowłosej. Po trzykroć chcieli go zniszczyć; na próżno. Wreszcie donieśli o cudzie królowi Markowi: król zabronił odtąd ucinać głóg.

Panowie miłościwi! dobrzy rybakowie dawnych czasów, Bérout, Thomas i przewielebny Eilhart, i mistrz Gotfryd opowiedzieli tę opowieść dla tych, którzy miłują, nie dla innych. Przekazują wam przeze mnie pozdrowienie. Pozdrawiają tych, którzy tkwią w zadumie, i tych, którzy są szczęśliwi, nienasyconych i pragnących, tych, co są radośni i tych, co są stroskani, słowem wszystkich miłośników. Oby mogli znaleźć tu pociechę przeciw odmienności, przeciw niesprawiedliwości, przeciw urazie, przeciw cierpieniu, przeciw wszystkim niedolom miłowania!...

Przeczytaj także:

Dzieje Tristana i Izoldy – Streszczenie szczegółowe

Dzieje Tristana i Izoldy – Streszczenie krótkie

Dzieje Tristana i Izoldy – Plan wydarzeń

Dzieje Tristana i Izoldy – Charakterystyka bohaterów

Dzieje Tristana i Izoldy – Czas i miejsce akcji

Dzieje Tristana i Izoldy – Gatunek utworu

Dzieje Tristana i Izoldy – Geneza i autorstwo

Dzieje Tristana i Izoldy – Problematyka utworu

Utwór znajduje się w domenie publicznej. Masz prawo do jego wykorzystywania, publikowania i rozpowszechniania.

Tekst opracowany na podstawie: Józef Bedier, Dzieje Tristana i Izoldy, tłum. Tadeusz Boy-Żeleński, oprac. Józef Bedier, Warszawa 1930.